JEST ŻYCIE POZA POLITYKĄ | Nowy dział PSYCHE: jak przyjaźń nas leczy
Podróż z Pawłem Sołtysem | A jednak szlachta | Menopauza wyzwala katoliczki

Kraków 11 – 17 czerwca 2025 nr 24 (3962) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Jakub Dymek:
Jak się naprawdę dzielą Polacy

Jarosław Flis:
Elektorat niewysłuchany

Piotr Śmiłowicz:
Koalicja w potrzasku

Scenariusze dla Tuska

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl f56d2de763

REKLAMA

mpec
kraków

Ciepła energia Krakowa

Niezawodność / Bezpieczeństwo / Komfort
Oszczędność / Ekologia

mpec.krakow.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Bez autocenzury*

W zasadzie nie jest to miejsce na pisanie o moich prywatnych odznaczeniach i honorach, jednak uroczystość 5 czerwca była szczególna. Otrzymałem honorowe obywatelstwo Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. To duży zaszczyt, bo tego tytułu nie nadaje się masowo. Myślę też, że ten tytuł przyznano mi dlatego, iż większą część życia związałem z „Tygodnikiem Powszechnym" wychodzącym w Krakowie. Zaszczyt to dla mnie, ale też należy się tym, którzy naszych czasów nie dożyli i takiego uhonorowania nie doznali. Jerzemu Turowiczowi przede wszystkim. Historia jego wyróżnienia, które nie doszło do skutku w wyniku sprzeciwu bodaj jednego człowieka działającego – można sądzić – według oczekiwań ówczesnych władz, jest bardziej wymowna niż uhonorowania zrealizowane.

Ówczesny „Tygodnik" przez długie lata borykał się z cenzurą. Tym, którzy pamiętają ostatni okres, w którym jej ingerencje były w tekstach zaznaczane, chcę przypomnieć długie lata cenzury, której oznaczać nie było wolno. Dziś trudno sobie wyobrazić, że każdy numer był przed drukiem dostarczany cenzorowi, który według regularnie aktualizowanych wytycznych wykreślał teksty (często fragmenty artykułów), które nie mogły się ukazać. Bywało, że redakcja zdejmowała wtedy cały tekst, bo bez skreślonych fragmentów tracił on znaczenie. Bywało też, że poharatany przez cenzurę tekst jednak drukowała. Ludzie zresztą uczyli się tak pisać (i czytać), że treści nieprawomyślne były formułowane w sposób nie do zaczepienia. Nawet jeśli czasem cenzor dostrzegał zasadzkę, musiał jej istnienie jakoś udowodnić. A udowodnić nie był w stanie. Tak było czasem, niestety raczej wyjątkowo. Należy wyznać i to, że niekiedy cenzura była przeczulona i ingerowała, przewidując ewentualne skojarzenia czytelników. Wreszcie, udawało się też zamieszczać teksty tylko pozornie niewinne, a dla odbiorców jednak czytelne.

GRAŻYNA MAKARA

Chociaż jest to historia ponurej przeszłości, nie należy o niej zapominać. Żyliśmy w takim systemie przez długie lata. Dla niektórych cenzura należała do rzeczy oczywistych, co więcej, byli tacy, którzy optowali za jej utrzymaniem. W każdym razie „Tygodnik" był zawsze pod szczególnym nadzorem i podobno bił rekordy cenzorskich interwencji. Z drugiej strony, naprawdę starano się tak pisać, żeby teksty dało się drukować w całości.

Cenzura jest sprzeczna z tym, co można określić jako wierność linii pisma. Jednak bardzo łatwo można linię pisma zdradzić i bez cenzury zewnętrznej. Grozi to także pismom zajmującym się tematyką wiary i religii. Łatwo bowiem, pisząc teksty poświęcone religii, zręcznie omijać trudne problemy. Zwłaszcza że w Polsce czytelnicy pism z przymiotnikiem „katolickie" do tego rodzaju zabiegów przywykli. Jakby „katolickie" znaczyło „wolne od krytycznego myślenia". „Tygodnik Powszechny" nie jest pełen tekstów religijnych, te jednak, które w nim są (a zawsze są), na ogół skłaniają do myślenia. Dlatego w podtytule naszego pisma widnieje słowo „katolicki". Przecież to określenie nie jest ani synonimem łatwości, ani – zwłaszcza – bezmyślności.

Wracając do otrzymanego przeze mnie wyróżnienia, pragnę wyraźnie zaznaczyć, że takie wyróżnienie miał (słusznie) otrzymać Jerzy Turowicz. Miał otrzymać i nie otrzymał, bo takie były czasy, nie dlatego, że czegoś zabrakło. Wdzięczny za to wyróżnienie, zdaję sobie sprawę, że „Tygodnik" miał i ma ludzi, którzy na to zasłużyli i zasługują. Dziękuję, że padło na mnie, choć świetnie zdaję sobie sprawę, że godnych tego zaszczytu jest wielu. Ja czuję się ich reprezentantem i w tym duchu składam podziękowanie. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA"

INSTYTUT PAMIĘCI NAWROCKIEGO
Marek Rabij i Piotr Śmiłowicz o przeszłości i przyszłości IPN

BOŻE CIAŁO TAKIE JAK MY
Monika Białkowska o współczesnych obliczach pobożności ludowej

DUCHY OJCÓW
Łukasz Orbitowski w rozmowie z Katarzyną Kubisiowską o byciu synem i byciu tatą

Jakie są scenariusze dla Donalda Tuska? Czy koalicja sobie poradzi? I co zrobi niewysłuchany elektorat?

Powyborczej Polsce przyglądają się nasi dziennikarze i publicyści. **JAKUB DYMEK** stawia tezę, że w ostatnich wyborach prezydenckich nie starły się ze sobą elita i społeczne doły. „Przeciwnie – rozstrzygający był spór dwóch elit. Metropolitalnej i »globalistycznej« oraz lokalnej i »suwerenistycznej«" – dowodzi. **PIOTR ŚMIŁOWICZ** pyta o przyszłość koalicji. „Kaczyński i Tusk solidarnie niszczą swoje przystawki, tylko że pierwszy je konsumuje, a drugi je gubi po drodze" – wyznaje dziennikarzowi polityk Polski 2050, wskazując na ponad milion głosów, które koalicja straciła od jesieni 2023. I przywołuje zadawane już pytanie: „Czy rekonstrukcją należałoby objąć samego Donalda Tuska?". **JAROSŁAW FLIS** zaś pisze o niewysłuchanej Polsce: „rządowi wychodzącemu z powyborczego szoku może i nie zaszkodzi rzecznik prasowy, lecz tylko pod warunkiem, że cały rząd zamieni się w słuch".

Poza polityką polecam w tym numerze szczególnie dwa teksty: **MARKA MATUSIAKA**, analityka Ośrodka Studiów Wschodnich, który opisuje sytuację w Strefie Gazy. „Coraz więcej specjalistów z zakresu prawa międzynarodowego i badań nad historycznymi ludobójstwami nie ma wątpliwości w nazwaniu tego, czego Izrael dokonuje w Strefie Gazy" – pisze Matusiak. I podkreśla: „W gronie tym są także badacze Zagłady Żydów z czasu II wojny światowej". Oraz **MONIKI BIAŁKOWSKIEJ**, która pyta katoliczki i katolików o to, w jaki sposób metody naturalnego planowania rodziny wpłynęły na ich życie i relacje. A właściwie – jak je powoli niszczyły.

Zachęcam do zajrzenia do nowego działu „Tygodnika" – Psyche. Od teraz co dwa tygodnie znajdą Państwo u nas rozmowy z ekspertami i terapeutami o tym, jak troszczyć się o siebie i dbać o relacje. Inauguruje **MARCIN TUSIŃSKI** wywiadem z dr. Grzegorzem Mączką, psychoterapeutą i swoim przyjacielem – o przyjaźni właśnie. „Istnieją osoby, wobec których mogę mówić bez zahamowań, być sobą, wyrażać uczucia, pokazywać wrażliwość. Duża rzecz, prawda?" – czytamy.

I jeszcze jeden tekst. „Byłem mężem, ojcem i synem, byłem wszystkim, czym powinienem być, między Cerkwią, Synagogą i Bazyliką w Tykocinie" – pisze **PAWEŁ SOŁTYS**, nominowany właśnie do Nagrody Literackiej Nike. ©℗

ANNA GOC,
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu", „Głuszy", za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak, oraz zbioru reportaży „Biegnij, mała, biegnij".

16 Kac w koalicji
PIOTR ŚMIŁOWICZ
Na wyborczą katastrofę Rafała Trzaskowskiego obóz rządowy ma odpowiedzieć nową umową koalicyjną i rekonstrukcją gabinetu Donalda Tuska. Czy uda się w ten sposób uniknąć porażki w 2027 roku?

38 Tęsknota za menopauzą
MONIKA BIAŁKOWSKA
Mają poczucie, że Kościół okradł ich z najpiękniejszych lat życia. Katolickie małżeństwa mówią szczerze o metodach naturalnej regulacji poczęć.

NOWY DZIAŁ PSYCHE

78 Przyjaźń to superszczepionka
ROZMOWA Z DR. GRZEGORZEM MĄCZKĄ, PSYCHOTERAPEUTĄ:
Serdeczne relacje z innymi mają dwukrotnie większe znaczenie dla zdrowia niż aktywność fizyczna. Góry wydają się dzięki temu łatwiejsze do pokonania, a wyzwania życiowe mniej groźne.

GRAŻYNA MAKARA // SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL // KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP" // JOANNA SZLEMBARSKA DLA „TP"

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Zderzenie narcyzów
AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

16 Kac w koalicji
PIOTR ŚMIŁOWICZ

19 Porady dla mądrali
JAROSŁAW FLIS: *Jaki problem z powszechnymi wyborami ma obóz z dumą określający się jako „demokratyczny”?*

22 Z granatem w ręku
PATRYCJA BUKALSKA: *Cywili chętnych do szkolenia się z armią jest więcej niż miejsc*

■ ■ ŚWIAT

28 Własnymi oczami
MAREK MATUSIAK: *Coraz wyraźniej widać, że cel Izraela w Strefie Gazy to zniszczyć palestyńską tam obecność. Wszelką obecność*

32 Dzień białych opasek
MATEUSZ SOKULSKI: *W bośniackim Prijedorze upamiętniono ponad setkę dzieci, które Serbowie zabili w 1992 r.*

34 Ludzie rzeki
MAGDALENA BARTCZAK *o aktywistach i leśnych przewodnikach z peruwiańskiej Amazonii*

■ ■ WIARA

38 Tęsknota za menopauzą
MONIKA BIAŁKOWSKA

41 Duchowi odyseusze
ROZMOWA Z FRÉDÉRIKIEM LENOIREM, FRANCUSKIM FILOZOFEM *zajmującym się badaniem duchowości*

44 Cały świat w zasięgu ręki
JACEK TARAN Z CZORTKOWA *o zakonnicach, które uczą polskiego w piwnicy i pomagają na froncie*

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

TEMAT TYGODNIKA

12 Wojna dwóch elit
JAKUB DYMEK
Powyborczy spór o lud i elity, pogardę i odklejenie tyleż odkrywa, co zakrywa ważną prawdę o Polsce. Faktyczny społeczny podział wygląda inaczej.

■ „TYGODNIK” NA IMPACT’25 ■

26 JAK SIĘ NIE DAĆ POLARYZACJI
MICHAŁ OKOŃSKI

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
25 OLGA DRENDA **46** ZUZANNA RADZIK
53 STANISŁAW MANCEWICZ
59 ELIZA KĄCKA **76** PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
DONALD TUSK / WARSZAWA, 7 MAJA 2025 R.
FOT.: JAKUB PORZYCKI / FORUM

47 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

48 Wszyscy jesteśmy herbowi
ROZMOWA Z JOANNĄ ORZEŁ, HISTORYCZKĄ, *o dziejach szlachty*

■ ■ NAUKA

54 Czekają nas turbulencje
ROZMOWA Z PROF. SZYMONEM MALINOWSKIM, FIZYKIEM ATMOSFERY, *o chmurach*

■ ■ KULTURA

60 Prawdziwe życie
AGATA KASPROLEWICZ *o najważniejszych pytaniach reportaży Patricka Raddena Keefe’a*

63 Człowiek legenda
BARTOSZ SADULSKI: *Roberto Bolaño byłby wspaniałym detektywem*

66 Kanon na nowo
PIOTR KOSIEWSKI *o wystawie „»Co babie do pędzla?!« Artystki polskie 1850-1950” w Muzeum Narodowym w Lublinie*

69 Polecamy

70 Ukryte pragnienia
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Alaina Guiraudie „Mizerykordia”*

71 Forma mała, lecz pojemna
LEKTOR *o zbiorze opowiadań Tobiasa Wolffa „Oto początek naszej historii”*

■ ■ ZMYSŁY

72 Gemma
PAWEŁ SOŁTYS *Podróż z autorem do Tykocina*

■ ■ PSYCHE

78 Przyjaźń to superszczepionka
ROZMOWA Z GRZEGORZEM MĄCZKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ NOWĄ OFERTĘ NA STRONIE 83

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ZDERZENIE NARCYZÓW

Zamiast cichego rozwodu jest publiczne pranie brudów. Najbogatszy człowiek świata zapewne straci na tym dużo pieniędzy. Ale ten spór więcej może kosztować prezydenta USA.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Choć na konferencji prasowej w Białym Domu, która była jego pożegnaniem z pracą w administracji państwowej, Elon Musk pojawił się z podbitym okiem, tłumaczył, że podczas zabawy uderzył go synek. I wyglądało na to, że jego rozstanie z Donaldem Trumpem odbędzie się „za porozumieniem stron". Minęło jednak kilka dni i zamiast cichego rozwodu nastąpiło totalne zderzenie i publiczne pranie brudów. Najbogatszy człowiek świata zapewne straci na tym miliony, może miliardy. Ale koniec końców ten spór może kosztować znacznie więcej prezydenta USA.

POSZŁO O PROJEKT tzw. wielkiej pięknej ustawy (Big Beautiful Bill) – pakiet legislacyjny, który obecnie znajduje się w Senacie i zawiera kluczowe punkty programu Trumpa, od cięć podatkowych po zaostrzenie polityki imigracyjnej. Musk od pewnego czasu twierdził, że to „skandaliczne monstrum, upchane świńskim politycznym sadłem". Krytykując je, cytował szacunki Biura Budżetowego Kongresu USA, z których wynika, że ustawa zwiększy deficyt budżetowy o 2,4 biliona dolarów do 2034 r.

To zaś, twierdził Musk, jest sprzeczne z deklaracjami Trumpa, że deficytu zwiększać nie chce. Miliarder zapowiedział więc, że w przyszłorocznej kampanii do Kongresu będzie atakować tych Republikanów, którzy poparli „wielką piękną ustawę" (jesienią 2026 r., w połowie kadencji prezydenckiej, są tzw. wybory półmetkowe, w których wybierana jest Izba Reprezentantów i jedna trzecia Senatu).

TRUMP ODPOWIEDZIAŁ na zarzuty Muska. Choć jeszcze niedawno zachwycał się „Elonem" i jego geniuszem oraz zapewniał o ich przyjaźni, na konferencji w gabinecie owalnym – w obecności kanclerza Friedricha Merza i ku jego wyraźnemu rozbawieniu – prezydent perorował, że Musk jest niewdzięcznym egoistą. Mówił też, że miliarder mu wiele zawdzięcza, a ustawie sprzeciwia się wyłącznie dlatego, że nie przyniesie ona korzyści jego firmie produkującej elektryczne auta.

POWYŻEJ: Spotkanie Elona Muska i Donalda Trumpa z dziennikarzami w Białym Domu. Waszyngton, 30 maja 2025 r.

Trump kpił też z lima pod okiem Muska i stwierdził, że bogacz – tak jak wiele innych osób, które musiały opuścić Biały Dom – ma obsesję na jego punkcie. Na to Muskowi puściły nerwy: w serii wpisów na swojej platformie X oskarżył prezydenta o kłamstwa i stwierdził, że zawdzięcza mu on urząd, bo bez jego pieniędzy nie wygrałby wyborów. W odpowiedzi Trump zagroził Muskowi odcięciem od miliardowych rządowych kontraktów i zniesieniem ulg podatkowych dla jego firm. Stwierdził też, że zwolnił Muska z roli swego specjalnego doradcy, bo ten „zaczął się robić męczący".

W NAJGORĘTSZYM momencie tej awantury Musk napisał na X, że powodem, dla którego administracja Trumpa nie ujawniła wszystkich akt związanych ze sprawą Jeffreya Epsteina – milionera, który został oskarżony o organizowanie dla bogaczy orgii z nieletnimi kobietami i kilka lat temu popełnił w areszcie samobójstwo – jest fakt, iż obciążają Trumpa. Musk pominął przy tym fakt, iż sam został sfotografowany na przyjęciu zorganizowanym przez byłą partnerkę Epsteina, skazaną za takie przestępstwa. Po kilku godzinach miliarder swój wpis skasował.

W pewnym momencie w potyczkę wtrąciła się Ashley St. Clair, prawicowa publicystka, która ma z Muskiem dziecko, i pozwała go o alimenty. „Hej @realDonaldTrump, daj znać, jeśli potrzebujesz rady, jak przejść przez rozstanie" – napisała na X. Swoje trzy grosze dorzucił szef polskiej dyplomacji. Radosław Sikorski, który w marcu został przez Muska nazwany „małym człowieczkiem", napisał na X, oznaczając Muska: „Widzisz, wielki człowieku, polityka jest trudniejsza, niż myślałeś".

TAK Z HUKIEM kończy się sojusz dwóch kapryśnych bogaczy. Choć obaj powtarzali, że łączy ich cel „uczynienia Ameryki znowu wielką", ich relacja była dla obu po prostu opłacalna. Musk wpompował w kampanię Trumpa ponad 275 mln dolarów, ale ta inwestycja miała mu się zwrócić. „Washington Post" wylicza, że od początku prezydentury Trumpa firmy Muska dostały 38 mld dolarów w formie kontraktów, pożyczek, dotacji i ulg podatkowych. A to miał być zaledwie początek, bo tylko firma SpaceX, współpracująca m.in. z NASA, ubiega się o kontrakty warte 68 mld dolarów.

A co może stracić prezydent USA? Wygląda na to, że więcej. Musk zapewne zrobi teraz wszystko, by utopić „Big Beautiful Bill", o którym Trump mówił, że chciałby, aby była to spuścizna jest prezydentury. Jednak nie tylko to jest stawką. Wcześniej Musk obiecał, że da 100 mln dolarów organizacjom kontrolowanym przez zespół prezydencki na kampanię w 2026 r. Teraz wątpliwe, aby to zrobił. Do tego Musk jest właścicielem platformy X, a Trump przekonał się już, jak można za jej pośrednictwem wpływać na opinię publiczną, gdy hejtowano tam Bidena i Harris. Musk zatweetował, że prezydent na urzędzie będzie najwyżej 3,5 roku, a on „będzie w okolicy" przez kilka dekad.

WEDŁUG MEDIÓW doradcy Trumpa przekonują go, by odpuścił w tym sporze i skupił się na zdobyciu poparcia w Kongresie dla swojej „wielkiej ustawy". Jednocześnie Biały Dom ma się przygotowywać na długotrwały konflikt z Muskiem, w którym sprzymierzeńcy obu stron – z branży technologicznej i świata polityki – będą musieli wybrać, po czyjej stronie staną. Zwłaszcza że Musk w ostatnich dniach kilka razy sugerował, że „Ameryka potrzebuje nowej partii, reprezentującej 80 proc. ludzi z centrum", a on planuje ją stworzyć.

W 2024 r. Dolina Krzemowa stanęła po stronie Trumpa i pomogła mu, tak jak Musk, wygrać. Zapewne tak jak Musk liczyła na wpływy i kontrakty. Obserwując rozwód Trumpa z Muskiem, może nabrać jednak poważnych wątpliwości – i zastanawiać się, czy dobrze wybrała. ©

KEVIN DIETSCH / GETTY IMAGES

Trump odmawia

WOJCIECH PIĘCIAK

MIAŁY TRAFIĆ NA UKRAINĘ, ALE TAK SIĘ NIE STANIE. Decyzję, by wysłać Ukraińcom 20 tys. specjalnych pocisków przeciwlotniczych, podjęła jeszcze administracja Bidena. Miały służyć do zwalczania rosyjskich dronów-kamikadze dalekiego zasięgu typu „szahed". To konstrukcja irańska, którą Rosja dostała od Teheranu, a której produkcję rozwinęła tak, że rosyjskie fabryki produkują dziś 160 „szahedów" – dziennie. Z tendencją rosnącą, wkrótce ma to być prawie 200 sztuk.

„Szahedy" to główne narzędzie, którym Rosja atakuje teren całej Ukrainy. Rzecz jasna śle też rakiety, ale tych jest mniej, bo ich produkcja trwa dłużej. W ostatnich dniach Rosjanie wysyłali więc co noc przeciw ukraińskim miastom po 200 lub więcej „szahedów" (i kilkanaście rakiet). Rekord padł w nocy 8/9 czerwca: było to 479 dronów. Ze statystyk można sądzić, że obrona radzi sobie z nimi coraz gorzej – jest ich po prostu zbyt wiele.

Na sam Charków spadło ich naraz około pięćdziesięciu (wygląda to tak, jakby agresor chciał sterroryzować Charków tak, że przestanie być miejscem do życia). Właśnie po to, by zwalczać drony, Biden i jego sekretarz obrony Lloyd Austin zlecili program, którego efektem miało być technologiczne opracowanie, wyprodukowanie i dostarczanie Ukrainie, jak czytamy, możliwie wielu „relatywnie tanich" pocisków przeciwlotniczych (bo pociski do Patriotów czy Iris-T są za drogie, by zbijać nimi drony).

Trump zmienił jednak decyzję poprzednika: 20 tys. pocisków trafi nie na Ukrainę, lecz, jak słyszymy, „na Bliski Wschód".

Decyzja Trumpa zbiega się z innym faktem: kończy pomoc z USA. „Do końca czerwca jest realizowany pakiet pomocy wojskowej dla Ukrainy, który został przyjęty za czasów prezydenta Joego Bidena i nie ma w tej chwili decyzji, w jakim zakresie ta pomoc będzie kontynuowana – mówił w rozmowie z „Rzeczpospolitą" (z 4 czerwca) gen. Dariusz Łukowski, szef BBN. „Ewentualne decyzje wymagają czasu, zatem możliwa jest sytuacja, że w lipcu będziemy obserwować znaczący spadek wolumenu wsparcia dla Ukrainy. Pytanie, czy Europa będzie mogła tę lukę wypełnić".

Tymczasem Trump nie tylko odmawia, ale znów okazuje polityczną ignorancję – sugerując, że Ukraińcy są sami sobie winni, bo gdyby nie ich uderzenie na rosyjskie lotniska, nie byłoby ostatnich zmasowanych nalotów. Tak jakby Putin potrzebował pretekstu.

Wiele już razy obwieszczano, że nadchodzi moment krytyczny tej wojny i takie przestrogi się mocno zdewaluowały. Mimo to fakty sugerują, że taki moment się zbliża. I że skoro nie można liczyć na Trumpa, obrona Ukrainy zależy teraz od tego, co zrobi Europa. ©℗

Bitwy prawicy

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Obecna sytuacja przypomina nieco przełom roku 2000 i 2001. Wówczas rządziła co prawda Akcja Wyborcza Solidarność, przy wsparciu znajdującej się formalnie poza koalicją Unii Wolności, ale po spektakularnej porażce lidera AWS Mariana Krzaklewskiego w wyborach prezydenckich uwaga prawicy i centrum koncentrowała się na powstających nowych politycznych bytach – Platformie Obywatelskiej oraz Prawie i Sprawiedliwości. To do nich należała przyszłość.

Teraz przyszłość należy do PiS i Konfederacji. To te formacje wygrały wybory prezydenckie i to one, już dziś to widać, będą rozdawać najważniejsze polityczne karty. To między nimi odbędzie się wojna o rząd dusz, czego pierwszym sygnałem był groteskowy spór o negocjacje w sprawie tzw. rządu technicznego. Propozycję Jarosława Kaczyńskiego, by podjąć rozmowy w sprawie takiego gabinetu, zdecydowanie odrzucił Sławomir Mentzen, a podobnych sytuacji i wzajemnych połajanek między PiS i Konfederacją należy teraz oczekiwać sporo. Stawką są wybory parlamentarne w 2027 r. i ewentualny sojusz po nich.

Dziś siłą dominującą jest w tym układzie PiS, ale to Konfederacja jest na fali wznoszącej.

Partia Mentzena i Bosaka nie ma obciążeń w postaci sprawowania wcześniej władzy, za to ma w przeciwieństwie do PiS młodych liderów i młodych wyborców. W Pałacu Prezydenckim zaś będzie zasiadał Karol Nawrocki, który co prawda był kandydatem PiS, ale w sporach obu formacji raczej będzie się wcielał w rolę arbitra – żeby w przyszłości postawić na to ugrupowanie, które da mu większą gwarancję reelekcji w 2030 r. Wcale nie jest powiedziane, że będzie to PiS.

Formacja Jarosława Kaczyńskiego może jeszcze pożałować, że jako kandydata na prezydenta wskazała kogoś, kto jest tak bliski głównemu rywalowi na prawicy. Ceną za prezydenckie zwycięstwo przy pomocy wyborców Mentzena jest bowiem wzmocnienie Konfederacji. I może to być dla PiS cena niezwykle wysoka.

Z całej sytuacji można wyciągnąć jeszcze jeden wniosek – po 20 latach mamy do czynienia z początkiem końca duopolu PiS-PO. ©℗

Media oczami OBWE

MAREK KĘSKRAWIEC

Raport obserwatorów OBWE na temat naszych wyborów prezydenckich przemknął przez media niemal niezauważony. I nic dziwnego, bo nie ma on na ich temat wiele dobrego do powiedzenia. Królową stronniczości została TV Republika, brylująca w zohydzaniu Polakom Rafała Trzaskowskiego (przy kompletnej bezczynności pisowskiej wciąż KRRiT). Oglądałem ją w kampanii i śmiem twierdzić, że nie ma faktu, którego ta stacja nie przekręciłaby. Martwi jednak, że raport OBWE jako wyraźnie stronnicze wymienia również TVP i TVP Info, a w drugiej kolejności TVN oraz Onet – tym razem jako media przesadnie sprzyjające Trzaskowskiemu. Względną bezstronność zachować miały Polsat oraz Interia; ja dodałbym jeszcze Wirtualną Polskę. To dzięki niej dowiedzieliśmy się, jak nieprzejrzyste i niespójne (wspomina o tym raport) były działania państwowego instytutu NASK w sprawie nielegalnego finansowania reklam internetowych, które wychwalały prezydenta Warszawy, atakując jednocześnie Karola Nawrockiego i Sławomira Mentzena.

Najbardziej interesujący wniosek nie wynika jednak bezpośrednio z raportu misji OBWE, ale z analizy efektów wszystkich tych starań. Otóż można mieć poparcie największych mediów w Polsce, a wybory i tak przegrać. Przekonał się o tym jesienią 2023 r. PiS, który mimo powodzi propagandy w TVP oraz wmawiania Polakom, że Donald Tusk jest agentem Niemiec – ostatecznie musiał oddać władzę. Teraz było podobnie. Rząd koalicji 15 października miał w swych rękach media publiczne i chętnie ich używał (choć na pewno nie tak prymitywnie jak PiS w czasach Jacka Kurskiego), miał życzliwość największych mediów prywatnych – i też nic nie wskórał.

Ze wszystkim można przedobrzyć. Jeśli się powtarza pięćsetny raz argument o sutenerskiej przeszłości kandydata, to odbiorca ma prawo być zmęczony i zirytowany – być może wystarczy mu ją przypomnieć „tylko" sto razy. Z innych analiz wynika zresztą, że na portalach społecznościowych (gdzie w dużej mierze rozstrzygnęła się ta kampania), odbiorcy mieli już tej opowieści dość, zwłaszcza po przeciwskutecznym występie premiera w Polsacie, kiedy to powołał się na skompromitowanego freak fightera, przez co osłabił też siłę rażenia sprawy kawalerki i ustawek. Być może gdyby część tego czasu poświęcono na wyjaśnienie, jaką wizję prezydentury ma Trzaskowski, osiągnąłby on lepszy efekt. Tyle że u nas za wizje wysyła się do lekarza. ©℗

Dziennikarze na wieczorze wyborczym Rafała Trzaskowskiego. Sandomierz, 18 maja 2025 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

NA PUNKTY

PREMIER
Na przełomie lipca i sierpnia ma się odbyć rekonstrukcja rządu – zapowiada wicepremier Krzysztof Gawkowski, którego zdaniem zmiany trzeba dobrze przygotować, by w resortach nie doszło do „tymczasowego paraliżu". Na razie nic nie wskazuje na to, by rekonstrukcja miała objąć niepopularnego premiera.

TRENER
Na razie rozpoczęła się rekonstrukcja w piłkarskiej reprezentacji Polski, w której trener Michał Probierz pozbawił kapitańskiej opaski Roberta Lewandowskiego (nie przyjechał na ostatnie mecze, tłumacząc się zmęczeniem), a w odpowiedzi Lewandowski zadeklarował, że do czasu, gdy Probierz jest selekcjonerem, nie będzie grał w drużynie.

HEJTER
Apel Szymona Hołowni, by politycy koalicji zrobili sobie przerwę od Twittera, przeszedł bez echa, choć przerwę od Twittera zrobił sobie niejaki Marcin Kopania: człowiek prowadzący do niedawna konto obrażające konkurentów PO, znalazł pracę na dyrektorskim stanowisku w należącym do Skarbu Państwa Polskim Holdingu Nieruchomości. ©℗

Telefon do Leona

EDWARD AUGUSTYN

Rozmowa Leona XIV (na zdjęciu) z Władimirem Putinem warta jest uwagi, nawet jeśli w praktyce niewiele z niej wyniknie. To pierwszy bezpośredni kontakt przywódców Rosji i Watykanu od blisko czterech lat – w grudniu 2021 r. Putin zadzwonił do papieża Franciszka z urodzinowymi życzeniami. Po wybuchu pełnoskalowej wojny Putin kilkakrotnie odrzucał próby kontaktu sygnalizowane przez Watykan, również te inicjowane przez samego Franciszka, korzystając z okazji, by upokorzyć „rzymskiego papę" i pokazać mu miejsce w szeregu. Ignorował też jego wysłannika, kard. Mattea Zuppiego, oraz wszystkie pokojowe propozycje Stolicy Apostolskiej.

ISABELLA BONOTTO / ANADOLU / EAST NEWS

O przeprowadzonej 4 czerwca rozmowie z Leonem XIV pierwszy poinformował Kreml, podkreślając, że Władimir Putin zapewnił papieża o woli zakończenia konfliktu z Ukrainą drogą dyplomatyczną, po „wyeliminowaniu jego pierwotnych przyczyn". Zwrócił też uwagę papieża na „terrorystyczne ataki" przeprowadzane przez Ukraińców na terytorium Rosji.

Kilka godzin później Stolica Apostolska potwierdziła informacje o rozmowie, dodając, że jej tematem było m.in. uwolnienie jeńców wojennych, w tym ukraińskich dzieci przetrzymywanych w Rosji. Papież mówił też o religijnych źródłach pokoju i podkreślił rolę patriarchy Cyryla w szerzeniu „wspólnych wartości chrześcijańskich".

Nie wiemy, kto był inicjatorem tego „nowego otwarcia" w stosunkach Rosji ze Stolicą Apostolską. Jeśli pomysł rozmowy wyszedł z Watykanu, to jego akceptacja przez Kreml oznacza, że papieskie służby dyplomatyczne wciąż potrafią być skuteczne, o ile tylko pozwoli im się działać we właściwy sposób i w odpowiednim czasie.

Niewykluczone jednak, że impuls wyszedł z Moskwy, pod pretekstem złożenia papieżowi gratulacji z okazji wyboru. Telefon do Leona XIV byłby więc elementem politycznej strategii Kremla, który nie marnuje żadnej okazji (a taką jest „nowe rozdanie" w Watykanie), by kreować się na największego orędownika rozwiązań pokojowych. Do budowy tego wizerunku Moskwa wciąż szuka sojuszników. ©℗

Temu się przyda Poczta Polska

MAREK RABIJ

Informacja o nawiązaniu przez Pocztę Polską współpracy z chińską e-platformą handlową Temu wywołała falę komentarzy, głównie niekorzystnych dla zarządu Poczty. Władze spółki wybrały sobie istotnie kontrowersyjnego partnera: to wspierany przez chińskie władze podmiot prowadzący platformę e-handlu, na której tamtejsze firmy mogą wystawiać swoje produkty i sprzedawać je za granicę. Pekin dotuje takie działania m.in. ulgami podatkowymi, wychodząc z założenia, że miliony drobnych chińskich firm, produkujących dotychczas na potrzeby zachodnich marek, uzyskają dzięki temu dostęp do odbiorców końcowych w UE.

Polskie firmy marzą o podobnym wsparciu. Z tym większą furią przyjęły informację o współpracy państwowego operatora pocztowego, który ułatwi Temu wykonanie planu zakładającego realizację 80 proc. zamówień składanych przez europejskich klientów z magazynów platformy ulokowanych na Starym Kontynencie – rzecz jasna kosztem lokalnych sprzedawców. Izba Gospodarki Elektronicznej zrzeszająca polskie e-biznesy pyta wręcz w oświadczeniu, czy rząd został o tych planach powiadomiony.

Zarząd Poczty w odpowiedzi wskazuje na innych przewoźników. Z Temu istotnie współpracują niemal wszystkie firmy kurierskie i operatorzy maszyn na paczki w Polsce. Brak możliwości odbioru chińskich przesyłek w placówkach Poczty skutkowałby więc jedynie dalszym osłabieniem konkurencyjności państwowego przewoźnika. Firma pogrążona jest w głębokim kryzysie: w ub. roku miała 213 mln zł straty, choć i tak udało się ją zmniejszyć o 408 mln zł w stosunku do wyniku z roku 2023.

Władze spółki chcą, by placówki pocztowe oferowały także usługi bankowe i finansowe. Jej podstawowa funkcjonalność, jaką jest doręczanie listów, kurczy się z roku na rok. W ub. roku w Polsce wysłano jedynie 792 mln listów, o 5,6 proc. mniej niż rok wcześniej. Wkrótce na masową skalę udostępniona będzie także publiczna usługa e-doręczenia, która pozwoli na odbiór listu poleconego w wersji elektronicznej. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE

BEATA POTOCKA, MATKA ZASTĘPCZA:

Po latach pesymizmu w środowisku rodzin zastępczych powiało nadzieją.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: O polskiej pieczy zastępczej mówi się, że jest w stanie zapaści. A ostatnie kilka dni to wybuchy entuzjazmu.

BEATA POTOCKA: Ministerstwo rodziny, w ramach tzw. prekonsultacji, ogłosiło kierunki planowanych zmian. I faktycznie wydają się one przełomowe, więc nie dziwię się reakcjom w środowisku rodzin zastępczych. Sama miałam w czasie ministerialnego spotkania łzy w oczach – takich reform domagamy się od dekad.

Jakie to zmiany?

Wielki aplauz wywołała zapowiedź, że dzieci z pieczy [jest ich w Polsce w rodzinach oraz placówkach ponad 75 tys. – red.] skorzystają z przyspieszonej ścieżki dostępu do opieki medycznej. Dziecko, które przychodzi do rodziny zastępczej np. dlatego, że było ofiarą przemocy domowej, prawie zawsze wymaga pilnej pomocy. Ponadto bardzo często potrzebuje tych wizyt – ze względu na długoletnie zaniedbania – wiele, i to do różnych specjalistów. Stomatologa, ortodonty, neurologa, psychoterapeuty, psychiatry. Dziś często bywa, że rodziny zastępcze szukają pomocy prywatnie, wydając na to majątek.

No właśnie: co z pieniędzmi?

Resort rodziny zapowiada znaczne podwyżki pensji, które – zdarza się – dziś wynoszą mniej niż minimalna krajowa. W ustawie ma być też zapisany mechanizm stałej waloryzacji. Do tego umowy mają być wreszcie bezterminowe, a nie takie jak teraz, zwykle kilkuletnie. Są ludzie, którzy pracują jako rodzice zastępczy od trzydziestu lat, i nigdy nie doświadczyli poczucia bezpieczeństwa.

A przecież mają je dawać dzieciom.

Tymczasem nadchodzi koniec okresu umowy, a oni się zastanawiają, co będzie dalej... Kolejna zmiana to wprowadzenie dodatku stażowego – dziś bez względu na to, czy pracuję rok, czy dwadzieścia lat, dostaję takie same pieniądze. Sprawa następna: świadczenia na dzieci. Wedle obowiązujących obecnie przepisów, rodzina zastępcza spokrewniona, którą stanowią w myśl ustawy rodzeństwo albo dziadkowie, otrzymuje świadczenie wyraźnie mniejsze niż w rodzinie niespokrewnionej [1002 wobec 1517 zł – red.], w dodatku nie dostaje pensji. Resort rodziny chce, by te kwoty były do siebie bardziej zbliżone.

Jest też jeszcze kilka innych, bardzo istotnych zmian o charakterze niekoniecznie finansowym, jak pomoc „pieczowym" dzieciom, które ukończyły 25. rok życia. Albo wprowadzenie tzw. alternatywnego organizatora pieczy zastępczej w postaci np. organizacji pozarządowej, która wchodziłaby do gry wtedy, gdy powiat – co dzieje się niestety często – twierdzi, iż np. nie jest w stanie znaleźć rodziny dla dziecka.

Te wszystkie zmiany mają doprowadzić do sytuacji, w której placówki pieczy przestaną być potrzebne, bo praca rodzica stanie się bardziej atrakcyjna. Brzmi dobrze, ale zapowiedzi podobnych rewolucji mieliśmy już kilka.

Nie mam na ten sceptycyzm żadnej przekonującej odpowiedzi. Ale wierzę, że tym razem się uda, a my i nasze dzieci na tym skorzystamy.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

BEATA POTOCKA *jest matką dziewięciorga dzieci, mieszka w Gdyni.*

Rasa, etniczność, geny. Co mówią amerykańskie badania?

GENETYKA ▪ Gdy przed dekadą Rachel Dolezal, prezydentka amerykańskiego Krajowego Stowarzyszenie na rzecz Popierania Ludności Kolorowej, ogłosiła, że identyfikuje się jako osoba czarna, mimo że jej rodzice są biali, wywołała chyba wszystkie możliwe reakcje medialne. Na Dolezal z różnych ideologicznych obozów sypały się gromy za rasową maskaradę (zarzucano jej, że zmieniła wygląd, by bardziej upodobnić się do swojej „przybranej rasy"), inni komentatorzy skupiali się na obronie jej dokonań na polu walki o równość rasową, jeszcze inni – m.in. biolodzy Richard Dawkins i Jerry Coyne – wykorzystali jej przypadek do przekonania, że z naszym współczesnym dyskursem na temat rasy coś jest głęboko nie tak.

Gdyby bowiem Dolezal miała wśród rodziców, dziadków czy pradziadków choćby jedną osobę o afroamerykańskim rodowodzie, jej rasowa deklaracja zostałaby w USA przyjęta ze zrozumieniem. Traktujemy rasy, przekonywał Dawkins, jako coś zero-jedynkowego, co można odziedziczyć po swoim dowolnym przodku – a to z biologicznego punktu widzenia wydaje się nieporozumieniem.

Głośny „transrasowy" przypadek Dolezal zapewne znów zostanie przywołany w amerykańskiej publicystyce po tym, jak naukowcy zrzeszeni w jednym z flagowych amerykańskich projektów medycznych All of Us opublikowali raport z badań, w których przeanalizowali genomy 230 tys. Amerykanów i zestawili je z wynikami ankiety, w której te same osoby pytano o identyfikację rasową i etniczną. Analizy pokazały, że samoidentyfikacja rasowa Amerykanów często nie pokrywa się z tym, co o ich pochodzeniu mówią geny.

Biolodzy pojęcia „rasy" używają ostrożnie – z jednej strony historycznie okryło się ono złą sławą, z drugiej – ponieważ ludzkie populacje są genetycznie wymieszane. Nie oznacza to jednak, że profil genetyczny każdej społeczności jest identyczny. Raczej to, że różnice genetyczne między populacjami są subtelne, a nasze typowe współczesne kategorie rasowe, obciążone trudnym bagażem historycznym i kulturowymi stereotypami, zupełnie ich nie oddają. Np. u osób o rodowodzie wschodnioafrykańskim oraz zachodnioafrykańskim częściej pojawiały się inne warianty genetyczne, które mogą mieć znaczenie z punktu widzenia medycyny – tymczasem przedstawiciele jednej i drugiej grupy bez wyjątku w USA klasyfikowani byliby jako czarni lub Afroamerykanie. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Nieśmiertelność po krakowsku

LAUREAT ▪ Ksiądz Adam Boniecki został honorowym obywatelem Krakowa.

5 czerwca hejnał rozbrzmiał nie z wieży mariackiej, a z balkonu sali obrad rady miasta Krakowa. Laudację wygłosił prezydent Aleksander Miszalski. „Ksiądz Adam Boniecki jest człowiekiem, który swoimi czynami i słowami daje na co dzień świadectwo odwagi, emocjonalnego zaangażowania oraz gotowości do przełamywania utartych schematów działania i myślenia" – zaczął.

Zaznaczył, że ks. Boniecki nigdy nie obawiał się, iż jego wypowiedzi mogą się komuś nie spodobać. „Jego publikacje przez lata wywoływały skrajne reakcje: od zachwytu po próby cenzury. Dręczono go zakazami wypowiedzi przez rzekome sianie zgorszenia. W rzeczywistości ksiądz Adam nigdy nie obawiał się zadawać trudnych pytań – mówił prezydent Miszalski. – Ksiądz Adam jest gorącym zwolennikiem otwartości i przeciwnikiem wszelkich form upolityczniania wiary oraz sakralizacji polityki. Stawia odpór podsycaniu społecznych podziałów i eskalowaniu konfliktów".

Podkreślił, że dla ks. Bonieckiego priorytetem była zawsze solidarność z najsłabszymi. „I mam tu na myśli zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Ksiądz Adam jest latarnią humanizmu w kryzysowych czasach erozji empatii, cynizmu i okrucieństwa. Jako komentator polskiej i europejskiej rzeczywistości w tylu ustrojach i epokach nieprzerwanie walczy o wolność jako najwyższą w hierarchii wartości ziemskich, wskazując na niebezpieczeństwa autorytaryzmu" – mówił Miszalski.

GRAŻYNA MAKARA

Uroczystość wręczenia aktu nadania Honorowego Obywatelstwa Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa ks. Adamowi Bonieckiemu. Na zdjęciu Laureat z Aleksandrem Miszalskim, Jakubem Koskiem i Iwoną Chamielec w krakowskim magistracie, 5 czerwca 2025 r.

„Z Krakowem łączy mnie dziś wiele, ale najbardziej łączy mnie więź, która powstawała przez lata. Więź z ludźmi, rzecz jasna, choć żyjąc w Krakowie trudno nie zaprzyjaźnić się też z zabytkami" – mówił ks. Adam Boniecki, dziękując za wyróżnienie.

Wspomniał tych, którzy – jak podkreślił – wywarli wpływ na jego życie. Annę i Jerzego Turowiczów oraz lata spędzone w ich krakowskim mieszkaniu przy ulicy Lenartowicza. „Jerzy Turowicz wiedział, kiedy musi być niezłomny, a kiedy może, i powinien, godzić się na kompromisy". I dodał: „Nauczyłem się przy Jerzym, że są sytuacje, gdzie mówić nie warto, i sytuacje, w których milczeć nie wolno".

Wymienił także swoich „szefów w pionie kościelnym": bp. Jana Pietraszkę, proboszcza parafii św. Anny, i kard. Karola Wojtyłę. Oraz grupę studentów, dla których był duszpasterzem.

Na koniec dodał: „Większość życia przeżyłem w Krakowie – w kościele i redakcji. Czy pożytecznie? – sąd nie należy do mnie. Wiem, że w historii tego miasta jestem małym punkcikiem, który w miarę czasu będzie coraz mniejszy, ale zostanie, bo w Krakowie wszystko zostaje. Za wyróżnienie, które dziś mnie spotyka, jestem ogromnie wdzięczny. To w każdym razie jest jakaś nieśmiertelność".

©℗ ANNA GOC

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

WOJNA DWÓCH ELIT

Powyborczy spór o lud i elity, pogardę i odklejenie tyleż odkrywa, co zakrywa ważną prawdę o Polsce. Faktyczny społeczny podział wygląda inaczej.

JAKUB DYMEK

Polskim wyborom towarzyszy pewien rytuał. Po ogłoszeniu wyników jedna połowa społeczeństwa narzeka na głupotę i demoralizację drugiej. Następnie pojawiają się narzekający na narzekających. Pierwsi musztrują większość społeczeństwa za zły wybór. Drudzy musztrują pierwszych za pogardę, odklejenie i pychę. Czyli te właśnie cechy, z powodu których przegrywają i porażki przyjąć nie potrafią.

Rytuał ten dokonuje się jawnie – ustami medialnych, politycznych i symbolicznych elit. Dokonuje się też półprywatnie – w domach, w pracy i na cyfrowych komunikatorach. Dziś uważa się, że to obrzęd Polski liberalnej – bo ona od dekady częściej wybory przegrywa. Ale były czasy, kiedy na odmóżdżonych „lemingów" narzekali konserwatyści. Nikt nie ma monopolu na pogardę. Każdy ma swoich ulubionych winowajców i – jak u Brechta – chciałby co jakiś czas rozwiązać społeczeństwo i wybrać sobie nowe.

Nie inaczej było i w tym roku.

Od Hartmana do Twardocha

W wyborczą noc i poranek odezwał się znajomy chór reżyserek, filozofów i najróżniejszych kreatorów smaku, by załamać ręce nad durnotą społeczeństwa. Sprzyjające Platformie profile w mediach społecznościowych pełne były cytatów z najróżniejszych autorytetów, zwiastujących upadek wszystkich wartości. Niektóre wpisy były tak karykaturalne, że nie sposób odgadnąć, czy to prawdziwe przemyślenia autora, czy satyra na poczucie własnej wyższości elit. Jak ten z konta prof. Jana Hartmana: „sutenerzy, psychopaci, gangsterzy i zwykłe bydło piorące się po mordach w sejmowym barze – czy 1 czerwca oddadzą im Polskę debile, faszyści, nieuki, do spółki z bigotkami?".

To pierwsza część rytuału, bo wkrótce zabiera głos zjednoczony front pogardzających pogardą. Ludzie tak różnych życiowych dróg jak Peja, Paulina Matysiak i Szczepan Twardoch zwracają się z tyleż słusznymi, co próżnymi apelami o pohamowanie tej nienawiści. I punktują swoich kolegów – reprezentantów tej samej klasy ludzi, których internetowy wpis ma rangę newsa. „Ile głosów na swojego kandydata pozyskał profesor [Jan] Hartman nazywający wyborców [Karola] Nawrockiego debilami, nieukami i faszystami? Ilu przysporzyła mu Manuela Gretkowska wdzięcznie opowiadająca o ludziach głosujących na wdychanie własnych pierdów, ilu profesor [Michał] Bilewicz twierdzący, że głosujący na Nawrockiego stoją po stronie morderców z Jedwabnego i wszyscy inni, w których pogarda do połowy obywateli własnego kraju wygrywa z rozumem?" – pyta retorycznie śląski pisarz.

Góra – dół

W tym rytualnym sporze jedni reprezentują „górę" – wykształconą i wielkomiejską część społeczeństwa, która mimo swojej ciężkiej pracy i niezaprzeczalnego awansu w III RP cały czas czuje, że demokracja jest w gruncie rzeczy pomysłem niebezpiecznym, bo w każdej chwili 50 proc. i jeden głos ciemniaków może im to wszystko odebrać. Drudzy zabierają głos w imieniu „dołu" – milionów rodaków, którzy nie podzielają wrażliwości i poglądów postępowych mieszczan i nie chcą być zdominowani przez mniejszość przekonaną o swojej przewodniej roli i naturalnym przeznaczeniu do rządzenia.

Choć mamy mniej zakorzenioną i zamożną elitę niż Brytyjczycy czy Amerykanie, ten powyborczy spór odbywa się u nas mocniej niż w innych zachodnich demokracjach. Być może jest coś w inteligenckich kodach naszego życia publicznego, rodem z XIX i XX wieku, co czyni te wzajemne połajanki tak ważnym obrzędem. Być może w przyszłości będziemy za nimi tęsknić. Mam jednak wrażenie, że dziś powinniśmy te kategorie raz jeszcze przemyśleć.

W tym cyklu wyborczym wielki spór o lud i elity, pogardę i odklejenie, tyleż nam bowiem odkrywa, co zakrywa. Bo faktyczny społeczny podział w Polsce wygląda dziś inaczej.

Co wyczytaliśmy z „Chłopek"

Zacznijmy jednak od tego, w czym uczestnicy rytualnej dyskusji mają rację. Tak, nie brakuje w Polsce pogardy i wyższościowej postawy elit wobec „ciemniaków" i „chamów". Symptomatyczny jest tu język, zapożyczony w nieomal niezmienionej formie z Polski czasów chłopów i panów. Z jednej bowiem strony wielką popularnością cieszą się książki w nurcie historii ludowej, a czytający te pozycje utożsamiają się ze zbiorowym bohaterem sprzed wieków. Współcześnie mają jednak do biedniejszych od siebie i mieszkających na prowincji stosunek nie mniej pogardliwy czy wręcz rasistowski, co szlachta.

Postawy wsi (a właściwie całej Polski poza kilkoma największymi aglomeracjami), opór dużej części społeczeństwa wobec zbyt forsownej modernizacji, dystans do obcych, przywiązanie do tradycji czy strategie biernego i czynnego oporu wobec planów elit – to wszystko jest ciekawe, dopóki egzotyczne. Bliżej nas – budzi niezrozumienie, wstręt i panikę. Zauważyła to choćby prof. Małgorzata Jacyno w arcyciekawym wywiadzie dla magazynu „Kontakt". Socjolożka pokazała, jak zaczytane w „Chłopkach" czy „Chamstwie" elity chcą „empatyzować" i „przełamywać mury milczenia" z klasą ludową. Ale zarazem nie chcą przyjąć, że ta może mieć własne interesy i potrzeby. Odmienne niż tylko potrzeba bycia wysłuchanym i odmienne od tego, na co elity skłonne byłyby się zgodzić.

Pedagogika wstydu

W tej kampanii więcej jednak niż pogardy czy klasizmu było zawstydzania. Obóz rządzący uznał już wyższość programową Kaczyńskiego i dlatego realizuje jego program, od 800 plus, przez uszczelnienie granicy, po budowę CPK. Pisałem o tym w „TP" rok po wyborach. Platforma, nie mogąc podjąć programowej polemiki z obozem PiS i Nawrockim, ale też Konfederacją i Mentzenem, skazana była na innego rodzaju propagandę.

Wyborców trzeba było nie tyle przekonać, że Trzaskowski ma lepsze rozwiązania, ile pokazać, że poparcie Nawrockiego jest powodem do wstydu. „Jak to, sutenera, alfonsa, gangstera, chuligana i oszusta chcecie wybrać? Jak Wam nie WSTYD?!" – mówiły wprost i nie wprost wyborcze komunikaty. Głosowanie dla zwolenników tego podejścia stało się kwestią nie programu, lecz przyzwoitości.

Tylko że moralna wyższość nie wygrywa wyborów. Opisane przez badaczy przykłady Węgier, Wielkiej Brytanii, nie mówiąc o USA, pokazały, że rodaków coraz trudniej zawstydzić, jeśli głosują ↦

Na trasie pomiędzy Białymstokiem a Zabłudowem, 18 maja 2025 r.

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ za tym, co widzą jako poprawę własnego losu; dość podać nazwiska Trump, Milei, Le Pen, Farage czy teraz Nawrocki. Co więcej: obóz rządowy ma ten problem, że z wieloma diagnozami PiS i Konfederacji, od podejścia do migracji po nazywanie NFZ „studnią bez dna", a ZUS „piramidą finansową", aż po pęd do deregulacji i nowo odkryty sprzeciw wobec europejskiego prawa, się zgadza. A nawet jest w stanie wypić za to piwo, co pokazały zdjęcia Trzaskowskiego i Sikorskiego w pubie Mentzena.

Transformacyjny podział się wypalił

Ale opis tegorocznych wyborów prezydenckich jako starcia elit i ludu nie sprawdza się także z innego powodu. Owszem, wydawać by się mogło, że pochodzący ze społecznych dołów Nawrocki i wywodzący się z wyżyn Trzaskowski to idealni „proxy" – kandydaci zastępczy – biednej i bogatej Polski. Awatary ofiar i wygranych polskiego kapitalizmu. Ale w świetle tego, co dziś napędza naszą politykę, byłby to wniosek błędny. W programach, obietnicach i języku tego sporu nie dało się jasno wyczytać podziału na Polskę liberalną i solidarną. Jedni i drudzy ścigali się o głosy przedsiębiorcy i sympatyka Konfederacji, nie biednej emerytki.

Wybory nie były też sporem o 800 plus, o emerytury, o płace minimalne i dziedzictwo transformacji. To ostatnie zauważył choćby Jacek K. Sokołowski w niedawnym wywiadzie dla „TP", podkreślając, że podział transformacyjny się wypalił. 800 plus się znormalizowało i nie tylko zwalczająca niegdyś PiS-owskie rozdawnictwo koalicja rządząca, ale nawet Konfederacja coraz mniej otwarcie je kontestują. Spór kampanijny nie dotyczył zasadności świadczeń dla Polaków, a tego, czy odebrać je mieszkającym w Polsce Ukraińcom.

W sprawach materialnych wszystkim kandydatom – z wyjątkiem Adriana Zandberga i Magdaleny Biejat – chodziło o to samo: byśmy płacili mniejsze składki, gromadzili kolejne mieszkania i wprowadzali dalej idące ulgi oraz regulacje korzystne dla rodzimych przedsiębiorców. Unijne regulacje krępujące rozwój biznesu, podatek od kilku nieruchomości czy koszt składki NFZ to nie są zmartwienia wykluczonych mieszkańców prowincji. W odróżnieniu od wyborów 2015 i 2019 r. nie mieliśmy więc starcia dwóch modeli społecznych.

Co zyskała prowincja

Liberałowie i główny nurt komentariatu coś przeoczyli, ale nie chodzi o pogardę dla ludu. Polska prowincja nie jest już morzem nędzy, zacofania i zgryzoty, jak sądzi niemało zawodowych analityków życia publicznego, którzy rzadko opuszczają stolicę. W ciągu 10 lat wiele się w tej kwestii zmieniło. Polityka transferów pomogła ograniczyć biedę, a stały rozwój gospodarczy i rosnące znaczenie przemysłu stworzyły wiele fortun. Struktura społeczna wsi zmienia się przez migrujących do niej mieszczuchów, którzy przywożą swoje modele życia i wartości. Ale także majątki, działalności gospodarcze oraz zapotrzebowanie na nowe usługi – od edukacji po gastronomię.

> W wyborach 2025 r. nie mieliśmy sporu elity i społecznych dołów. **Przeciwnie – rozstrzygający był spór dwóch elit.** Metropolitalnej i „globalistycznej" oraz lokalnej i „suwerenistycznej".

Naszkicowany grubą kreską bilans zmian w ostatniej dekadzie wygląda mniej więcej tak. Metropolie zostały tam, gdzie są: przodują tak pod względem dostępnych usług i dobrych miejsc pracy, jak nierówności i – bywa – niemożliwie wysokich kosztów życia. Średnie miasta tracą młodych mieszkańców, usługi publiczne i dobrej jakości miejsca pracy. Zyskuje wieś i prowincja, gdzie wpływ transferów społecznych i podwyżek jest nieproporcjonalnie większy, koszty mieszkania i utrzymania są niższe, a rozwój przemysłu i lokalnych biznesów daje więcej możliwości pracy niż tylko w rolnictwie lub kiepsko płatnym sektorze administracji samorządowej.

A to oznacza, że w wyborach 2025 r. nie mieliśmy sporu elity i społecznych dołów. Przeciwnie – mieliśmy wybory, w których rozstrzygający był spór dwóch elit. Metropolitalnej i „globalistycznej" oraz lokalnej i „suwerenistycznej".

Polski swing state

Dziś twarz polskiego milionera to niekoniecznie prawnik z warszawskiej kancelarii, właściciel prywatnej kliniki czy menadżer zagranicznej korporacji. To coraz częściej właściciel zakładu rozbioru drobiu, operator dużej hurtowni na lokalnym rynku, szef firmy budowlanej z miasteczka, lekarz, który wystawia faktury powiatowemu szpitalowi. To oni kupują dzieciom mieszkania za gotówkę w Warszawie czy Wrocławiu. Oni też latają na drogie zagraniczne wakacje albo wręcz do własnych apartamentów w Hiszpanii. I wracają z nich przekonani, że w porównaniu do niebezpiecznych, brudnych i pełnych migrantów krajów Europy Zachodniej u nas jest dobrze. I nie ma się czego wstydzić, trzeba nawet żądać, by było jeszcze lepiej.

Ale nawet nieco mniej zamożni nie mają już kompleksów wobec miasta. Właściciele przyzwoicie prosperujących firm i gospodarstw rolnych, sektor transportu i usług dla lokalnego przemysłu i przetwórstwa, prawnicy i coraz lepiej wynagradzane zawody medyczne, branża beauty, wyższa-średnia klasa z prowincji... idą po swoje. Wiemy to nie od wczoraj. Jak w wywiadzie udzielonym mi pięć lat temu – po kolejnej klęsce PO na wsi – tłumaczył prof. Jacek Raciborski: „Względny dobrobyt zniósł niegdyś silną presję na wykształcenie i wyjazd. Miasto przestało być synonimem awansu i lepszego życia. Porzucenie tego rodzaju aspiracji ułatwiło w ogóle zakwestionowanie wartości propagowanych przez elity. Miejskie elity straciły rząd dusz".

Do tej opowieści można tylko dołożyć fakt o rozwijającym się Rzeszowie, Podkarpaciu i Małopolsce czy deweloperskim (i cenowym) boomie w Białymstoku. Jak mawia znany z tych łamów Marcin Kędzierski: to polski przedsiębiorca ze wsi i małego miasta jest dziś „polskim *swing state*".

Kogo rozczarował Tusk

To on w tych wyborach domagał się jakiegoś transferu. „Wreszcie jakiegoś

500 plus nie dla PiS-owców i nierobów, tylko dla nas" – jak mówili w badaniach fokusowych wyborcy PO przed wyborami 2023 r. To grupa, która uwierzyła w obietnice ze „100 konkretów" Donalda Tuska i chciała korekty wobec PiS-u – ale takiej, która odkręci Polski Ład i Zielony Ład. Liczyli, że władza zdejmie z nich ciężary inflacji, wojny w Ukrainie, wysokich składek, drogiego paliwa i energii.

To ważne: mówimy o ludziach, którzy w 2023 r. – właśnie dzięki obietnicy niższych podatków i składek oraz cofnięcia PiS-owskiego „rozdawnictwa", „socjalizmu" i „gnębienia przedsiębiorców" – zagłosowali na partie przyszłej koalicji, np. Trzecią Drogę. Ale równie dobrze odnaleźliby się w bardziej konserwatywnym skrzydle PO, w PiS (gdyby nie Morawiecki), w PSL, w Konfederacji, a nawet u Brauna. Ich 500 plus miała być obniżona składka zdrowotna, wyższa kwota wolna i „cofnięcie Polskiego Ładu". Kilkusetzłotowy transfer kieszeni do lepiej zarabiających. I właśnie tego od rządu nie dostali.

Postulat obniżki składek na NFZ i podniesienia kwoty wolnej to szkodliwe, wręcz antypaństwowe propozycje. Ale z taktycznego punktu widzenia niezrealizowanie tych pomysłów w pierwszym roku rządów było może największym błędem Donalda Tuska. Zniechęceni, wściekli na konieczność przedłużającego się utrzymywania uchodźców z Ukrainy i źli, że państwo ich „okrada", albo na wybory nie poszli, albo przerzucili poparcie na innego kandydata prawicy, który obiecywał to, czego PO nie dała.

Pożyczony elektorat

Za tą intuicją przemawia nie tylko język kampanii – skupiony na przedsiębiorcach, na składkach, na tym, że polskie firmy przegrywają z konkurencją, a UE trzeba w regulacyjnych zapędach pohamować. Mamy także dane: to właśnie 1,5-2 mln wyborców Trzeciej Drogi i rozczarowanych sympatyków PO – „pożyczony elektorat Mentzena i Konfederacji", jak ujął to Daniel Pers – okazało się kluczowe.

Tylko takie ujęcie tego sporu – elita „globalistyczna" kontra „suwerenistyczna" – tłumaczy skok poparcia dla Konfederacji i Brauna. Gdyby wybory naprawdę rozstrzygały się tylko według podziału biedni-bogaci czy elita-prowincja, to Nawrocki, reprezentujący PiS – ugrupowanie mające nieomal monopol na głos socjalny – wypadłby w I turze dużo lepiej. Zaś grupy, w jakich Mentzen zdobył najwyższe poparcie w ostatnim przedwyborczym sondażu CBOS, to: zarabiający powyżej 9000 brutto (najwyższe widełki dochodowe ujęte w badaniu, 21 proc.), uczniowie i studenci (25 proc.) oraz w przedziale wiekowym 25-34, gdzie wygrałby I turę otrzymując 38 proc. głosów!

Trudno powiedzieć, żeby to był portret wykluczonych. I choć Mentzen cieszył się ponadprzeciętnie dużym poparciem na wsi i wśród osób z wykształceniem podstawowym, to jego (razem z Braunem) wyborcy stanowią różnorodną koalicję, której wspólnym mianownikiem nie jest bieda i krzywda. Prędzej wściekłość na zablokowane rzekomo przez UE, Zielony Ład i migrantów drogi awansu oraz przymus dzielenia się z nimi polskim dobrobytem. „Tu jest Polska!" – skandował Braun, a więc w Polsce to Polakom powinno żyć się lepiej, polskie biznesy powinny być faworyzowane, a prawo powinno wspierać polskich posiadaczy majątku, w tym mieszkań. Zawołanie Brauna, podobnie jak konfederacka obietnica „normalnego życia", odwołuje się do społecznego awansu i aspiracji (znów: rzekomo krępowanych przez UE), a nie do ofiar neoliberalizmu.

Pozdrowienia z Zachodu

Kto zresztą miał prawo bać się najbardziej podatków od samochodów spalinowych i emisji, kosztów Zielonego Ładu, drogiego paliwa i energii, ściślejszej regulacji biznesu, rosnących kosztów utrzymania systemu społecznego w starzejącym się społeczeństwie, nieuczciwej konkurencji ze wschodu oraz dalszej destabilizacji gospodarczej wynikającej z przedłużającej się wojny w Ukrainie? Dokładnie ta warstwa, o której tu mówimy.

Tylko to nie jest spór wielkomiejskiej elity z ludowymi masami. Przeciwnie, to spór dwóch elit albo – jeśli trzymać się terminologii Petera Turchina – elity i „kontrelity". W którym to sporze obie walczą o to, by Polska opowiedziała się mocniej za jednym z dwóch modeli kapitalizmu. Bardziej globalistycznym, który służy elicie wielkomiejskiej, branżom kreatywnym i sektorowi usług, czy lokalno-suwerenistycznym, który jest lepszy dla wysokoemisyjnych i „brudnych" branż oraz zakłada weto nad Zielonym Ładem, integracją Ukrainy z UE i NATO czy liberalizacją handlu z krajami MERCOSUR na czele.

Ale to znaczy także – jeśli kogoś to pocieszy – że Polska się zokcydentalizowała. Co bowiem mówi nam fakt, że spieramy się o status posiadaczy majątku (mieszkań, ziemi i samochodów), że rozpala nas kwestia świadczeń dla obcych (jak mówią badacze, „szowinizm socjalny"), że chcemy jeszcze większego dowartościowania jednego segmentu elit kosztem drugich, z nadzieją, że napompujemy tym własnych czempionów gospodarki kosztem cudzych i domagamy się agresywnej roli państwa w obronie statusu klasy średniej? To znaczy, że dalej już nam do Polski czasów sporu o transformację, a bliżej do współczesnych Niemiec, Holandii, Wielkiej Brytanii czy Hiszpanii, gdzie to właśnie te tematy są sednem kolejnych kampanii, a spór różnych elit o ochronę własnej pozycji czymś najnormalniejszym pod słońcem. © JAKUB DYMEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: PIOTR MUCHARSKI
Zastępcy red. naczelnego:
EWELINA BURDA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Redakcja:
www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca:
Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji:
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów:
www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Konferencja prasowa koalicjantów. Włodzimierz Czarzasty, Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz w Sejmie. Warszawa, 5 czerwca 2025 r.

KAC W KOALICJI

Na wyborczą katastrofę Rafała Trzaskowskiego obóz rządowy ma odpowiedzieć nową umową koalicyjną i rekonstrukcją gabinetu Donalda Tuska. Czy uda się w ten sposób uniknąć porażki w 2027 roku?

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Po przegranych przez Trzaskowskiego wyborach prezydenckich politycy obozu rządowego są w fatalnych nastrojach i szukają każdego sposobu na pocieszenie. Jednym z nich jest przywoływanie porównań do sytuacji sprzed 20 lat. W 2005 r. też w drugiej turze wyborów prezydenckich Tusk przegrał z Lechem Kaczyńskim, co podobnie jak dziś było szokiem, bo pierwsza tura zakończyła się zwycięstwem lidera PO. Jednak dwa lata później to Platforma wygrała przyspieszone wybory parlamentarne. Teraz ten scenariusz ma szansę się powtórzyć – można usłyszeć w sejmowych kuluarach.

To jednak głos mniejszości. Dominuje żal i wzajemne pretensje, których nie powstrzymał ani zapowiedziany przez premiera wniosek o wotum zaufania dla jego gabinetu, ani kolejne spotkania liderów. W koalicji wrze.

Trzecia Droga atakuje

Najmocniej wybrzmiały wypowiedzi Marka Sawickiego i Michała Kamińskiego z PSL, oczekujących dymisji Donalda Tuska. Zwolennicy takiej koncepcji przekonują, że od dawna zwracali uwagę, iż kojarzony z progresywną

agendą (i zdejmowaniem krzyży w urzędach stolicy) Trzaskowski nie ma szans na zwycięstwo z kandydatem PiS, ktokolwiek nim będzie. I że trzeba było wystawić kogoś o wizerunku bardziej konserwatywnym, na przykład Radosława Sikorskiego, który wtedy mógłby stać się wręcz kandydatem całej koalicji. Zdaniem niektórych ludowców odpowiedzialność za to, że tak się nie stało, ponosi niepopularny w społeczeństwie Tusk – powinien więc ponieść konsekwencje.

Nie tylko w PSL, ale w całej Trzeciej Drodze można usłyszeć liczne zarzuty pod adresem premiera. Politycy Polski 2050 mają pretensje, że prowadzi politykę niezrozumiałą, ogłaszając z zaskoczenia swe pomysły na konferencjach, bez konsultacji wewnątrzkoalicyjnych. Robi przy tym wrażenie człowieka przekonanego o swym geniuszu, tymczasem, jak twierdzą w Polsce 2050, to w dużej mierze dzięki Szymonowi Hołowni udało się osiągnąć w wyborach w 2023 r. wynik, który umożliwił Tuskowi stworzenie koalicji i rządzenie.

– Kaczyński i Tusk solidarnie niszczą swoje przystawki, tylko że pierwszy je konsumuje, a drugi je gubi po drodze – kpi polityk Polski 2050, komentując grubo ponad milion głosów utraconych przez koalicję od jesieni 2023 r. Część wyborców została w domach z powodu rozczarowania niezrealizowaniem wielu obietnic, inni przenieśli swe poparcie na rzecz Sławomira Mentzena.

Wyjątkowo ostry jest zwłaszcza komentarz Joanny Muchy w mediach społecznościowych, która nazwała wybory prezydenckie „kroniką zapowiadanej porażki", ironizując, że skoro z tak obciążonym wizerunkowo kandydatem jak Karol Nawrocki nie udało się wygrać Rafałowi Trzaskowskiemu, to właściwie nie udałoby mu się wygrać z nikim. Krytykowała hermetyczność sztabu kandydata KO i jego przekonanie o własnej nieomylności.

Innym przejawem wewnątrzkoalicyjnych rozliczeń było tradycyjne już iskrzenie między politykami KO a minister funduszy Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz z Polski 2050. Gdy ta ostatnia na portalu X zaczęła formułować postulaty pod adresem rządu, ostro skomentowała to Magdalena Filiks z KO: „Do kogo pani to pisze? To pani jest rządem".

Nie będzie rozliczeń?

Lewica jest bardziej powściągliwa, jednak kandydatka na prezydenta Magdalena Biejat krytykuje organizację pracy w KPRM. Jej zdaniem nie wszystkie projekty ustaw trafiają na posiedzenia rządu, brakuje też polityki informacyjnej i rzecznika prasowego, przez co społeczeństwo nie za bardzo wie, co robi gabinet Tuska.

Niektórzy politycy zauważają, że od początku koalicja miała trochę pecha, bo w pierwszych miesiącach funkcjonowania rządu zdarzyły się dwie kampanie wyborcze – samorządowa i europejska – które zmusiły partnerów koalicyjnych do akcentowania różnic. A to zaciążyło na współpracy.

Stosunkowo najspokojniej reagują politycy samej Koalicji Obywatelskiej, chociaż wielu działaczy tej formacji nie ukrywa szoku po porażce Trzaskowskiego. Pojawiły się oczywiście postulaty rozliczenia zwłaszcza sztabowców prezydenta Warszawy, którzy bardziej zajmowali się atakami na Nawrockiego niż promowaniem programu swojego szefa. Jednak podczas spotkania klubu parlamentarnego KO z Donaldem Tuskiem nie było mowy o rozliczeniach, a posiedzenie miało raczej motywacyjny charakter. Przyjechał na nie też Trzaskowski, po którym podobno nie było widać skutków politycznej katastrofy. – Rafał miał na twarzy uśmiech numer pięć, ale jego sztabowcy milczeli. Sławek Nitras wyglądał, jakby postarzał się 15 lat – opowiada poseł KO.

W czwartek po kolejnej turze rozmów liderów koalicji na wspólnej konferencji prasowej wystąpili Szymon Hołownia, Władysław Kosiniak-Kamysz i Włodzimierz Czarzasty. Zapewniali, że koalicja ma plan, który niebawem zostanie przedstawiony, powołany zostanie też w końcu rzecznik. Będzie również rekonstrukcja rządu, nad którą pracuje premier. Ponadto spotkania liderów mają się teraz odbywać regularnie, w ramach tzw. rady koalicji. Sporym zgrzytem był jednak fakt, że obok trzech przywódców partyjnych nie stanął na konferencji Donald Tusk.

Były premier, obecnie szef rady naczelnej PSL Waldemar Pawlak pozytywnie ocenia zapowiedź regularnych spotkań. – Mamy czerwiec i lipiec, żeby przygotować strategię. Liderzy koalicji powinni przyjąć rytuał watykański, czyli raz na tydzień rozmawiać o najważniejszych sprawach. W czasach, kiedy byłem w rządzie z premierem Tuskiem, takie spotkania się odbywały, tak samo było w czasach koalicji PSL z SLD – mówi.

W najbliższych tygodniach ma zostać przygotowana poprawka do umowy koalicyjnej, która będzie wymieniać kilka konkretnych spraw do zrealizowania w ciągu 2,5 roku do wyborów. Jednak opracowanie nowego porozumienia może potrwać dłużej, bo partnerzy mają odmienne oczekiwania. Na pewno jednak nie będzie problemu z ustąpieniem Hołowni z funkcji marszałka Sejmu na rzecz Czarzastego.

Protokół rozbieżności

Polska 2050, jak przekonuje szef klubu Paweł Śliz, pragnie w pierwszej kolejności odpolitycznienia mediów publicznych, przede wszystkim TVP. – To musi być telewizja naprawdę publiczna, a nie partyjny łup dla ugrupowania, które jest aktualnie przy władzy – przekonuje. Poza tym partia Hołowni upiera się przy tzw. ustawie antykuwetowej (mającej odpartyjnić władze spółek skarbu państwa), ustawie o asystencji osobistej dla osób z niepełnosprawnościami oraz przy programie mieszkaniowym, ale wspierającym budownictwo społeczne – z jednoczesną rezygnacją z dopłat do kredytów. Formacja chciałaby też wrócić do kwestii obniżenia składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, a sam Hołownia podnosi postulat wprowadzenia zakazu smartfonów w szkołach.

Lewica swoje postulaty formułuje ostrożnie, wskazując m.in. na budowę tanich mieszkań na wynajem, ministra ds. równości Katarzyna Kotula zaś po raz kolejny podkreśla potrzebę uchwalenia ustawy o związkach partnerskich. W wypowiedziach polityków lewicy, którzy niechętnie mówią o swoich propozycjach dotyczących nowej umowy koalicyjnej, wraca oczywiście postulat liberalizacji, a przynajmniej dekryminalizacji aborcji, choć nikt nie ma wątpliwości, jakie stanowisko w tej sprawie będzie miał prezydent Nawrocki.

PSL jako partia nie zgłasza wprost konkretnych postulatów, choć Waldemar Pawlak podkreśla, że do czasu inauguracji Nawrockiego koalicja powinna przedstawić nową umowę ze szczegółowymi rozwiązaniami, wśród których jego zdaniem powinna się znajdować ↦

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ np. liberalizacja ustawy „wiatrakowej" o Odnawialnych Źródłach Energii. Tym bardziej że sam Nawrocki w kampanii zapowiadał obniżenie cen prądu. – To bardzo dobra okazja, żeby poprawić ustawę o OZE, a więc ułatwić korzystanie z energii z wiatru, bo ona jest najtańsza – przekonuje były premier.

Ustawę liberalizującą zasady stawiania wiatraków przygotowała na samym początku rządu Tuska minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska z Polski 2050, ale po pojawieniu się zarzutów o lobbing rząd tego projektu nie zaakceptował, a cała sprawa została odłożona na później. Los samej minister zaś, skonfliktowanej dodatkowo z myśliwymi, jest niepewny.

Zdaniem Pawlaka powinno się ponownie powołać Rządowe Centrum Studiów Strategicznych, które opracowałoby nową strategię, a delegować tam swojego przedstawiciela mógłby też prezydent (w ten sposób sprawdzono by jego intencje). Były premier postuluje też przyjęcie ustaw o decentralizacji państwa i przekazaniu części kompetencji samorządom wojewódzkim – na poziomie lokalnym rozstrzygano by np. kwestię zakazu handlu w niedzielę.

Mogli ułożyć się z Dudą

Politolog prof. Maciej Górecki z UW jest sceptyczny, czy koalicji rządowej uda się uzgodnić spójny program. – Sojusz ten jest złożony z czterech odrębnych, różniących się między sobą bytów. Skoro dotąd nie dowieźli obiecanych ustaw, to teraz też ich nie dowiozą, bo mają na ich temat różne punkty widzenia – podkreśla Górecki i jako przykład podaje mieszkalnictwo, w kwestii którego Platforma i PSL chciały do niedawna wprowadzać tanie kredyty (część ekspertów uważa, że to tylko podniesie ceny na rynku), a lewica i Polska 2050 postulują wsparcie budownictwa społecznego. Jedyną sprawą, w której partie koalicyjne mają podobne stanowisko, są ustawy sądowe, ale tu należy oczekiwać twardego sprzeciwu Nawrockiego, tak jak wcześniej było z Andrzejem Dudą.

Najważniejszy problem koalicji to brak sprawczości. Dotąd wynikał on z różnych czynników: głównie ze sporów programowych, ale też ze zwykłej niekompetencji i pilnego strzeżenia swoich wpływów. W wielu resortach był nadmiar polityków z wszystkich rządzących formacji, zarazem nie chciano otwierać się na zewnętrznych ekspertów w obawie przed utratą kontroli nad przyjmowanymi rozwiązaniami. Przez ciągłe kłótnie różnych grup interesów dorobek legislacyjny jest dziś słaby.

> Gdyby premier Tusk potraktował prezydenta Dudę bardziej na serio, niż traktował go prezes Kaczyński, niewykluczone, że byłoby więcej efektów pracy rządu. **Z Nawrockim będzie trudniej.**

Najlepiej widać to na przykładzie ustaw dotyczących wymiaru sprawiedliwości. Przez wiele miesięcy nie udawało się resortowi Adama Bodnara – niezależnie od spodziewanego sprzeciwu Dudy – wyprodukować ustawy rozwiązującej np. problem neosędziów. Jednym z powodów był spór między ministrem Bodnarem, który optował za łagodniejszymi rozwiązaniami, a środowiskiem skupionym wokół Stowarzyszenia „Iustitia", które chciało radykalnej ustawy, grożącej jednak paraliżem sądów. Po wielu miesiącach zaprezentowano dwa projekty, ale dotąd żaden nie trafił na oficjalną ścieżkę legislacyjną. Podobnie stało się z projektem rozdzielającym urząd ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Dziś można usłyszeć głosy, że gdyby od początku wobec prezydenta Dudy przyjęto bardziej koncyliacyjną linię, być może wynegocjowano by jakieś rozwiązania kompromisowe nawet w tak spornych obszarach jak sądy, media publiczne czy obsada ambasadorów.

– Gdyby premier Tusk potraktował prezydenta Dudę bardziej na serio, niż traktował go prezes Kaczyński, niewykluczone, że byłoby więcej efektów. Z drugiej strony, gdyby koalicja i rząd stworzyły na tyle dużo ustaw, że prezydent zawetowałby ich nie sześć, ale sześćdziesiąt, to byłby widoczny znak dla wyborców, że prezydent blokuje potrzebne zmiany, więc trzeba tę blokadę usunąć. Ale skoro zawetował tylko kilka ustaw, to znaczy, że nie on był tutaj opornikiem – przyznaje Waldemar Pawlak.

W koalicji dominuje jednak pogląd, że z Dudą nie dało się porozumieć. Przykładem jest tzw. ustawa incydentalna (miała zagwarantować niekwestionowaną ważność wyborów), w sprawie której prezydent co innego mówił na zamkniętych spotkaniach, nie wykluczając poparcia, a co innego publicznie, gdy ją krytykował i finalnie zawetował.

Jak zmieni się rząd

Przy prezydencie Nawrockim nie ma szans na zmiany ani w sądownictwie i prokuraturze, ani w mediach publicznych. W tej sytuacji wśród polityków obozu władzy pojawił się pomysł, by obsadzić władze mediów publicznych – wciąż będących w stanie likwidacji – z wykorzystaniem stworzonej przez PiS Rady Mediów Narodowych, gdzie obecnie koalicja ma większość. Wiceminister kultury Maciej Wróbel z KO zwraca jednak uwagę, że będzie to trudne, bo RMN jest przecież organem niekonstytucyjnym.

Nie wiadomo też, jak ma wyglądać zapowiadana przez Tuska rekonstrukcja rządu. Według najnowszych zapowiedzi dojdzie do niej w lipcu, choć według polityków KO kluczowych zmian można spodziewać się już w czerwcu, a w dalszej kolejności będą przetasowania na stanowiskach wiceministrów. Generalnie dominuje argument, że zmiany w rządzie powinny być dokonane jeszcze za prezydenta Dudy, by uniknąć upokorzeń ze strony Nawrockiego, mogącego je blokować.

Koalicjanci wciąż nie porozumieli się co do zakresu rekonstrukcji. Tusk nie raz zapowiadał, że chce mocno odchudzić rząd (choć sprzeciwiają się temu jego partnerzy z koalicji). Najczęściej można usłyszeć o wzmocnieniu ministra finansów Andrzeja Domańskiego (miałby zostać wicepremierem), o likwidacji Ministerstwa Przemysłu, odwołaniu trzech koalicyjnych ministrów bez teki (Katarzyna Kotula, Adriana Porowska, Marzena Okła-Drewnowicz) i zrobieniu z nich pełnomocników, a także o odebraniu lewicy resortu rodziny i pracy czy o ponownej konsolidacji resortów edukacji oraz nauki i szkolnictwa wyższego, co mogłoby oznaczać dymisję Barbary Nowackiej.

Na moment pojawiła się też koncepcja, by do rządu weszli wszyscy liderzy, ale ta raczej nie zostanie zrealizowana, bo Hołownia nie chce być jego członkiem, Cza-

rzasty zaś chce zostać marszałkiem Sejmu.

Co zrobić z Tuskiem

Czy realna i potrzebna byłaby też realizacja postulatu Sawickiego i objęcie rekonstrukcją samego Tuska? Nawet w KO można nieoficjalnie usłyszeć, że wymiana premiera nie jest już tematem tabu, a w kontekście jego następców najczęściej wymienia się Radosława Sikorskiego. Trzaskowski – choć poparło go 10 milionów obywateli – do tej funkcji się nie nadaje, bo ma wizerunek „przegrywa". Najczęściej można usłyszeć, że dokończy kadencję jako prezydent Warszawy, a w 2029 r. wystartuje w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Maciej Górecki przyznaje, że pozycja Tuska jako lidera w KO jest wciąż niekwestionowana, a przez twardy elektorat PO jest on wciąż uwielbiany. Tym niemniej podczas kampanii Trzaskowskiego popełnił błędy, które mogły mieć wpływ na wynik wyborów – jednym z nich był słaby występ w Polsacie w programie Bogdana Rymanowskiego. Zamiast się publicznie angażować, stwierdza politolog, Tusk powinien dbać zza kulis, by kampania szła dobrze.

Dr Katarzyna Bąkowicz z Uniwersytetu SWPS uważa, że wymiana premiera nie jest warunkiem naprawy sytuacji w koalicji. – Tu nie chodzi do końca o zmiany personalne, ale o zmiany dotyczące pracy politycznej – mówi Bąkowicz. Jej zdaniem lekceważenie przestrzeni informacyjnej i opieranie się na własnych przekonaniach zamiast na faktach to największe grzechy rządzących, które obnażyła kampania prezydencka. – Pozostaje pytanie, czy Donald Tusk chce funkcjonować nadal w swojej bańce informacyjnej w przekonaniu, że i tak wygra, bo jest Donaldem Tuskiem, czy będzie to moment pogłębionej refleksji – mówi.

Jeden z posłów KO zwraca uwagę, że po przegranych wyborach w mediach sprzyjających koalicji pojawiła się krytyka Tuska, co wcześniej było nie do pomyślenia. Jego zdaniem może to być zły prognostyk dla lidera PO. – Gdy bogowie zaczynają krwawić, zaczyna się początek ich końca – prorokuje.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

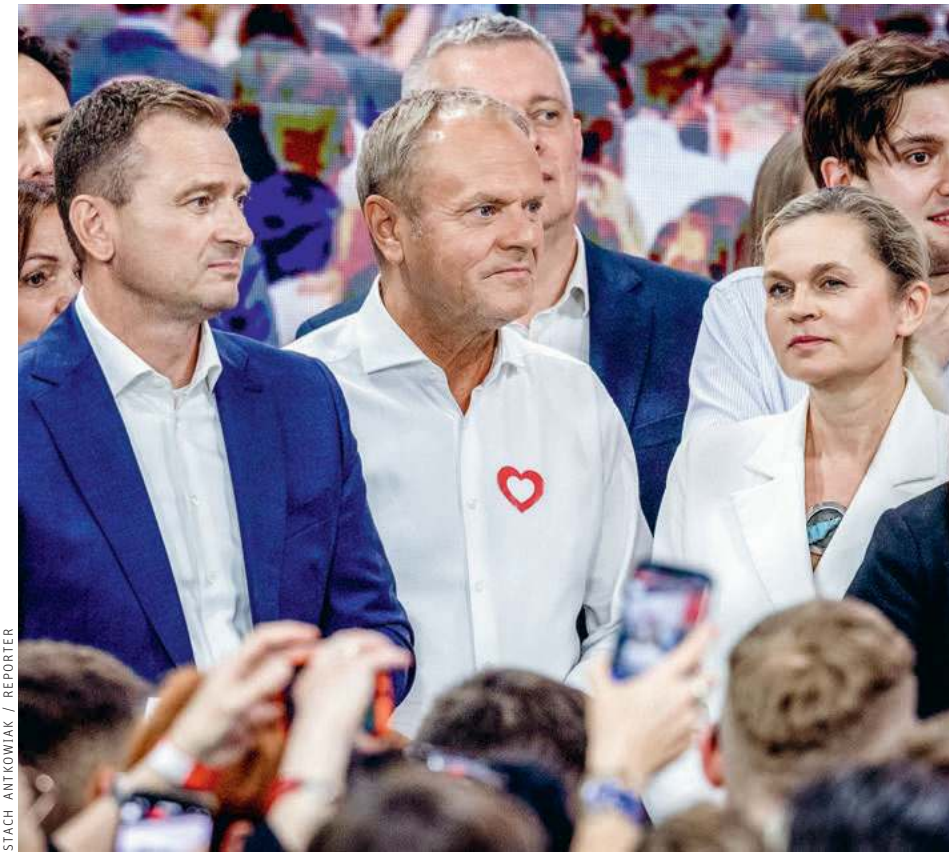

STACH ANTKOWIAK / REPORTER

Sławomir Nitras, Donald Tusk i Barbara Nowacka podczas wieczoru wyborczego Rafała Trzaskowskiego. Warszawa, 1 czerwca 2025 r.

Porady dla mądrali

JAROSŁAW FLIS

Część społeczeństwa uważająca się za bardziej oświeconą obudziła się 2 czerwca w ponurych nastrojach. Nie pierwszy już raz. Jaki problem ma z powszechnymi wyborami obóz z dumą określający się jako „demokratyczny"?

Mógłbym w tym miejscu przekleić spore fragmenty swojego powyborczego artykułu z 2020 roku – nic nie stracił na aktualności. W mocy pozostaje ostrzeżenie, że opis społeczeństwa w kategoriach lepsi–gorsi, podstawowy odruch „patrycjatu", jest kulą u nogi popieranych przez niego polityków. Być może też oczekiwanie, że „patrycjat" pozbędzie się poczucia wyższości jako swojego znaku rozpoznawczego, jest wciąż nierealistyczne. Warto więc po kolejnej pięciolatce doświadczeń z podziałem „góra-dół" pokusić się o uszczegółowienie przejawów choroby wywołanej bakcylem „lepszości".

Strategie i taktyki

Tak jak w przypadku działań zbrojnych, porażka wyborcza może mieć swoje źródła w strategii (umiejętności wygrywania całych wojen), sztuce operacyjnej (wygrywania bitew) oraz w taktyce (regułach prowadzenia ataku i obrony). ↦

↦ Własne ataki i odpieranie szturmów przeciwnika składają się na bitwy, a pojedyncze bitwy mogą, lecz nie muszą, rozstrzygać całe wojny. Wyższe, strategiczne poziomy są na pewno ważniejsze, ale mniejsze niepowodzenia też mogą być nie do odrobienia w szerszej skali. Porządkowanie obrazu musi też zawierać powiązania pomiędzy tym, co chwilowe, średniookresowe i wreszcie generalne. Kluczowe jest to, na ile ogólne problemy przekładają się na taktykę i przebieg konkretnych kampanijnych bitew.

Po wyborach sporo jest analiz taktycznych niepowodzeń sztabu Trzaskowskiego – internetowych słabości, kiepskich spotów czy wpadki z „końską" debatą. Czy są to tylko przypadki nieuniknionych przecież pomyłek czy błędów biorących się ze zbyt małych zasobów, jakie każdy człowiek ma do dyspozycji, gdy mierzy się ze skomplikowanymi wzorami zachowań społecznych? Nie brakuje opinii – oraz potwierdzających je sygnałów – że błędy te wynikają z czegoś więcej niż np. zwykłe zadufanie. Zabrakło świadomości, że dogłębna i chłodna analiza może dostarczyć wniosków zupełnie sprzecznych z tym, co podpowiadają środowiskowe autorytety. Jeśli ktoś bardzo chce wierzyć, że poparcie uzyskane przez Trzecią Drogę w 2023 roku było efektem przyzwolenia Donalda Tuska na „uratowanie" tej formacji, to nie dostrzeże problemu potencjału negatywnych emocji, które wzbudza Platforma Obywatelska i jej tylko wewnętrznie niekwestionowany lider. Nie pierwszy to raz przekonanie, że się jest „urodzonym debeściakiem", ogranicza ciekawość świata, potrzebę samodoskonalenia oraz zamyka oczy na innowacje.

Z operacyjnego punktu widzenia niepodważalną słabością Trzaskowskiego okazały się relacje z rządem. Nie jest niczym odkrywczym, że integracja przeciwko obozowi władzy jest łatwiejsza od tej w środowisku rządzącym. Ta druga jest trudna szczególnie wtedy, gdy władza radzi sobie ze swoimi zadaniami poniżej oczekiwań. Wtedy we własnych szeregach zaczynają się krzyżować sprzeczne koncepcje co do ewentualnej korekty celów lub sposobu działania. Kluczowe jest jednak to, że takie dyskusje powinny się odbywać w duchu wzajemnej troski, nie zaś oskarżeń. Tymczasem brak pokory i przekonanie, że inaczej myślący są po prostu głupsi, bardzo utrudnia znalezienie odpowiedzi na niepowodzenia.

Uczuleni na kwity

Rządzenie jest sztuką znacznie trudniejszą od samego zdobywania władzy. Te wzory i triki, które sprawdzają się w opozycji – choćby jako-tako – nie zachowują swojej skuteczności po zmianie stron. Rządzący są od walki z problemami, a opozycja od atakowania władzy. Jeśli rządzący atakują polityków opozycji, to sami się proszą o zajęcie ich miejsca – wystarczy spojrzeć na los PiS w wyborach 2023 roku. Mimo to z jakiegoś powodu wiele osób jest przekonanych, że to, co przydarza się innym – w szczególności tym przez nich pogardzanym – im już się zdarzyć nie może.

Po tegorocznych wyborach taką lekcję mogliby odrobić politycy PO z Donaldem Tuskiem i Rafałem Trzaskowskim na czele. Zmasowany atak na Karola Nawrockiego w ich wykonaniu przyniósł odwrotny skutek – uodpornił wyborców na niewyobrażalne wręcz słabości tego kandydata. Mechanizm jest naprawdę prosty i został przecież spektakularnie przećwiczony w trakcie zeszłorocznej amerykańskiej kampanii wyborczej. Rozhisteryzowane ataki elit na kandydata antyestablishmentowego tylko dodały mu wiarygodności – „naprawdę się go boją, czyli jest naprawdę nasz".

Tak samo warto było sobie przypomnieć lekcję posłanki PO Beaty Sawickiej z 2007 roku. Wyciąganie w trakcie kampanii kwitów z archiwów służb specjalnych – choćby i najbardziej kompromitujących – nie szkodzi politykom opozycji, tylko rządzącym. Jest traktowane jako nadużycie władzy, na co niemała część wyborców jest bardzo uczulona.

Sprzeciw względem źle ocenianego rządu to spoiwo opozycji, pozwalające skleić w jedną całość zupełnie czasem sprzeczne przekonania. Tu też lekcji 2023 r. nie odrobiono. Koalicja Obywatelska przewidziała, że kluczowa okaże się postawa elektoratu Konfederacji, jednak próby przyciągnięcia go ograniczyły się do antyukraińskich sygnałów, co bardziej konfundowało własnych wyborców niż oponentów. Finalnym argumentem liderów „Konfy" w sprawie drugiej tury nie były jednak kwestie ideowe, lecz sama chęć powstrzymania dominacji obozu rządzącego. Natomiast próby ideowego przesunięcia Trzaskowskiego w ich stronę miały dwa nieoczywiste skutki. Pierwszy był skądinąd dla niego korzystny – to sceptycyzm środowisk jednoznacznie postępowych. Tych środowisk, których bezgraniczna miłość i bezwarunkowe poparcie w przypadku niejednego już kandydata okazały się *de facto* przeszkodą w przejęciu w Polsce władzy.

Sceptycyzmu tego nie udało się dowieźć do końca kampanii. Pewnie dałoby się go podtrzymywać jakimiś innymi metodami, lecz najwyraźniej przeważyły tu liczne głosy krytyczne, wytykające Trzaskowskiemu „udawanie kogoś innego", co tak naprawdę oznaczało apel, by nie wahał się okazywać swojego „(jaśnie)oświeconego" sznytu. Takie właśnie apele potwierdzały podejrzenia, że również jego zabiegi o koła gospodyń wiejskich są nieszczere i kandydat jest dokładnie taki, jakim chcieliby go przedstawić sztabowcy PiS. Parafrazując piosenkę Grzesiuka: „nie masz ważniaka nad warszawiaka".

Oni są jeszcze gorsi

Tu dochodzimy do jeszcze jednej przewagi, jaką ma PiS – jest nią rozbudowana ogólnopolska organizacja, zdolna do prowadzenia skoordynowanych działań. Nie zawsze idealna, bo podatna na napięcia wynikające z narastających słabości Jarosława Kaczyńskiego. Lecz – w odróżnieniu od swojej głównej konkurentki – mająca duży potencjał mobilizacji swoich zwolenników. W tej kampanii nie działała najpewniej na najwyższych obrotach, lecz i tak intensywniej niż to, na co mógł liczyć Trzaskowski.

Fenomen takiej struktury wymaga uważnej analizy. Być może łatwiej jest coś takiego stworzyć z materiału, jakim

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

dysponuje PiS. Choć partia ta deklaruje się jako „obrońca ludu", to przecież jej struktury tworzą bez wątpienia „patrycjusze" – tyle tylko, że postrzegający siebie jako grupę mniejszościową we własnej warstwie społecznej. Różne ścieżki do niej prowadzą: od szczerej troski o tradycję i społeczną spójność w obliczu społecznego rozchwiania, poprzez krytykę skorumpowanych lokalnych sitw, po rozhisteryzowane opowieści o zmowie postkomunistycznych czy światowych elit, której trzeba się koniecznie przeciwstawić. Jednak to właśnie ta struktura daje im okazję do podjęcia protestu wobec tego, co tak źle oceniają. Społeczna sieć malkontentów potrafi w sprzeciwie względem możnych tego świata (czy to w lokalnej, narodowej czy globalnej skali) znaleźć swoją jedność i siłę. Nie zawsze to, co chciałaby robić, przynosi spodziewane skutki – co szczególnie widać na przykładzie wyników wyborów lokalnych – jednak bez wątpienia w kampaniach ogólnopolskich jest to duży atut.

Co istotne, w oparciu o taką strukturę udaje się wciągnąć do polityki także niemałą liczbę młodych, aktywnych i wykształconych ludzi. To oni są potem organizatorami działań całej machinerii, jak choćby 38-letni Paweł Szefernaker, szef sztabu Nawrockiego. Ona jest dla nich ścieżką kariery. Choć niekoniecznie wierzą we wszystko, co nauczyli się powtarzać w ramach partyjnych „przekazów dnia", to ciągle widzą tam dla siebie miejsce. Wszystkie zaś słabości własnego środowiska zwykli usprawiedliwiać prostym „tamci są jeszcze gorsi".

Dlaczego po przeciwnej stronie nie ma niczego porównywalnego? To znów splot różnych czynników. Na pewno zadowolonym trudniej się zaangażować w porównywalnym stopniu do rozeźlonych. Niby mają więcej zasobów, lecz zarazem mniejszą odporność na trudności; one zaś zawsze towarzyszą zajmowaniu się wspólnymi sprawami. Tu znów różnice zdań wśród ludzi mogących o czymś decydować są trudniejsze do przezwyciężenia niż w przypadku buntowników wobec władzy. Do tego buntownicy ci, zwłaszcza z poczuciem słabości, chętniej rozglądają się za sojusznikami. Gdy jest się już po stronie władzy – a przecież PO rządzi lokalnie w znacznie większej części Polski niż PiS – podatnym się jest na pokusę samowystarczalności.

Rządowi wychodzącemu z powyborczego szoku może i nie zaszkodzi rzecznik prasowy, **lecz tylko pod warunkiem, że cały rząd zamieni się w słuch.**

Od lat powtarzam ze studentami ćwiczenie dotyczące kwestii segregacji odpadów. Podzieleni na cztery grupy mają się zastanowić, co chcieliby powiedzieć, co zaś usłyszeć od drugiej strony podziału obywatele-władza. Jedna rzecz powtarza się wtedy regularnie. Władza od obywateli chciałaby usłyszeć zachwyty – bo przecież to, co i jak zrobić, właśnie ona wie najlepiej. A powiedzieć im chciałaby tylko tyle, że jest wspaniale, oraz ewentualnie pouczyć ich, co mają zrobić. I jedno, i drugie zupełnie rozchodzi się z potrzebami obywateli. Ci chcieliby przekazać władzy, co działa nie tak i jak sobie wyobrażają naprawę. Nie oczekują od rządzących przekonywania do tego, co już przecież dawno wiedzą. Chcieliby dowodów, że ich działania nie są pozorne oraz reakcji na niedociągnięcia.

Wyborca zaangażowany

Gdy się jest u władzy, mocna bywa pokusa, by wykorzystać jej zasoby – struktury, pieniądze i ludzi – jako podstawowy sposób komunikowania. Sposób zastępujący obywatelskie zaangażowanie. Tymczasem właśnie wpływ wyborców na aktualne decyzje jest tym, co władza może wykorzystać, żeby wciągnąć obywateli do trwałych struktur, które będą na dłużej ich angażować. Rządowi wychodzącemu z powyborczego szoku może i nie zaszkodzi rzecznik prasowy, lecz tylko pod warunkiem, że cały rząd zamieni się w słuch. Nie po to, żeby trafniej powtarzać własne „przekazy dnia", lecz żeby zapewnić jak największej liczbie Polaków przekonanie, że mają na ludzi trzymających władzę wpływ.

Oczywiście jest też inna motywacja do politycznego zaangażowania – własny zysk w postaci zatrudnienia w administracji. Jednak partie, do których pasowałaby nazwa „synekurnik", są raczej obciążeniem niż atutem w zabiegach o poparcie wyborców. Tu właśnie kluczowi są aktywni obywatele, którzy wcale nie szukają wątpliwych osobistych korzyści. Tylko oni mogą się domagać uczciwych konkursów na publiczne stanowiska, bo sami nie zamierzają w nich startować.

W budowaniu takich struktur bardzo pomocne mogą być media społecznościowe, które w tej kampanii weszły na zupełnie nowy poziom. Na nikim nie robiły już wrażenia same permanentne „łajnoburze". Znacznie ważniejsze okazały się niewiarygodnie długie – z perspektywy „starych" mediów – pogłębione rozmowy. Nie wszyscy wyborcy je oglądali, lecz ich zasięgi potwierdzają, iż żyją w Polsce setki tysięcy, o ile nie miliony osób, które są skłonne poświęcać sprawom publicznym naprawdę dużo czasu i uwagi. Teraz, gdy kampania wyborcza jest już za nami, przyszedł najlepszy czas, żeby przedstawić im jakąś ofertę.

Drugim kluczowym przesłaniem, które wynika z zakończonego właśnie cyklu wyborczego 2023-2025, jest to, że marzenia Kaczyńskiego i Tuska, iż drugą stronę da się trwale usunąć z życia publicznego lub choć zmarginalizować, są ułudą. Jedyny efekt podobnych starań jest taki, że utrudnia się rozwiązywanie realnych problemów. Nawet jeśli PiS i Konfederacja przejmą władzę w 2027 r., to przecież 2,5 roku później będą wybory prezydenckie, w których znów łatwiej się będzie zmobilizować przeciwnikom rządu niż jego zwolennikom.

Tegoroczne wybory, jak chyba żadne wcześniej, były pojedynkiem na słabości kandydatów. Obaj główni antagoniści mieli ich aż nadto. Następne wybory nie będą już tak zindywidualizowane, lecz paradoksalnie ich personalizacja może się okazać większa. Tylko mieć może zupełnie inny charakter – będzie dotyczyć całych rzesz zwolenników każdej ze stron. Czy jest się dziś w przegranym, czy wygranym obozie, trzeba mieć świadomość, że od naszego wytrwałego zaangażowania zależeć będzie to, jak poczujemy się w kolejny powyborczy poniedziałek.

© JAROSŁAW FLIS

Autor jest socjologiem i komentatorem politycznym, pracuje na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej UJ.

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

Druga edycja szkolenia „Trenuj z wojskiem". Toruń, 25 lutego 2023 r.

Z granatem w ręku

PATRYCJA BUKALSKA

Badania społeczne nie przynoszą jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, jak wielu z nas byłoby gotowych przejść dobrowolne ćwiczenia wojskowe. Jednak cywili chętnych do szkolenia się z armią jest więcej niż miejsc. Nam się udało.

Maj, wcześnie rano. Wsiadam do auta, przekręcam kluczyk i na tablicy rozdzielczej pojawia się temperatura – 4 stopnie Celsjusza. Dobrze, że w ostatniej chwili wrzuciłam do plecaka polarowe rękawiczki. Muszę dojechać na zbiórkę w miejscu ćwiczeń na 7.30 – wiadomość z pinezką pokazującą lokalizację dostałam dwa dni wcześniej. Mam 53 lata, nadwagę i bardzo przeciętną kondycję fizyczną. Zapisałam się na szkolenie wojskowe.

„Trenuj z wojskiem" – jednodniowe, ośmiogodzinne szkolenia dla cywili organizowane są od jesieni 2022 roku. Teraz odbywają się po raz szósty. W poprzednich latach z zasad przetrwania w terenie, podstaw posługiwania się bronią oraz pierwszej pomocy w warunkach polowych przeszkolono 27 tysięcy osób. W tym roku zajęcia odbywają się w ponad 30 jednostkach w całej Polsce: m.in. w Warszawie, Ustce, Krakowie, Żaganiu czy Kielcach – tym samym liczba przeszkolonych cywili przekroczy zdecydowanie 30 tysięcy.

Niespokojne czasy

Sądziłam, że paskudna pogoda sprawi, iż będzie nas niewielka grupka. Było inaczej – gdy dojeżdżałam na miejsce, zobaczyłam jak z głównej drogi skręcały samochody jeden za drugim, szybko wypełniając prowizoryczny parking. Do namiotu rejestracji ciągnęła się kolejka osób w przeróżnym wieku, przygotowanych do zajęć lepiej lub gorzej. Byli starzy wyjadacze w porządnych butach i wojskowych pelerynach, ale też nastolatki w leginsach i trampkach. Stały całe rodziny (udział mogą brać osoby w wieku 15-65 lat; niepełnoletni za zgodą opiekunów), grupki roześmianych przyjaciółek, ludzie, którzy przyjechali sami, jak ja. Mimo deszczu wszyscy w dobrych humorach.

Na szkolenie zapisałam się zachęcona przez znajomego – czasy są niespokojne, więc uznałam, że dobrze jest wiedzieć, jak się zachować w sytuacjach kryzysowych. Nie pojechałam tam jako dziennikarka. Pomysł na podzielenie się moim doświadczeniem z czytelnikami pojawił się później – dlatego nie podaję ani miejsca szkolenia, ani żadnych szczegółów dotyczących prowadzących je żołnierzy oraz współuczestników, z którymi rozmawiałam.

Jak rozpalić ognisko

Po rejestracji i krótkim wprowadzeniu zostaliśmy podzieleni na kilkunastoosobowe grupy. Do każdej przydzielono instruktora lub instruktorkę – to z nimi będziemy przechodzić kolejne punkty szkolenia. W mojej grupie ćwiczy kilka kobiet – jestem wśród nich najstarsza. Potem dowiem się, że w innym zespole trenowała kobieta starsza ode mnie o kilka lat. Więcej było jednak młodzieży: na ćwiczenia przyjechali nawet 15-latkowie.

Pierwsze zadanie dla mojej grupy to orientacja w terenie. Sporo się uczę, żołnierze opowiadają dużo i ciekawie. Jedyny problem to wilgoć; po kilkukrotnym przejściu przez wysokie trawy na łące mam mokre buty i spodnie. Nie tylko zresztą ja, ale nikt nie narzeka, mimo że ciągle pada i jest naprawdę zimno.

W końcu z ulgą tłoczymy się wokół ogniska w lesie – tam zaplanowano kolejny etap szkolenia, tym razem z przetrwania w terenie. Dla mnie to najciekawsza część dnia – może dlatego, że to, czego się uczę, faktycznie może się przydać, i to niekoniecznie w najczarniejszym, wojennym scenariuszu. Uczę się o rozpalaniu ogniska, o jego rodzajach, w tym o ognisku Dakota – tworzy się je w dołku wykopanym w ziemi tak, że jest mało widoczne i mało dymi. Uczymy się, jak pozyskać wodę do picia i jak potem ją oczyścić.

Mamy jeszcze zajęcia z pierwszej pomocy (tu widać różnicę między ratownictwem cywilnym a tym na polu walki, gdzie decyzje bywają o wiele bardziej radykalne), a potem szkolenie typowo wojskowe. Strzelanie, rzut granatem, zachowanie w okopach.

Nie ma byle jak

Z granatem idzie mi bardzo źle, rzucam za blisko i jeszcze sama się przy tym przewracam. Czuję wstyd, ale szybko go przełamuję i kiedy wszyscy kończą, podchodzę do ćwiczenia jeszcze raz. Z nerwów trochę żartuję dla rozładowania napięcia, ale mój instruktor pozostaje śmiertelnie poważny. Jeszcze raz, krok po kroku, cierpliwie wszystko mi tłumaczy i potem każe dokładnie – bardzo dokładnie – powtórzyć.

– Ja nie uczę byle jak, proszę pani. To trzeba robić porządnie – mówi. Jego instrukcje przynoszą skutek. Tym razem rzucam już lepiej.

Podczas szkolenia odczuwam bardzo wyraźnie, jak wielka jest cierpliwość oraz zaangażowanie prowadzących, przy jednoczesnej życzliwości wobec nas, cywili. Widać, że to, co robimy, jest dla nich ważne, że traktują swą pracę jak misję. Dlatego nawet ja – choć potencjalnym nabytkiem dla wojska nie jestem i być nie mogę – spotykam się z ich pełną uwagą i wsparciem.

Przy ostatnim zadaniu – przejściu okopami z bronią, w kamizelce kuloodpornej i hełmie – żadne wsparcie mi już jednak nie pomoże. Braku kondycji nie mogę pokryć entuzjazmem, kamizelka wydaje się tak ciężka, że odbiera mi oddech. Pod koniec trasy przestaję już reagować na okrzyki żołnierzy: „Niżej, niżej proszę. Nogi ugiąć nisko!".

– Nie dam rady! – odkrzykuję i staję wyprostowana. Gdyby to działo się naprawdę, byłabym już martwa. Wychodzę z okopu na drżących nogach. Z ulgą zdejmuję hełm i kamizelkę – w tym czasie jeden z prowadzących uświadamia nam, że żołnierz w czasie ćwiczeń, a tym bardziej podczas walki, ma na sobie jeszcze cięższy ekwipunek, w tym znacznie większy zapas amunicji.

Fiński model

W Finlandii, kraju, który uchodzi za najlepiej przygotowany do reakcji na niespodziewane zagrożenia, cywile są integralną częścią systemu bezpieczeństwa – w jego założeniach każdy obywatel ma do odegrania swoją rolę i nie musi to być wcale walka z bronią w ręku. Jak wskazują analitycy Piotr Szymański i Bartosz Chmielewski, autorzy filmu „Gotowi na wojnę" przygotowanego przez Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, tylko w ubiegłym roku szkolenia organizowane przez same stowarzyszenia proobronne (ale koordynowane przez wojsko) ukończyło około 20 tysięcy Finów. Są to nie tylko ćwiczenia wojskowe – inne np. pomagają przetrwać w trudnych warunkach. Uczestnictwo jest dobrowolne, ale kursy są bardzo popularne.

Opowiadając o fińskim modelu bezpieczeństwa, autorzy filmu obok takich elementów jak system schronów i wojsko z poboru (w tym regularne ćwiczenia liczącej niemal 900 tys. rezerwy) wskazują też na inne, specyficzne dla Skandynawów elementy: współpracę i mentalność. Czy zatem fiński model można wdrożyć w innych państwach?

– Można zastanawiać się nad genem survivalu w narodach nordyckich, ich chęcią spędzania czasu na łonie przyrody, szkoleniach z przetrwania w terenie i odporności indywidualnej (fińskie *sisu*). Istotne są też takie czynniki, jak duże zaufanie do rządu i kapitał społeczny, ułatwiające ludziom współpracę. Przede wszystkim chodzi o to, żeby wojsko miało oparcie w społeczeństwie, a społeczeństwo w wojsku. I żeby w razie kryzysu te dwie rzeczywistości, cywilna i militarna, ze sobą współdziałały – mówi „Tygodnikowi" Piotr Szymański z OSW. – W Finlandii od dawna działa wiele organizacji wspierających siły zbrojne, więc są bardzo silne instytucjonalne podstawy zaangażowania obywatelskiego w obronę państwa.

Fiński system był kształtowany przez pokolenia, jego początki wiążą się z doświadczeniami wojny zimowej w latach 1939-1940 i ówczesną obroną kraju przed Związkiem Sowieckim – ma więc kilkadziesiąt lat tradycji. Ale nawet jeśli nie można go przenieść „jeden do jeden" gdzie indziej, to na pewno można wykorzystać pewne jego elementy. Na przykład szeroko organizowane dobrowolne szkolenia dla cywili.

Coś dla każdego

„Trenuj z wojskiem" jest chyba najpopularniejszym z programów prowadzonych przez Ministerstwo Obrony Narodowej. W jego pierwszej edycji zajęcia odbywały się w 17 jednostkach – teraz już w 35. W niektórych miejscach tworzy się nawet listy rezerwowe, bo chętnych jest więcej niż miejsc. Trzeba też zapisywać się szybko – wśród osób, które poznałam na szkoleniu, były również takie, które bez powodzenia próbowały zapisać się na wcześniejsze edycje.

Programów organizowanych przez MON jest jednak więcej. Aktualnie po raz drugi rozpoczynają się letnie szkolenia z cyklu „Wakacje z wojskiem" – a to już poważniejsza sprawa, bo trwają aż 27 dni. Uczestniczą w nich ludzie młodzi, w wieku od 18 do 35 lat, ćwiczenie odbywa się w jednostkach wojskowych i kończy złożeniem przysięgi. W poprzedniej edycji wzięło udział ponad 11 tysięcy ochotników, którzy po ukończeniu kursu mogą, jeśli zechcą, związać się z wojskiem jako żołnierze aktywnej rezerwy lub wręcz żołnierze zawodowi.

Szkoleń ma być więcej, bo MON wspólnie ze Sztabem Generalnym Wojska Polskiego opracowuje program ochotniczego powszechnego szkolenia obronnego. Ma być ono dostosowane do potrzeb, ale i możliwości uczestników – tego, czy wolą oni szkolenie stacjonarne kilkutygodniowe, czy też prowadzone w weekendy. Możliwe ma być też przeszkolenie z zakresu obrony cywilnej.

Chętni niechętni

Według raportu „Bezpieczeństwo 2023", przygotowanego przez IBRiS i portal Defence24 – aż 80 proc. Polaków uważa, że szkolenie wojskowe powinien przejść każdy mężczyzna w wieku 18-60 lat. W badaniu z tego samego roku, zaprezentowanym przez Akademickie Centrum Komunikacji Strategicznej (ACKS) Akademii Sztuki Wojennej, wprowadzenie obowiązkowych ćwiczeń wojskowych dla mężczyzn w tym wieku poparło już mniej, bo 51 proc. ankietowanych, dla wszystkich zaś obywateli w wieku 18-60 lat – czyli i mężczyzn, i kobiet – 35 proc. Co istotne, to badanie prowadzono w grupie wiekowej 18-55 lat, a zatem wśród respondentów, których ta sprawa potencjalnie mogłaby dotyczyć.

Na pytanie o chęć osobistego udziału w ćwiczeniach pozytywnie odpowiedziało tylko 45 proc., a ponad połowa – 53 proc. – odniosła się do tego pomysłu niechętnie. Powodów jest wiele – w tym przekonanie, że zadanie obrony kraju należy do armii zawodowej. Inną przyczyną – bo chodzi o dłuższe szkolenia, nie jednodniowe – jest niechęć do rozłąki z rodziną, obawa o przerwę w pracy albo nauce. Gdyby wprowadzić elastyczne ↦

terminy lub szkolenia w weekendy, skłoniłoby to do zmiany zdania kolejne niemal 20 proc. badanych. W podjęciu pozytywnej decyzji pomogłoby też wynagrodzenie. Jednak aż 66 proc. osób niechętnych szkoleniom jest przekonanych, że nic nie skłoni ich do zmiany zdania.

Z kolei w najnowszym, bo opublikowanym w maju sondażu CBOS zainteresowanych jakąś formą przeszkolenia wojskowego było tylko 26 proc. ankietowanych, przy czym w grupach wiekowych 35-44 oraz 45-54 znalazło się ich więcej, odpowiednio 40 proc. oraz 34 proc. Bardziej zainteresowani są mężczyźni niż kobiety. Im wyższy poziom wykształcenia, tym większy jest również odsetek chętnych do udziału w ćwiczeniach.

Regionalny jastrząb

Kilka tygodni temu międzynarodowy think tank GLOBSEC opublikował swój najnowszy raport badający nastroje i poglądy w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Polska w wielu kwestiach związanych z wojskowością znalazła się na pierwszym miejscu w regionie – w poparciu dla członkostwa w NATO (94 proc.), postrzeganiu Rosji jako zagrożenie (86 proc.), potrzebie zwiększania wydatków na obronność (92 proc.), poparciu dla rozbudowy ochotniczej służby wojskowej (89 proc.), zaufaniu do armii (85 proc.), a także przekonaniu, że trzeba bronić zaatakowanego innego państwa NATO (89 proc.). W żadnym innym kraju tak wielu respondentów nie zadeklarowało też, że są gotowi walczyć w obronie zaatakowanej ojczyzny. W Polsce to aż 84 proc. ankietowanych, czyli nawet więcej niż w przypadku Finlandii (83 proc.).

PATRYCJA BUKALSKA

Patrycja Bukalska na szkoleniu wojskowym

Trzeba jednak podkreślić, że w innych, przytoczonych wyżej sondażach Polacy wypadali mniej bojowo. Np. we wspomnianym raporcie „Bezpieczeństwo 2023” w odpowiedzi na pytanie „jakie działania Pan/Pani podjęłaby w przypadku zaatakowania kraju przez obce państwo”, jedynie 23 proc. ankietowanych zapowiedziało, że sami zgłosiliby się do służby wojskowej, paramilitarnej lub sanitarnej (to i tak więcej niż 17 proc. Niemców), a 9 proc. czekałoby na powołanie. W raporcie ACKS gotowość do obrony ojczyzny zadeklarowało 57 proc. osób (w podziale na płci: 72 proc. mężczyzn i 42 proc. kobiet).

Zdjęcie, grochówka, do widzenia

Na koniec szkolenia wychodzi słońce i robi się cieplej. Wszystkie drużyny schodzą się w punkcie zbiórki – czeka na nas ognisko i wojskowa grochówka. – Najpierw pamiątkowe zdjęcie! – zwołuje nas nasza instruktorka. Potem możemy usiąść, zjeść, odpocząć. Można też dowiedzieć się czegoś więcej o innych szkoleniach i dobrowolnej zasadniczej służbie wojskowej – przy punkcie informacyjnym szybko gromadzą się zainteresowani.

Rozmawiamy – wszyscy są zadowoleni, niektórzy planują zapisać się na kolejne szkolenia; jak się uda, to jeszcze w tym roku. Powtórka z ćwiczeń to dobry pomysł, bo nie wiemy, ile będziemy pamiętać za kilka miesięcy.

Mój znajomy, który brał udział w jednej z pierwszych edycji „Trenuj z wojskiem”, jeszcze w 2023 roku opowiadał mi, że zrobił to, by choć trochę przyczynić się do wzmocnienia obronności kraju („jakiekolwiek przeszkolenie jest lepsze niż żadne”). Teraz pytam o motywacje uczestników z mojej grupy szkoleniowej. Jedni interesują się kwestiami bezpieczeństwa, chcą bronić ojczyzny, lubią się sprawdzić, ktoś chce wiedzieć, jak pomóc innym w razie potrzeby, jeszcze kogoś namówił kolega. Nie ma jasnej, jednej odpowiedzi, a może po prostu trudno o tym mówić – jednak wszyscy mamy świadomość, że czasy są niespokojne i że musimy być gotowi na wszystko.

Na koniec dostajemy certyfikaty ukończenia szkolenia. Żegnamy się i być może nigdy więcej już się nie spotkamy. Jesteśmy w różnym wieku, robimy różne rzeczy, mamy różne zawody, plany, poglądy. Wynosimy jednak z tego intensywnego dnia nie tylko wiedzę, jak z mchu i piasku zbudować filtr do wody lub jak i kiedy założyć stazę taktyczną (czyli opaskę uciskową) – ale też poczucie, że potrafimy i chcemy działać razem. Może właśnie w tym jest największa wartość tych szkoleń.

Dla mnie w każdym razie to nie koniec. Postanawiam kupić hantle i jednak popracować nad swoją kondycją.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

GNIEZNO, środa 11 czerwca godz. 18.00, debata z cyklu „Debaty dialogu” Zjazdu Gnieźnieńskiego z udziałem prof. Hanny Suchockiej i ks. prof. Alfreda Wierzbickiego, „Solidarność wczoraj – solidarność jutra”, prowadzenie: Szymon Bojdo. Instytut Kultury Europejskiej UAM, (ul. Kostrzewska 5)

TRÓJMIASTO, środa 11 czerwca godz 18.00, rozmowa z udziałem dr. hab. Sławomira Kościelaka i Haniego Hraisha, „Pobożność i wolność”, prowadzenie: Dagny Kurdwanowska. Oliwski Ratusz Kultury (ul. Opata J. Rybińskiego 25, Gdańsk). Projekt organizowany we współpracy z Miastem Gdańsk

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

OLGA

Drenda:
Menu zamiast obiadu

Zjeść menu zamiast obiadu – takie malownicze zdanie zapamiętałam z książki hipisowskiego filozofa i religioznawcy Alana Wattsa, i często do niego wracam w rozmaitych okolicznościach. Zjadanie menu ze smakiem następuje za każdym razem, kiedy ktoś pokłada pełne zaufanie w samych liczbach i wykresach.

Żyjemy w czasach uwielbienia dla czystej statystyki, i wiele razy spotkałam się z zadziwiającą ufnością, że to ona może zaoferować kompletny obraz jakiejś sytuacji, choć przecież sami statystycy są akurat świadomi, że mogą zaoferować jedynie model jakoś zbliżony do prawdy („wszystkie modele się mylą", jak mówił George Box). To sprawia, że przykłady z życia zbyt łatwo można zbyć jako nieprzydatne dowody anegdotyczne – choć w naszym osobistym doświadczeniu obcujemy raczej z szeregiem anegdot. Czy zatem jeśli wydarzenia, doświadczenia, przekonania nie pokrywają się z danymi liczbowymi, to oznacza, że ktoś żyje w fikcji?

Pozwólmy sobie użyć na chwilę narzędzia zwanego chłopskim rozumem. Czy gdy jest komuś zimno, to powiedzenie, że przecież termometr pokazuje 20 stopni, natychmiast sprawi, że zrobi mu się cieplej? Czy po zjedzeniu posiłku, którego wartość kaloryczna odpowiada zapotrzebowaniu dla danego wieku i wagi, ktoś nie ma prawa już czuć się głodny, a gdy powiemy sobie „przecież spałem osiem godzin", zmęczenie minie jak ręką odjął?

On chyba już zjadł menu

OLGA DRENDA

Mierzalność, obliczalność mają uwodzicielską moc, równą pokusie wysnuwania ogólnych wniosków o całości społeczeństwa na podstawie jednego zasłyszanego na ulicy dialogu (żeby nie było, że etnologiczne wykształcenie czyni ze mnie absolutną wyznawczynię badań terenowych). Łatwo uwierzyć, że liczby nie kłamią, że podają chłodną prawdę, z którą trzeba się chcąc nie chcąc pogodzić.

Liczby być może, ale ich interpretacje już owszem. Uwiedzenie to może prowadzić szybko do pochopnych wniosków, że a musi pociągać za sobą b. Zatem jeśli ktoś coś deklaruje, to faktycznie w to wierzy lub faktycznie to robi; jeśli na kogoś głosuje w bieżących wyborach, to znaczy, że naprawdę popiera jego program, i to w całości; jeśli w ankiecie zaznacza, że uważa się za katolika, to faktycznie wierzy, a może i nawet praktykuje. Oto po zakończonych wyborach pojawiło się sporo wróżb z mapy Polski, w tym moja „ulubiona inaczej" – o statystykach zdawalności matur, co jakoby miałoby dowodzić mniejszych kompetencji wyborców z zachodnich województw. Przy każdej z nich ktoś mniemał, że znalazł magiczny klucz do decyzji wyborczych, który z pewnością przyda się i następnym razem. Ale oprócz menu, można też zamiast obiadu zjeść ilustracje ze starej książki kucharskiej. Bieżące wydarzenia i komentarze do nich uświadamiają skalę tego, jak często zdarza się brak aktualizacji systemu w wyobrażeniach o świecie. Afera z niesławnym zdjęciem posłanki w DPS-ie ujawniła np. zdumiewający brak wiedzy co do tego, jak działają instytucje pomocy, że prowadzą je samorządy, a przede wszystkim – że zapewniają wyżywienie. Być może pokutuje obraz rodem z XIX w., gdzie ubodzy w przytułku czekają na gest łaskawcy i radują się ziemniakiem.

Ale nie jest to niespodzianką: podobne przekonania dotyczą np. domów dziecka, bo słyszy się często frazę „tyle biednych sierotek czeka na dom", zupełnie jakby były to czasy Konopnickiej albo nawet peerelowskich kombinatów wychowawczych, a nie współczesna piecza zastępcza. Albo rozmaite – to nieżyczliwe, to dla odmiany protekcjonalne, choć schowane pod lakierem dobrotliwego zrozumienia – wyobrażenia o życiu na wsi, gdzie podobno pod strzechami żyje ludek niekształcony i biedny, lecz pełen wartości i szczerego serca. Zupełnie jakby dzisiejsi rolnicy nie byli nowoczesnymi przedsiębiorcami korzystającymi z internetu, mieszkającymi w katalogowych domach z fotowoltaiką i mający, owszem, swoje lokalne obyczaje, ale całkowicie dzisiejsze.

„Twój mózg to doskonały komputer" – taki wers pamiętam z kolei z kreskówki „Laboratorium Dextera". Doskonały, lecz skłonny do kiksów i zawieszek – prawdopodobnie najbardziej wtedy, gdy wymagamy od niego doskonałości absolutnej. Jestem przekonana, że jedną z najważniejszych umiejętności przyszłości będzie działanie przy świadomości, że ostatecznie wszystkie modele się mylą. Smacznego menu! ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

FOT. JAKUB WŁODEK / IMPACT

Michał Okoński poczas przemówienia na konferencji Impact'25

Jak się nie dać polaryzacji

MICHAŁ OKOŃSKI

Kiedy za naszymi plecami Trump z Putinem ubijają interesy, kiedy nie wiemy, co zrobi z nami niekontrolowany rozwój Big Techów i sztucznej inteligencji, nie ma nic bardziej destrukcyjnego niż polska wojna domowa.

Zastanawiałem się, jak zacząć, i pierwsze, co przyszło mi do głowy, to motto do „Zniewolonego umysłu", słowa Starego Żyda z Podkarpacia: „Jeżeli dwóch kłóci się, a jeden ma rzetelnych 55 procent racji, to bardzo dobrze i nie ma co się szarpać. A kto ma 60 procent racji? To ślicznie, to wielkie szczęście i niech Panu Bogu dziękuje! A co by powiedzieć o 75 procent racji? Mądrzy ludzie powiadają, że to bardzo podejrzane. No, a co o 100 procent? Taki, co mówi, że ma 100 procent racji, to paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak".

Potem jednak jak zwykle przyszła mi do głowy historia ze świata, który zajmuje niepokojąco duże obszary mojego mózgu, a mianowicie świata futbolowego. Nieliczne pewnie tutaj osoby, które zajmują się sprawami tak dalece nieistotnymi, wiedzą, że najwybitniejszą drużyną w dziejach piłki – przynajmniej do czasu Barcelony Guardioli – był Ajax Amsterdam, w którym grał zresztą patron Guardioli Johann Cruyff. Otóż twórcami potęgi tamtej drużyny byli kolaboranci, którzy współpracowali z Niemcami. Np. bracia van der Meidenowie, znani jako „budowniczowie bunkrów", bo w czasie wojny przekształcili niewielką rodzinną firmę w wielkie przedsiębiorstwo budujące dla Niemców koszary, bunkry i stanowiska dział. Rzecz w tym, że ich sojusznikami w tworzeniu wielkiego Ajaksu byli prezes Jaap van Praag – Żyd, który przeżył wojnę, ukrywany przez przyjaciół z klubu – oraz żydowski biznesmen Maup Caransa.

I chyba nie chodzi tylko o to, że futbol ma taką siłę, w której – by sparafrazować E. M. Forstera – „każdy się zgadza, że zdrada własnego narodu to coś złego, ale wielu ludzi sądzi, że to lepsze niż zdrada swojego klubu piłkarskiego". Chodzi też o skomplikowanie losów, w których mało który człowiek jest jednoznacznie goed (dobry), ale mało który jest też kategorycznie fout (niewłaściwy – powszechne w Niderlandach pojęcie określające postawy w czasie wojny).

NIE MA BARDZIEJ POLARYZUJĄCEGO TEMATU niż polaryzacja. Coś, co się przecież świetnie monetyzuje – np. na portalu społecznościowym, bo podtrzymuje uwagę, podsyca emocje i w tych emocjach skłania do szybkich decyzji zakupowych. Coś, co mobilizuje elektoraty, a zarazem jest stare jak plemienny świat (jesteśmy gatunkiem społecznym, w którym przynależność do grupy była niezbędna do przeżycia).

Coś, co jest w gruncie rzeczy zrozumiałe w kraju wciąż nieprzepracowanej transformacji i wielu traumatycznych zdarzeń, od katastrofy smoleńskiej po pandemię. Coś, czemu sprzyja kryzys demokracji – środowiska, w którym kiedyś mogły współistnieć różne punkty widzenia, opcje polityczne i światopoglądy, zachowujące jednak zdolność do samoograniczenia.

Polaryzacji sprzyja też współczesny kult dobrego samopoczucia. Ile to razy słyszeliśmy, że sama rozmowa z osobą o odmiennych poglądach jest nie tylko zdradą ideałów, ale czymś zwyczajnie nieprzyjemnym – jak to było z odwołaniem tzw. debaty symetrystów na Campusie Polska ze względu na „niezadowolenie i poczucie dyskomfortu związane z wypowiedziami publicznymi" jednego z panelistów. „Żyjemy w czasach, gdy indywi-

dualne poczucie dyskomfortu może stać się kryterium doboru gości do debaty publicznej" – dziwił się wtedy Dariusz Rosiak.

O SZKODLIWOŚCI POLARYZACJI MOŻNA BY mówić wiele, poczynając od powodów filozoficznych niepopadania w pułapkę „my i oni". Jesteśmy przecież istotami omylnymi, a „tamci" mogą mieć (przeważnie mają) bardzo dobre powody do głosowania tak, jak głosują. Niestety, algorytmy sprawiają, że na odmienne stanowiska natrafiamy coraz rzadziej, a dzisiejsza kultura skłania do ujmowania złożonych rzeczy coraz prościej (nawet ja to teraz robię). Tymczasem rozmowa z drugim człowiekiem pokazuje, że świat jest dużo bardziej skomplikowany, że – jak napisał kiedyś Marcin Napiórkowski – „racja funkcjonuje w detalu, nie w hurcie", bo można mieć słuszność w jednej kwestii, ale nie można mieć monopolu na rację.

Kiedy John Stuart Mill bronił w XIX w. wolności słowa, podawał dwa praktyczne powody (przypominam je za Rosiakiem). Po pierwsze, opinia sprzeczna z moją może być prawdziwa w całości lub w części: powinienem jej wysłuchać, by zmienić lub skorygować swój pogląd. Ale nawet jeśli opinia mojego rozmówcy jest całkowicie błędna, to i tak warto jej wysłuchać, bo prawda w konfrontacji z fałszem zyskuje większą jasność i odporność.

Co ciekawe: z badań socjologicznych jasno wynika, że w Polsce nie ma dwóch obozów – jest kilkanaście różnych grup, których poglądy są przemieszane, a czasami wspólne. „Między wąskimi i głośnymi grupami na skrajach żyje zakrzyczana większość, która oczekuje wyjścia z tego błędnego koła" – powiedział mi kiedyś Wawrzyniec Smoczyński, prezes Fundacji Nowej Wspólnoty. 82 proc. Polaków mówi, że są zmęczeni konfliktem politycznym. 92 proc. tęskni za tym, żeby główne grupy znalazły wspólny język. 78 proc. uważa, że cechą dobrego polityka jest zdolność pójścia na kompromis – to badania organizacji More in Common.

W SUMIE TO BARDZO OPTYMISTYCZNE badania, bo przecież kiedy za naszymi plecami Trump z Putinem ubijają interesy, kiedy nie wiemy, co zrobi z nami niekontrolowany rozwój Big Techów i sztucznej inteligencji, nie ma nic bardziej destrukcyjnego niż nasza wojna domowa.

Nie musimy zresztą mówić o Putinie i Trumpie. W wydaniu specjalnym „TP" „Terapia dla Polski", które miałem przyjemność redagować, Marcin Napiórkowski opisywał pewien eksperyment. Uczestniczących w nim studentów podzielono na małe grupy. Niektóre były jednorodne – wszyscy członkowie mieli podobny wiek, wykształcenie i poglądy. Inne zawierały „outsiderów" – osoby celowo dobrane tak, żeby odróżniać się od reszty. Następnie każda grupa miała rozwiązać zagadkę kryminalną i na podstawie rozproszonych wskazówek ustalić, kto dokonał (fikcyjnego) morderstwa.

Wynik? Grupy jednorodne rozwiązywały zadania szybko i dobrze się przy tym bawiły. Grupy z outsiderami męczyły się dłużej. Kluczowa różnica polegała jednak na tym, że grupy niejednorodne rozwiązywały zadanie... poprawnie. Wszystkie zagadki były tak skonstruowane, by naprowadzić uczestników na fałszywy trop. Grupy jednorodne od razu ten trop podchwytywały i, wiedzione wewnątrzgrupowym konformizmem, zmierzały w niewłaściwym kierunku. Tymczasem grupy niejednorodne były stale opóźniane przez pytania outsiderów.

„Konieczność kwestionowania własnych założeń, wyjaśnienia ich komuś innemu oraz uwzględnienie różnych perspektyw czyni nas lepszymi – komentował Napiórkowski. – Różnorodność jest trudna i bywa denerwująca. Ale umiejętnie wykorzystana daje ogromną siłę".

W innym tekście ten sam autor daje kilka praktycznych porad, którymi mógłbym zakończyć. Jak się zdepolaryzować? Nie używaj wobec politycznych przeciwników etykiet zbiorczych i przezwisk. Nie powielaj emocjonalnych, niemerytorycznych przekazów. Staraj się uświadomić sobie własne odruchowe reakcje emocjonalne. O polityce nie dyskutuj podniesionym głosem, pamiętaj o wyłączeniu Caps Locka. Okazuj niezadowolenie, kiedy politycy twojej ulubionej partii traktują cię jak idiotę. Zaglądnij czasem do mediów z drugiej strony barykady. Na Facebooku czy Twitterze obserwuj także polityków i wyborców, którzy myślą inaczej niż ty. Bądź podejrzliwy wobec „własnych" mediów. Rzetelność ceń wyżej niż spójność. Pamiętaj, że w demokracji nie ma wrogów – są partnerzy do dyskusji.

WSPANIAŁĄ ODTRUTKĄ NA POLARYZACJĘ jest obcowanie z wielką literaturą – może dlatego zacząłem od Miłosza, a za chwilę na scenie Impactu zrobię miejsce Oldze Tokarczuk. Amos Oz, który niestety nie doczekał Nobla, szukając odtrutek na fanatyzm również wymieniał literaturę. „Szekspir bardzo może pomóc – pisał. – Każdy ekstremizm, każda bezkompromisowa krucjata, każda forma fanatyzmu kończy się u Szekspira albo tragedią, albo komedią. Na końcu fanatyk nigdy nie jest szczęśliwszy ani bardziej zadowolony – albo umiera, albo zostaje pośmiewiskiem".

Bo Oz mówił o poczuciu humoru: „Ani razu w życiu nie widziałem fanatyka z poczuciem humoru, nie spotkałem również człowieka z poczuciem humoru, który zostałby fanatykiem, jeśli owego poczucia humoru nie stracił". Ale uwaga: nie należy mylić poczucia humoru z sarkazmem: chodzi też o zdolność śmiania się z samego siebie. „Humor to relatywizm, to zdolność widzenia siebie tak, jak inni cię widzą, umiejętność uświadomienia sobie, że choćbyś był przekonany o swojej słuszności i choćbyś został okrutnie skrzywdzony, to zawsze jest w tym coś odrobinę śmiesznego. Im więcej masz racji, tym bardziej jesteś śmieszny".

Żeby było jasne: nie uważam, że mam wiele racji. ©℗

Podczas tegorocznej edycji IMPACT'25 w Poznaniu „Tygodnik Powszechny" reprezentował MICHAŁ OKOŃSKI, który na głównej scenie wygłosił przemówienie zatytułowane „JAK SIĘ NIE DAĆ POLARYZACJI".

IMPACT'25 – jedno z najważniejszych wydarzeń gospodarczo-technologicznych Europy Środkowej – odbyło się 14–15 MAJA 2025 R. W POZNAŃ CONGRESS CENTER. Konferencja zgromadziła ponad 650 prelegentów i 6000 uczestników z całego świata. W programie znalazły się tematy kluczowe dla przyszłości – od rozwoju sztucznej inteligencji i przemian geopolitycznych, przez zdrowie psychiczne i technologie klimatyczne, po media, kulturę i demokrację. Wystąpienia odbywały się na 10 scenach tematycznych w ramach 23 ścieżek programowych, a na liście mówców znaleźli się m.in. Barack Obama, Olga Tokarczuk, Timothy Snyder i Margrethe Vestager. Impact to dziś nie tylko konferencja – to platforma rozmowy o wartościach, ryzykach i nadziejach współczesności.

WŁASNYMI OCZAMI

Coraz wyraźniej widać, że cel Izraela w Strefie Gazy to zniszczyć palestyńską tam obecność. Wszelką obecność.

MAREK MATUSIAK

Palestyńczycy w Gazie „doświadczają obecnie być może najokrutniejszej fazy tego okrutnego konfliktu" – powiedział 23 maja sekretarz generalny ONZ António Guterres. I za wyjątkiem całkowicie nieadekwatnego już słowa „konflikt" (do tego, jakie jest lepsze, wrócimy) oraz partykuły „być może" i niewskazania odpowiedzialnych – miał rację.

Faza obecna trwa od 18 marca, kiedy to Izrael zerwał zawieszenie broni (przetrwało dwa miesiące) i wznowił inwazję. Przy czym w połowie maja armia izraelska rozpoczęła nową ofensywę. Bierze w niej udział pięć dywizji lądowych (kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy), cechują ją zaś znowu zmasowane bombardowania, przepędzanie ludności z północy na południe oraz – to nowość – zamiar trwałej okupacji całej Strefy.

Bez zmian pozostaje natomiast stosowanie głodu jako narzędzia (to jedna ze zbrodni wojennych, o które Międzynarodowy Trybunał Karny oskarża premiera Beniamina Netanjahu). Na początku marca Izrael całkowicie zablokował dostawy pomocy humanitar-

ABED RAHIM KHATIB / GETTY IMAGES

Mieszkanka Strefy Gazy z zapasem mąki. Chan Junus, 31 maja 2025 r.

nej. 22 maja palestyńskie Ministerstwo Zdrowia poinformowało, że w ciągu zaledwie kilku dni doszło do spowodowanej głodem śmierci 29 osób (dzieci i starszych). Od rozpoczęcia aktualnej ofensywy Izrael nadal gra dostawami żywności (tylko w inny już sposób, o czym za chwilę).

„Niszczymy w Gazie wszystko"

W czasie konferencji prasowej 22 maja Netanjahu stwierdził, że warunkiem zakończenia wojny jest realizacja „planu Trumpa". A zatem rzuconej mimochodem w lutym przez prezydenta USA idei przemienienia Gazy w kurort, po uprzednim zrównaniu jej z ziemią i usunięciu mieszkańców.

Status „planu Trumpa" – jak wielu jego pomysłów – jest trudny do określenia. Jednak do zrównania Gazy z ziemią oraz do zniszczenia palestyńskiej obecności tam – w ogóle, jako takiej – Izrael dąży w sposób jasny i konsekwentny.

I mówi o tym otwarcie, np. ustami ministra finansów Becalela Smotricza, który 19 maja stwierdził: „Niszczymy w Gazie wszystko, co jeszcze zostało, bo wszystko tam jest jednym wielkim centrum terroru". I wytłumaczył wprost, że celem operacji jest skoncentrowanie ludności na południu Strefy, a stamtąd „z bożą pomocą" usunięcie jej do „krajów trzecich".

W przypadku części mieszkańców Gazy zniszczenie ma charakter fizyczny poprzez śmierć od kul, bomb albo głodu. W przypadku większości natomiast ma przybrać postać „dobrowolnej emigracji", do przeprowadzenia której Izrael powołał w swoim Ministerstwie Obrony odpowiednie komórki.

Szesnaście tysięcy dzieci

Przebieg aktualnej ofensywy w Gazie obrazuje bilans jej drugiego dnia: 19 maja izraelska armia zabiła tam 136 osób oraz zaatakowała i zniszczyła m.in. magazyn leków i sprzętu medycznego należący do szpitala imienia Nasera w mieście Chan Junus.

Ewentualne wątpliwości, czy nie są to aby „informacje Hamasu", rozwiewa wypowiedź deputowanego izraelskiej koalicji rządzącej Cwiego Sukkota, który kilka dni wcześniej w jednym z kanałów telewizyjnych mówił: „Ostatniej nocy prawie 100 osób zostało zabitych. (...) I nikogo to już nie obchodzi. Wszyscy się już do tego przyzwyczaili, że można zabić 100 mieszkańców Gazy i nikogo na świecie to nie obejdzie".

Przyczyną tak wysokiej liczby ofiar śmiertelnych jest m.in. to, że – jak pokazało śledztwo izraelskiego magazynu internetowego „+972" – Izrael w sposób świadomy, opierając się na wadliwych algorytmach, przeznacza do zmasowanych bombardowań obszary, w których pozostali cywile.

Oficjalny wskaźnik ofiar śmiertelnych, którego wiarygodności na obecnym etapie nikt już poza Izraelem nie kwestionuje, od pół roku oscyluje wokół 50 tysięcy. Na imiennej liście sporządzonej przez palestyńskie Ministerstwo Zdrowia są obecnie 54 tysiące osób, z czego 16 tysięcy to dzieci.

Szacunek niski, szacunek wysoki

W praktyce jednak, biorąc pod uwagę metodologię zbierania danych (opartą na raportach ze szpitali i zgłoszeniach od rodzin zabitych), statystyka ta od miesięcy nie jest już miarodajna.

Spośród 36 szpitali, które działały w Gazie przed wojną, obecnie częściowo działa ich tylko 19 (dane WHO z końca maja). Natomiast ciągłe ataki, przymusowe przemieszczenia ludności (tylko od marca dotknęło to 632 tys. osób), a często śmierć całych rodzin pod gruzami uniemożliwiają zbieranie danych w systematyczny sposób.

Łączna liczba zabitych jest zatem wyższa. O ile? Nie wiadomo. Szacunki opublikowane na początku maja przez tygodnik „Economist" – oparte na metodologii przedstawionej wcześniej na łamach medycznego pisma „Lancet" – wynoszą od 77 tys. (szacunek niski) do 109 tys. (szacunek wysoki). A zatem, przy populacji liczącej 2,2 mln osób, jest to między 3,5 proc. a 5 proc. ogółu. Na warunki polskie byłoby to między 1,3 a 1,8 mln.

Kogo nie przekonują statystyki, może przekonać się o tym, co dzieje się w Gazie, naocznie. Każdy dzień przynosi nowe zdjęcia i nagrania ludzi okaleczonych lub zabitych – dowolnego wieku i obojga płci – spalonych, rozerwanych, zmiażdżonych. Są one dostępne w internecie w ilości nieograniczonej i łatwo je znaleźć.

Faza piąta, faza czwarta

Oprócz stałego zagrożenia śmiercią, mieszkańcy Gazy także głodują albo są na granicy głodu. W pięciostopniowej skali kryzysu żywnościowego, którą posługują się organizacje pomocowe, 470 tys. ludzi w Gazie znajduje się obecnie w fazie piątej („głód"), a 1,1 mln w fazie czwartej („kryzys humanitarny").

Rozpatrywanie tej sytuacji przez pryzmat statystyk samo w sobie przyczynia się do dehumanizacji. Jednak w sytuacji, kiedy strona izraelska zabija palestyńskich dziennikarzy (od początku wojny ponad 200), a tych międzynarodowych do Strefy nie dopuszcza, wielkie liczby stają się bardziej dostępne niż perspektywa jednostkowa. ↦

↦ „Nie mamy podstawowych artykułów spożywczych – mąki, cukru, oleju, masła, ryżu czy roślin strączkowych. Mamy trochę konserw i trochę lokalnie uprawianych warzyw" – stwierdzał w rozmowie z amerykańskim Komitetem Obrony Dziennikarzy Mohammad Al-Hajjar, freelancer współpracujący m.in. z Associated Press (materiał z 28 maja).

Relacja

Saleh Al-Natoor, miejscowy korespondent katarskiej telewizji Al-Araby, opisał 9 maja na Facebooku swoje doświadczenie głodowe. Pisał: „Czujesz, jakby ściany żołądka zapadały ci się do środka, a w ustach pojawia się gorzki smak, jakby dotarły tam kwasy żołądkowe. Rozpoczyna się silny ból w górnej części czaszki, a mózg otacza pustka".

I dalej: „Kiedy próbujesz wstać, dostajesz zawrotów głowy i tracisz równowagę. Wtedy starasz się podeprzeć i zamykasz na chwilę oczy, próbując pozwolić krwi ponownie dotrzeć do mózgu. Masz wtedy trochę czasu, by wyjść i znaleźć cokolwiek, co możesz włożyć do ust i co dotrze do żołądka, dając ciału fałszywy, tymczasowy sygnał, że zaczęło się odżywiać. Dzięki temu chwilowo przełamujesz atak głodu i czekasz na kolejny".

Dalej Saleh Al-Natoor: „Z czasem nasze ciała zaczynają trawić same siebie, masa mięśniowa znika i pojawia się skrajne wycieńczenie organizmu. Jeśli trwa to zbyt długo, organy zaczynają się poddawać, a u niektórych dochodzi do ich niewydolności i ciało zaczyna chorować aż do stopniowej śmierci".

„Nie musimy czekać na oficjalne ogłoszenie głodu w Gazie, żeby wiedzieć, że ludzie już tam głodują, chorują i umierają w sytuacji, kiedy żywność i lekarstwa czekają zaledwie o parę minut drogi po drugiej stronie granicy" – stwierdzał w połowie maja dyrektor generalny WHO Tedros Adhanom Ghebreyesus.

Żywność, o której wspomniał, nie tylko czekała, ale na skutek upału gniła i była po egipskiej stronie masowo utylizowana nie dotarłszy do tych, dla których była przeznaczona.

Poziom minimalny

W odpowiedzi na krytykę Izraela za głodzenie Gazy, jego władze ogłosiły 19 maja decyzję o przepuszczeniu niewielkiej ilości pomocy. Miało to jednak głównie znaczenie propagandowe. Przyznał to zresztą Netanjahu: stwierdził, że zdecydował się przywrócić „minimalny poziom pomocy", aby zadowolić „najbliższych przyjaciół Izraela" z zagranicy, którzy w pełni Izrael popierają, ale nie zniosą widoku masowego głodu.

Przede wszystkim jednak, wraz z rozpoczęciem nowej ofensywy uruchomiono – anonsowany od kilku miesięcy – nowy system dystrybucji żywności. Izrael powtarzał bowiem, że dotychczasowy, w którym główną rolę odgrywały międzynarodowe organizacje, sprzyja przejmowaniu pomocy przez Hamas (Światowy Program Żywnościowy i Biuro ONZ ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej temu zaprzeczały).

Za nowy system odpowiada Gaza Humanitarian Foundation (GHF), utworzona w lutym i formalnie amerykańska. W istocie jednak – jak się szybko okazało – jest to przedsięwzięcie zaplanowane, nadzorowane, a także finansowane przez izraelski rząd, o czym najpierw informował polityk opozycji Ja'ir Lapid, a następnie, na podstawie własnego śledztwa, telewizyjny Kanał 11.

„Spróbujcie jutro"

Fundacja GHF zastąpiła *de facto* w Gazie międzynarodowe organizacje humanitarne. Zatem to Izrael – pod innym szyldem – ma dziś kontrolę nad dystrybucją tego, co niezbędne do przeżycia. Może decydować, czy, gdzie, komu i co będzie wydawane. Dzięki temu może np. zmuszać ludność do koncentracji w pożądanym miejscu. W tym modelu bowiem to nie pomoc dociera do potrzebujących, lecz oni muszą docierać do niej. Inaczej – nie będą jedli.

Dotąd powstały cztery „centra dystrybucyjne" – ochraniane przez amerykańskich najemników (ubezpieczanych z kolei przez rozlokowanych za nimi izraelskich żołnierzy): trzy w południowej części Strefy i jedno w centralnej. Są położone na otwartym terenie i składają się z szeregu korytarzy wygrodzonych stalowymi płotami, które prowadzą do placu, gdzie wyłożone są paczki z żywnością.

Aby uzyskać pożywienie, mieszkańcy Gazy muszą najpierw do nich dotrzeć (często z daleka i pieszo), a następnie w wyznaczonym momencie *de facto* przebiec – tłocząc się i tratując – metalowymi korytarzami. Mechanizm działa bowiem

na zasadzie „kto pierwszy ten lepszy". Tym, którzy nie zdążyli – a zapasy kończą się szybko – uzbrojeni Amerykanie mówią, żeby „spróbowali jutro".

Masakry przy dystrybucji

W tych warunkach najlepiej radzą sobie najsprawniejsi, co potęguje chaos i rywalizację o ograniczone zasoby. Trudno uwierzyć, że nie jest to celowe.

Przede wszystkim jednak: przy dystrybucji żywności niemal codziennie dochodzi do masakr. I tak, 1 czerwca armia izraelska zastrzeliła w ten sposób 31 osób, 2 czerwca – trzy, 3 czerwca zaś kolejnych 27 osób.

Dzięki opublikowanemu 5 czerwca śledztwu amerykańskiej telewizji CNN wiadomo, że do pierwszego z tych wydarzeń doszło przed świtem, w odległości ok. 800 m od „centrum dystrybucyjnego" w Tel al-Sultan, gdzie Palestyńczycy czekali na jego uruchomienie o piątej rano (aby zdążyć, zanim paczki się skończą). Nagrania dokonane telefonami komórkowymi pokazują ludzi kryjących się przed seriami z broni automatycznej, w tym – według 17 świadków – z karabinów zainstalowanych na izraelskich czołgach.

Dokładne okoliczności tego wydarzenia (i kolejnych) nie są na razie znane. Nie ma jednak wątpliwości, że ich przyczyny są systemowe i związane z warunkami,

M.M.T. JARAS / GETTY IMAGES

Krajobraz zniszczeń w Strefie Gazy. Palestyńczycy uciekają ze strefy konfliktu. 21 maja 2025 r.

jakie Izrael z premedytacją w Gazie wytworzył. Mieszkańcy Gazy stają tym samym w sytuacji, gdy szansa na pozyskanie żywności łączy się z bezpośrednim ryzykiem śmierci.

Wyburzenia

Oddzielnym aspektem izraelskich działań w Gazie jest jej wyburzanie. Według danych Centrum Satelitarnego ONZ (UNOSAT) z września 2024 r. już po pierwszych 11 miesiącach inwazji zniszczonych lub zburzonych było 66 proc. wszystkich budynków.

Obecnie obraz ten jest radykalnie gorszy, a to za sprawą systemowych i masowych wyburzeń. Weźmy np. miasteczko Chuza'a, liczące przed wojną kilkanaście tysięcy mieszkańców – przestało ono istnieć. W sensie dosłownym: wszystkie budynki metodycznie zniszczono. Podobnie wygląda znaczna część miasta Rafah na południu (kiedyś 170 tys. mieszkańców), a także miasta Dżabalija na północy oraz wiele innych.

Podobnie wygląda tzw. korytarz Necarim – wojskowa arteria komunikacyjna, którą Izrael przebił w poprzek Strefy, burząc doszczętnie wszystko zarówno po drodze, jak i w promieniu kilku kilometrów dookoła. Włącznie z ukończonym w 2017 r. Turecko-Palestyńskim Szpitalem Przyjaźni.

Żołnierze, którzy rozmawiali na temat wyburzeń z izraelskim magazynem internetowym „+972", opowiadali, że jeden opancerzony buldożer potrafi zniszczyć dwupiętrowy budynek w ciągu godziny, a oni niszczyli ich po 50 tygodniowo, i to przez szereg miesięcy. W innych przypadkach Izrael – z sobie znanych przyczyn – zaminowuje i wysadza w powietrze całe kwartały.

Sondaże

Wszystko, co powyżej opisano, odbywa się w dalszym ciągu przy – w najlepszym razie – obojętności, w najgorszym zaś przy aktywnym poparciu izraelskiego społeczeństwa. Konsekwentnie potwierdzają to wszystkie przeprowadzane od początku wojny sondaże opinii.

Przykładowo, 20 maja Kanał 13 izraelskiej telewizji opublikował wyniki badania, w którym zapytano, czy Izrael powinien wpuścić do Gazy pomoc humanitarną. 53 proc. respondentów odpowiedziało „nie powinien", a przeciwnego zdania było 34 proc. Można spokojnie założyć, że po odliczeniu respondentów arabskich (których w Izraelu jest ponad 20 proc.), wynik ten byłby jeszcze bardziej jednoznaczny.

W przestrzeni publicznej niezmiennie bez większego sprzeciwu przechodzą również wypowiedzi takie jak ta Nissima Vaturiego, wiceprzewodniczącego Knesetu z partii Likud. Stwierdził on 23 maja, że w Gazie kobiety i dzieci należy oddzielić od mężczyzn, a tych ostatnich zbiorowo rozstrzelać.

Jak to nazwać?

Adekwatne nazwanie tego, co Izrael robi w Gazie, od początku budziło w świecie ogromne kontrowersje. Zwłaszcza odkąd – już na początku – padł w tym kontekście termin „ludobójstwo". Krytycy jego użycia wskazywali, że nie każda zbrodnicza wojna – nawet taka pochłaniająca dziesiątki tysięcy istnień – nosi znamiona ludobójstwa, i że ludobójcza retoryka, nawet jeśli słychać ją w słowach izraelskich przywódców, nie jest jeszcze ludobójczym aktem.

Ich oponenci wskazywali jednak, że postępowanie Izraela jest ludobójstwem wręcz podręcznikowym. Nie tylko ze względu na niebywałą brutalność, ale przede wszystkim właśnie na – kluczowe w przypadku tej zbrodni – otwarcie komunikowane intencje.

W miarę upływu czasu do drugiego z tych poglądów przyznawała się coraz większa grupa badaczy-specjalistów z zakresu zarówno prawa międzynarodowego, jak i badań nad historycznymi ludobójstwami. Dziś trudno już znaleźć w tym środowisku głosy odmienne.

■■■

W gronie tych, którzy nie mają w tej sprawie wątpliwości, są również badacze Zagłady Żydów z czasu II wojny światowej, tacy jak Omer Bartov (jego książki tłumaczono na polski), Amos Goldberg czy Daniel Blatman, a także Taner Akçam (jeden z najważniejszych badaczy ludobójstwa Ormian), William Schabas (były prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Badaczy Ludobójstw, IAGS) oraz wielu innych.

Szukając adekwatnego określenia na to, co opisano powyżej, kierować można się opinią takich postaci. Ale przede wszystkim własnymi oczami.

© MAREK MATUSIAK

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, stale współpracuje z „TP".

MATERIAŁY PRASOWE JER ME SE TIČE x2

Fikret Bačić, przewodniczący Stowarzyszenia Rodziców Dzieci Zamordowanych w Prijedorze, na marszu upamiętniającym zabitych w 1992 r. Prijedor, maj 2024 r.

Dzień białych opasek

MATEUSZ SOKULSKI

Jak co roku w bośniackim Prijedorze upamiętniono ponad setkę dzieci, które Serbowie zabili w 1992 r. Prijedor jest rekordzistą w skali świata: z 30-tysięcznego miasteczka wywodzi się ponad 60 osądzonych zbrodniarzy wojennych.

To szczególny punkt na mapie dawnej Jugosławii: Prijedor to jedyne dziś miejsce w Republice Serbskiej – części składowej Bośni i Hercegowiny – gdzie rodziny ofiar oraz lokalna społeczność upamiętniają muzułmanów i katolików, niewinnych cywilów, którzy stracili życie ponad 30 lat temu. Także w tym roku, w ostatnią sobotę maja, odbyły się tu obchody – mimo niechęci ze strony serbskich władz, które konsekwentnie nie zgadzają się na budowę pomnika zabitych dzieci.

Prijedor, dziś niespełna 30-tysięczny, to miejsce szczególne również dlatego, że jak w lustrze odbija się tu historia najnowsza tego kawałka Europy. Jego mieszkańcy doświadczali okrucieństw zarówno w czasie II wojny światowej (głównymi ofiarami byli prawosławni Serbowie), jak i wojny domowej w Jugosławii w latach 1992-95, gdy największe straty poniosła społeczność muzułmańska.

Symbolami tamtej wojny są dziś masakra w Srebrenicy i oblężenie Sarajewa. Mniej obecne w świadomości świata są losy ludności północnej Bośni i Hercegowiny – choć to zdjęcia z obozów w Omarskiej i Trnopolju trafiły na czołówki gazet już latem 1992 r.

LEGENDA | Prijedor rozwijał się od XIX w., a miejski charakter nadała mu realizacja planów urbanistycznych w czasie, gdy należał do Austro-Węgier. Potem, po wejściu w 1918 r. do Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców, miasto dzieliło problemy Jugosławii. Zamieszkiwali je prawosławni Serbowie, Muzułmanie i mniej liczni katoliccy Chorwaci. Region był ubogi, nawet na tle zacofanego Królestwa Jugosławii. Kryzysy polityczne i gospodarcze stały się, jak w całej Europie, źródłem wzrastającej frustracji mieszkańców.

Gdy w latach 1941-45 Prijedor został wcielony do Niezależnego Państwa Chorwackiego, współpracującego z III Rzeszą, represje dotknęły głównie Serbów. Strategiczne znaczenie Prijedoru, położonego blisko węzłów komunikacyjnych, sprawiło, że niemieccy okupanci i chorwaccy kolaboranci byli tu wyjątkowo brutalni wobec cywilów.

Właśnie w tej okolicy doszło do bitwy na Kozarze, gdy komunistyczni partyzanci zdołali, mimo dotkliwych strat, uciec przed okrążeniem Niemców i Chorwatów. Po 1945 r. komunistyczna propaganda wykreowała tę bitwę do rangi legendy. Bośnia i Hercegowina, za sprawą jej wieloetnicznego charakteru, miała symbolizować hasło „braterstwa i jedności" proklamowane przez komunistów. Ci wypierali jednocześnie z przestrzeni publicznej pamięć o brutalnych walkach etnicznych.

BIAŁE PŁÓTNA | Dawna wrogość ożyła, gdy także w Jugosławii upadać zaczął system komunistyczny, a na jego gruzach kształtować zaczęły się nowe państwa. Serbscy politycy i intelektualiści przestrzegali przed „nowym ludobójstwem Serbów". Manipulacja żywą pamięcią o ludobójstwie z lat 1941-45 doprowadziła do eskalacji nastrojów nacjonalistycznych, którą serbski socjolog Nebojša Popov łączył z nieprzepracowaną traumą.

W 1991 r. Prijedor liczył 34 tys. mieszkańców, z czego 14 tys. stanowili Serbowie; niewiele mniej było Muzułmanów. Chorwaci w liczbie ok. 1,6 tys. stanowili najmniejszą, choć też istotną grupę społeczną. Aż 16 proc. deklarowało się jako „pozostali" – byli to albo ludzie z rodzin mieszanych, albo/i ci identyfikujący się z pojęciem Jugosłowianina, jak też mniejszości narodowe, obecne tu od czasów habsburskich.

Prijedor znalazł się w granicach Republiki Serbskiej, której samozwańczy lider Radovan Karadžić nie uznał decyzji o niepodległości Bośni i Hercegowiny. Siły serbskie opanowały miasto w 1992 r. Wtedy to, 31 maja, tutejsze samozwańcze władze Serbskiego Sztabu Kryzysowego na czele z Milomirem Stakiciem (związanym z Serbską Partią Demokratyczną Karadžicia) nakazały ludności muzułmańskiej i katolickiej wywiesić białe płótna na fasadach domów, w oknach i na balkonach. Ponadto musieli oni odtąd, wychodząc z domu, nosić na ramieniu białą opaskę.

Był to początek ludobójstwa. W tym regionie przeszło 30 tys. osób wypędzono z domów, ok. 6 tys. osadzono w obozach Trnopolje, Keraterm i Omarska (najbar-

dziej znany z okrutnych praktyk stał się ten ostatni). Ponad 3 tys. ludzi zginęło w wyniku represji stosowanych przez serbską administrację miasta. Z tej liczby co najmniej 842 osoby znaleziono potem w masowych grobach w okolicznych miejscowościach Tomašica i Jakarina Kosa, na terenie kopalni rud żelaza Ljubija.

MIASTO-REKORDZISTA | Niemal wszystkich zbrodni dokonano między końcem maja a końcem sierpnia 1992 r. Wśród ofiar było 102 dzieci (najmłodsze miało dwa miesiące) i to one są w centrum uwagi organizowanych od lat obchodów Dnia Białych Opasek (*Dan bijelih traka*), zawsze 31 maja. Najważniejszą zaś inicjatywą jest budowa pomnika poświęconego tym dzieciom, która pojawiła się już 11 lat temu.

Dziennikarz Al Jazeery Nihad Kreševljaković zauważa, że skazanie ponad 60 osób w związku ze zbrodniami w Prijedorze i okolicy sprawia, że miasto to jest swoistym rekordzistą: ma największą liczbę zbrodniarzy wojennych na świecie. Wyroki zapadły m.in. wobec samozwańczego prezydenta miasta Stakicia czy odpowiedzialnych za represje we wspomnianych obozach Radoslava Brđanina i Zorana Žigicia (skazanych przez Międzynarodowy Trybunał Karny ds. byłej Jugosławii).

Mimo wyroków – obok Trybunału w Hadze wydawanych też przez sądy w Bośni i Hercegowinie – trudno jednak mówić o zadośćuczynieniu wobec ofiar i ich rodzin. Inicjatywa budowy pomnika pomordowanych dzieci z Prijedoru jest ignorowana przez władze miejskie.

UPAMIĘTNIENIE | Uczestnicy uroczystości w sobotę 31 maja zrobili to, co robią od lat: na rynku złożyli 102 białe róże, a na moście przewiązali na barierkach białe wstążki z imionami ofiar. Mirsad Duratović ze Związku Więźniów Prijedor 1992, mówił w telewizji N1, że ma obowiązek przypominać o tym, co przeżył: „W połowie poszedłem do przodu, lecz druga połowa mojego ciała, duszy i egzystencji została w roku 1992".

Niezależny portal Buka przytaczał wypowiedzi osób, które straciły wtedy dzieci. I tak, przewodniczący Stowarzyszenia Rodziców Dzieci Zamordowanych w Prijedorze Fikret Bačić – ojciec sześcioletniej Nerminy i dwunastoletniego Nermina, zabitych w 1992 r. – nie krył rozczarowania wobec postępowania władz miejskich, które nie chcą zgodzić się na pomnik. Większość dzieci zginęła wtedy razem z rodzicami, ale w dalszym ciągu żyje kilkanaścioro rodziców.

Upamiętnienie dzieci – ofiar konfliktu na moście w Prijedorze. Na barierkach umieszczono białe wstążki z imionami dzieci. Maj, 2023 r.

Organizatorzy Dnia Białych Opasek są już przyzwyczajeni, że obchody nie spotykają się z zainteresowaniem lokalnej, dominującej serbskiej społeczności, która zwykle odwraca od nich wzrok. Taka postawa wyparcia jest w dużej mierze pochodną działań bośniackich polityków – zarówno serbskich, jak i chorwackich oraz muzułmańskich – którzy wolą pamiętać jedynie o „swoich" ofiarach.

Widać to zwłaszcza dziś, gdy w Bośni i Hercegowinie narasta napięcie – za sprawą coraz głośniejszych dążeń do secesji Republiki Serbskiej. Jej prezydent Milorad Dodik od lat twierdzi, że wiele postanowień władz centralnych w Sarajewie tutaj nie obowiązuje.

WIEDZA I WYPARCIE | Tegoroczne obchody przebiegały w cieniu tych napięć. Nemanja Tubonjić, aktywista z lokalnej inicjatywy „Gdyż mnie to dotyczy" (*Jer me se tiče*), podkreślał ich apolityczny charakter. Mówił: „Trzy dekady po wojnie odmienne interpretacje historii wykorzystywane są do dzielenia ludzi. Dzisiejsi politycy, narodowi i wyznaniowi liderzy, poświęcają się dzieleniu narodu tak, jak czyniono to w czasie wojny". Tubonjić tłumaczył, że „sensem Dnia Białych Opasek jest przypomnienie o ofiarach, których władze lokalne nie chcą pamiętać".

Ludzie z tej inicjatywy, w tym Serbowie, próbują to zmienić. Jeszcze w 2017 r. Dražen Crnomat, inny jej aktywista, mówił w wywiadzie dla Al Jazeery: „Od momentu, gdy odrzucaliśmy jakiekolwiek stanięcie w prawdzie z faktami, z wojenną przeszłością Prijedoru, doszliśmy dziś do sytuacji, że Dzień Białych Opasek jest instytucją znaną, a upamiętnienie i obecność stały się rzeczami normalnymi i akceptowalnymi". Crnomat miał nadzieję, że „rozbija się ten gruby lód, ten masywny mur blokady pamięci".

Crnomat podkreślał, że serbscy mieszkańcy zdają sobie sprawę z tego, co się tutaj stało, nawet jeśli w dalszym ciągu silne jest wypieranie winy.

Wyrazem zmian był też wówczas fakt, iż lokalny dziennik „Kozarski Vijesnik" opublikował w 2017 r. imiona 102 zamordowanych dzieci. Było to wówczas niezwykłe – wobec powszechnego braku rozliczeń i milczenia na temat zbrodni (warto dodać, że w 1992 r. „Kozarski Vijesnik" angażował się w serbską propagandę).

TYPOWY I WYJĄTKOWY | Tamta wojna zmieniła Prijedor. Za jej sprawą, a także wypędzeń i wyjazdów za granicę za pracą, miasto liczy dziś jedynie ok. 29 tys. mieszkańców. Spis z 2013 r. wykazał, że Serbowie stanowią 75 proc. mieszkańców, a liczba Muzułmanów zmniejszyła się do jednej trzeciej przedwojennej populacji – jest ich niecałe 5 tysięcy. Warto więc zauważyć, że mimo wszystko do miasta i w jego okolice wróciła całkiem liczna społeczność muzułmańska.

Z jednej strony Prijedor mierzy się z typowymi dla Bośni i Hercegowiny problemami: biedą, bezrobociem, kryzysem demograficznym. Z drugiej – coroczne obchody Dnia Białych Opasek sprawiają, że to miejsce wyjątkowe w całym kraju. Podobnie jak fenomenem pozostaje organizacja „Gdyż mnie to dotyczy", skupiająca ludzi różnych narodowości i starająca się przypominać o ofiarach, o których wielu Serbów wciąż woli nie pamiętać.

Już sama powtarzalność tych obchodów i zaangażowanie w nie także Serbów pozwalają mieć nadzieję. ©

Autor jest historykiem, pracuje w Instytucie Historii Uniwersytetu Śląskiego; zajmuje się Bałkanami.

Miasto Iquitos – stolica peruwiańskiej Amazonii. Peru, 15 lutego 2024 r.

Ludzie rzeki

TEKST I ZDJĘCIA **MAGDALENA BARTCZAK** Z PERUWIAŃSKIEJ AMAZONII

Ich domem jest amazoński las. Ponieważ jest on wciąż ofiarą wycinek i przemysłowych zanieczyszczeń, walczą o jego ochronę. Nasza autorka spotkała się z aktywistami i leśnymi przewodnikami z Peru.

Pierwszą rzeczą, która uderza po dotarciu do Iquitos, to ciężkie tropikalne powietrze. Wydaje się oblepiać ciało i spowalniać ruchy, wymaga stopniowej adaptacji.

Rzecz druga to dekadencka atmosfera tego dziwnego miasta, rozłożonego na wydartym puszczy kawałku ziemi. Iquitos, stolica peruwiańskiej Amazonii, pełne jest smutnej elegancji zamierzchłego świata. Nad szerokimi alejami i podniszczonymi bulwarami wznoszą się podupadłe pałace, wille i warsztaty. Większość powstała pod koniec wieku XIX, w czasach świetności, którą przyniósł wtedy wielki popyt na kauczuk, tutaj pozyskiwany.

W prawie półmilionowym mieście dominują chaos i zgiełk. Należy ono do tych miejsc, które mogą szybko zmęczyć. Mnóstwo tu głośnych motocykli, autobusów i tuk-tuków, popularnych trójkołowych pojazdów.

Wystarczy jednak opuścić jego granice – wsiąść na łódź lub jedyną dostępną drogą przejechać kawałek na zachód – aby przenieść się do innej rzeczywistości. Tuż za przedmieściami odsłoni

Marañón – jedna z głównych rzek Peru i najważniejszych dopływów Amazonki. Peru, 19 lutego 2024 r.

się amazońska selwa: dzika i nieprzewidywalna, gęsta od zapachów i dźwięków. Kraina z pogranicza jawy i snu, w której bije serce Ameryki Południowej.

DROGA PRZODKÓW | Peruwiańska Amazonia jest ponad dwa razy większa od Polski: rozciąga się na obszarze ponad 780 tys. km². Zamieszkana jest przez 51 rdzennych grup etnicznych. Jedną z nich jest Kukama-Kukamiria. Jej nazwa w wymierającym języku kukama oznacza „Ludzie Rzeki".

Dawniej było to plemię nomadów, którzy wędrowali po dorzeczu Amazonki w poszukiwaniu żywności. W pewnym momencie osiedli, zamieszkując po części w lasach dzisiejszej Kolumbii i Brazylii, a po części po stronie peruwiańskiej. Dziś ich społeczność w Peru liczy 15 tys. ludzi. Żyją przede wszystkim w osadach wokół Marañón – głównej odnogi Amazonki, której potężna rdzawa wstęga łączy andyjskie doliny z amazońskimi lasami.

W jednej z takich wiosek żyje kobieta, o której niedawno usłyszał świat: Mari Luz Canaquiri Murayari. Pod koniec kwietnia niepozorna 57-latka o uśmiechniętym spojrzeniu za zasługi na rzecz rzeki Marañón otrzymała Nagrodę Goldmanów.

To najważniejsze wyróżnienie w dziedzinie ochrony środowiska, zwane „ekologicznym Noblem". Co roku dostaje je kilkoro laureatów – tym razem trafiło też m.in. do tunezyjskiej naukowczyni Semii Gharbi i mongolskiego aktywisty Batmunkha Luvsandasha.

Podczas ceremonii w San Francisco Mari Luz Canaquiri Murayari mówiła wzruszona: „My, kobiety z ludu Kukama-Kukamiria, istniejemy i stawiamy opór w obronie przyrody oraz naszego terytorium. Rzeki są dla nas czymś świętym, łączą przyszłe i przeszłe pokolenia. Stanowią też źródło życia dla wszystkiego, co istnieje wokół".

Tłumacząc swoje motywacje, przyznała, że po prostu podąża drogą przodków, robi coś, co do niej należy. Troszczy się o miejsce, które jest dla jej społeczności całym światem.

WYCIEKI | Mari Luz Canaquiri Murayari wierzy, że jej bliscy, którzy odeszli, umarli dwa razy. Po raz pierwszy, gdy opuścili ziemski wymiar, a ich duchy, *karuara*, zamieniły się w podwodne stworzenia i zamieszkały w okolicznych rzekach. Po raz drugi, kiedy wody tych rzek zaczęły się wypełniać ropą.

Do wycieków ropy z rurociągów dochodzi w peruwiańskiej Amazonii od dawna. Za co najmniej jedną trzecią z nich odpowiada Petroperú – państwowe przedsiębiorstwo, do którego należą trzy rafinerie i system rurociągów NorPeruano, od 1970 r. ciągnący się m.in. przez puszczę amazońską.

Z danych peruwiańskiego Ośrodka Praw Człowieka (Coordinadora Nacional de Derechos Humanos) wynika, że od końca lat 90. XX w. zarejestrowano 474 potężne wycieki, które doprowadzały do zatrucia wód i gleb toksynami oraz metalami ciężkimi, m.in. ołowiem, rtęcią i arszenikiem.

HISTORIA OPORU | Wycieki oznaczały katastrofę dla ekosystemu, ale też katastrofę humanitarną: nad rzekami w peruwiańskiej Amazonii żyje ponad 660 tys. ludzi uzależnionych od ich zasobów. Większość z nich należy do rdzennych plemion, które pozostają najuboższą, najbardziej marginalizowaną częścią społeczeństwa.

Jeden z większych wycieków do rzeki Marañón miał miejsce w 2000 r. Kilka miesięcy wcześniej Canaquiri Murayari utraciła wuja, którego duch, zgodnie z wierzeniami jej ludu, zamieszkał w głębinach rzeki.

Wtedy to, w poczuciu rosnącej desperacji, postanowiła działać. W 2001 r. założyła organizację Huaynakana Kamatahuara Kana (w języku kukama: Pracujące Kobiety). Początkowo należało do niej kilka członkiń, dziś skupia mieszkanki kilkunastu wiosek.

Wspólnie prowadzą kampanie informacyjne, wywierają naciski na lokalne władze, aktywizują kobiety w działania na rzecz przyrody. A przede wszystkim: organizują sprzeciw wobec działań Petroperú i obojętności rządzących.

POZEW | W 2022 r. organizacja kobiet Kukama-Kukamiria – z pomocą prawników, wspierających ją księży i kilku organizacji pozarządowych – wniosła pozew przeciw przedsiębiorstwu naftowemu. Adresatami pozwu byli też m.in. Ministerstwo Ochrony Środowiska, Ministerstwo Energii i Górnictwa oraz władze amazońskiego regionu Loreto.

Organizacja złożyła też petycję, aby nadać rzece Marañón osobowość prawną i uznać jej znaczenie dla kultury ludu Kukama-Kukamiria, a także jej prawo do istnienia, swobodnego przepływu, życia wolnego od zanieczyszczeń i dalszego pełnienia swojej kluczowej roli w ekosystemie.

Walka nie była łatwa. „Czułam, że chcieli mnie zmusić do milczenia" – mówiła Canaquiri Murayari w jednym z wywiadów dla peruwiańskiej prasy. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Petroperú złożyły przeciw jej organizacji skargę karną, żądając, by zapłaciła grzywnę w wysokości 100 tys. soli (ok. 100 tys. zł).

WERDYKT | Choć skarga została oddalona, potężni adwersarze zdołali zasiać strach i niepewność wśród członków społeczności. Canaquiri Murayari czuła, że te metody działania były nieuczciwe – że jej organizacja nie miała przecież złych intencji, walczyła po prostu o lepsze życie dla swoich dzieci i wnuków.

Wreszcie, po niespełna dwóch latach, sąd regionalny regionu Loreto wydał werdykt. Pozytywny. Tym samym Marañón, jako pierwsza rzeka w Peru, uzyskała osobowość prawną. Zgodnie z tym historycznym rozporządzeniem każda próba naruszenia jej dobra jest odtąd traktowana tak, jakby chodziło o naruszenie praw człowieka.

W swoim orzeczeniu sąd nakazał też podjęcie działań związanych z zapobieganiem przyszłym wyciekom i wdrożenie planu ochrony ekosystemu. Oraz uznanie ludu Kukama-Kukamiria za prawowitych strażników rzeki Marañón.

CENA | Mimo korzystnego rozstrzygnięcia, laureatka Nagrody Goldmanów nie czuje ulgi. Wie, że większość zarządzeń sądu istnieje na razie tylko na papierze. Jest też krytyczna wobec obojętności instytucji i państwa – przede wszystkim wobec rządzącej od dwóch i pół roku prezydentki Diny Boluarte.

Mari Luz Canaquiri Murayari uważa, że Boluarte nie sprzyja rdzennym mieszkańcom i przymyka oko na zniszczenia w Amazonii. Odbierając Nagrodę Goldmanów, mówiła: „Władze kryminalizują naszą działalność, zamiast nas wspierać. Jesteśmy w naszej walce osamotnieni. I wielu z nas, broniąc naszego terytorium, płaci za to najwyższą cenę". ↦

Zagrożenie, o jakim mówiła, jest w Ameryce Łacińskiej czymś permanentnym: bycie obrońcą przyrody należy tu do profesji podwyższonego ryzyka. Region ten od lat jest najniebezpieczniejszym miejscem na świecie dla działaczy na rzecz środowiska i klimatu.

Według opublikowanego w maju 2025 r. raportu organizacji Front Line Defenders, w zeszłym roku przemoc wobec aktywistów klimatycznych eskalowała na całym świecie, ale jej wzrost był największy właśnie w krajach latynoskich. W Ameryce Łacińskiej miało miejsce 80 proc. wszystkich udokumentowanych zabójstw popełnionych na tym tle.

Wedle tego raportu, od stycznia do grudnia 2024 r. zamordowano w tej części świata 257 obrońców przyrody. Państwem, które już po raz siódmy otwiera niechlubną czołówkę, jest Kolumbia (157 ofiar), a na kolejnych miejscach są Meksyk, Gwatemala, Brazylia i Peru.

KRYMINALIZACJA | Raport Front Line Defenders uwzględnia też inne rodzaje przemocy, jak pobicia, porwania i pogróżki. Wskazuje też na charakterystyczne dla niektórych latynoskich państw zaangażowanie grup przestępczych w niszczenie przyrody – głównie w nielegalne górnictwo, masowe wycinki i karczowanie ziem pod nielegalne uprawy.

To właśnie w Ameryce Łacińskiej najbardziej widoczna jest także bezczynność władz, które często nie egzekwują praw chroniących aktywistów, a nawet same wspierają tych, którzy stoją po stronie niszczycieli.

Co więcej: próby kryminalizacji działań obrońców przyrody, których doświadczyła Canaquiri Murayari, stają się coraz powszechniejszym procederem. Według zeszłorocznego raportu Global Witness, w ostatnich latach zaczęło przybywać zarzutów wobec osób pracujących lub protestujących pokojowo na rzecz ochrony przyrody – również w Amazonii.

LAS LUSTER | Gdy o te zagrożenia pytam jednego z moich przewodników po amazońskich lasach, Segunda Guerrę, przyznaje on, że sytuacja nie jest dobra. Ale uważa, że i tak lepsza niż kiedyś: – Teraz mamy więcej możliwości działania, ale też reagowania. Dużo więcej mówi się o przypadkach przemocy, częściej alarmuje. Kiedyś one przechodziły bez niczyjej uwagi. Nadal są jednak problemem, z którym się mierzymy.

Przewodnicy po parku Pacaya Samiria i zarazem jego rdzenni mieszkańcy – po lewej na zdjęciu Segundo Guerra. 19 lutego 2024 r.

Segundo Guerra, podobnie jak Mari Luz Canaquiri Murayari, należy do społeczności Kukama-Kukamiria. Przyszedł na świat pośrodku lasu deszczowego leżącego na terenie Parku Narodowego Pacaya Samiria.

To największy obszar chroniony w Peru, czwarty pod względem wielkości w Ameryce Południowej. Liczy ponad 20 tys. km² (to mniej więcej tyle co Słowenia). Jego nazwa pochodzi od dwóch przecinających go rzek: Samirii, która jest dopływem Marañón, oraz rzeki Pacaya, dopływu Ukajali.

W ich falach odbija się zieleń dżungli i bezkres nieba. Jak mówi Segundo, dlatego rezerwat Pacaya Samiria zwany jest „lasem luster" (*selva de los espejos*): płynące przez park rzeki i ich dopływy sprawiają, że jest to najrozleglejszy obszar lasu łęgowego w Amazonii.

Żyje tu wiele gatunków ssaków, m.in. delfiny różowe, pumy, jaguary kapibary, leniwce i wyjce, a także co najmniej 330 gatunków ptaków, 150 gatunków gadów i płazów. To miejsce o jednej z największych bioróżnorodności na Ziemi.

PRZEWODNICY | Region Pacaya Samiria stał się terenem chronionym w 1972 r., na kilka lat przed narodzinami Segunda Guerry. Mężczyzna śmieje się, że jest niemal równolatkiem miejsca, w którym się urodził, i w którym spędził pół życia: to wioska 20 de Enero (czyli 20 stycznia), nazwana tak od daty swojego założenia.

Segundo skończył tu szkołę podstawową, a do średniej pływał codziennie, wraz innymi dziećmi ze wsi, do nieco większej pobliskiej osady. Potem wyjechał do Iquitos. Tam studiował turystykę i marketing. Od kilku lat prowadzi własną agencję turystyczną. Pracuje jako przewodnik i zatrudnia swoich sąsiadów z 20 de Enero i okolicznych wiosek. Jak twierdzi, cała turystyka w Pacaya Samiria opiera się na pracy jej rdzennych mieszkańców.

– Jestem dumny, że możemy pokazywać turystom naszą piękną krainę. I że robimy to na własnych warunkach – opowiada Segundo z satysfakcją. – Członkowie naszych społeczności brali udział w szkoleniach, uczyliśmy się, jak dobrze wykorzystywać zasoby naszych lasów i rzek bez szkodzenia im.

– Wspólnie z pracownikami parku wypracowaliśmy też zasady działania – dodaje. – Na jego teren nie mają wstępu „obce" agencje, a przewodnikami mogą być tylko osoby, które tu żyją. Korzystają na tym i przyjezdni, i mieszkańcy, którzy mają pracę. I czują się bezpiecznie.

DOM | Wstęp do parku Pacaya Samiria jest ograniczony. Nie można tu wpłynąć na własną rękę, bez pozwolenia wydanego przez strażników. Ci na bieżąco monitorują sytuację, mają dzienne i nocne patrole na łodziach. W straży parku pracują 64 osoby, a poza tym, jak mówi Segundo, pilnują go też sami mieszkańcy. Dodaje, że na terenie rezerwatu są wytyczone trasy, którymi można się poruszać.

Segundo: – Do większości parku wstęp jest zakazany. I tylko mieszkańcy mogą wchodzić w głąb lasu. Gdy przywozimy turystów, wędrują pod naszym nadzorem. Znamy to miejsce od podszewki, większość z nas spędziła tu całe życie.

Segundo żyje dziś między rodzinną wioską a Iquitos, gdzie ma biuro. Nie wyobraża sobie, by mieszkać na stałe w hałaśliwym mieście. Tęskniłby za bliskością rzeki, w której rano można się kąpać, po południu popłynąć w odwiedziny do sąsiadów, a wieczorem łowić ryby. Za spokojem lasu, który jest, jak mówi, jego jedynym prawdziwym domem.

© MAGDALENA BARTCZAK

REKLAMA

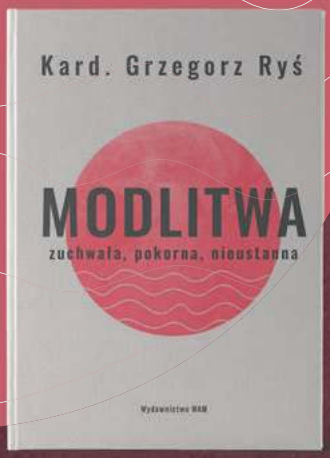

MODLITWA TO SPOSÓB BYCIA

Kardynał Grzegorz Ryś przypomina, że modlitwa ogarnia całego człowieka: postawę, miejsce, gesty i słowa. Gdy jest nieustanna i pełna zaangażowania, staje się źródłem pokoju. Jest zarazem realnym spotkaniem. To postawa serca, która prowadzi do prawdziwej więzi i przyjaźni z Bogiem.

KAPŁAN, FILOZOF, KAZNODZIEJA
Chłopak z charakterem

Jaki był Józiu, czyli słynny ks. prof. Józef Tischner, od narodzin do momentu odejścia 25 lat temu?

Kazimierz Tischner rysuje wzruszający portret najstarszego brata, Filozofa z Łopusznej – człowieka wolnego i pełnego pasji, a jednocześnie zadziwiającego dojrzałością.

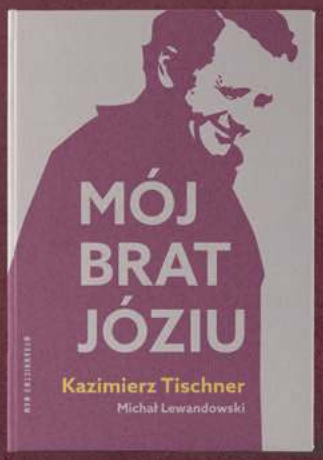

wydawnictwo WAM

wydawnictwowam.pl

REKLAMA

Koncert pod wieżą

Krynica-Zdrój
2 sierpnia 2025

SLOTWINY ARENA

info: wiezawidokowa.pl
bilety: biletserwis.pl

Ania Rusowicz
Janusz Radek
Michał Milowicz
Żuki Rock and Roll Band
Czerwone Gitary
orkiestrę
Silesian Art Collective
poprowadzi
Mateusz Walach

dyrektor artystyczny
Wiesław Prządka
prowadzący
Artur Andrus

SZALONE LATA 60.

ORGANIZATORZY
SLOTWINY ARENA
Prestige MJM

PARTNERZY
MUZEUM MOPED RETRO
artsize
WIESŁAW PRZĄDKA BANDONEON/ACCORDION
BILET SERWIS

PATRON MEDIALNY
Gazeta Krakowska
TYGODNIK POWSZECHNY

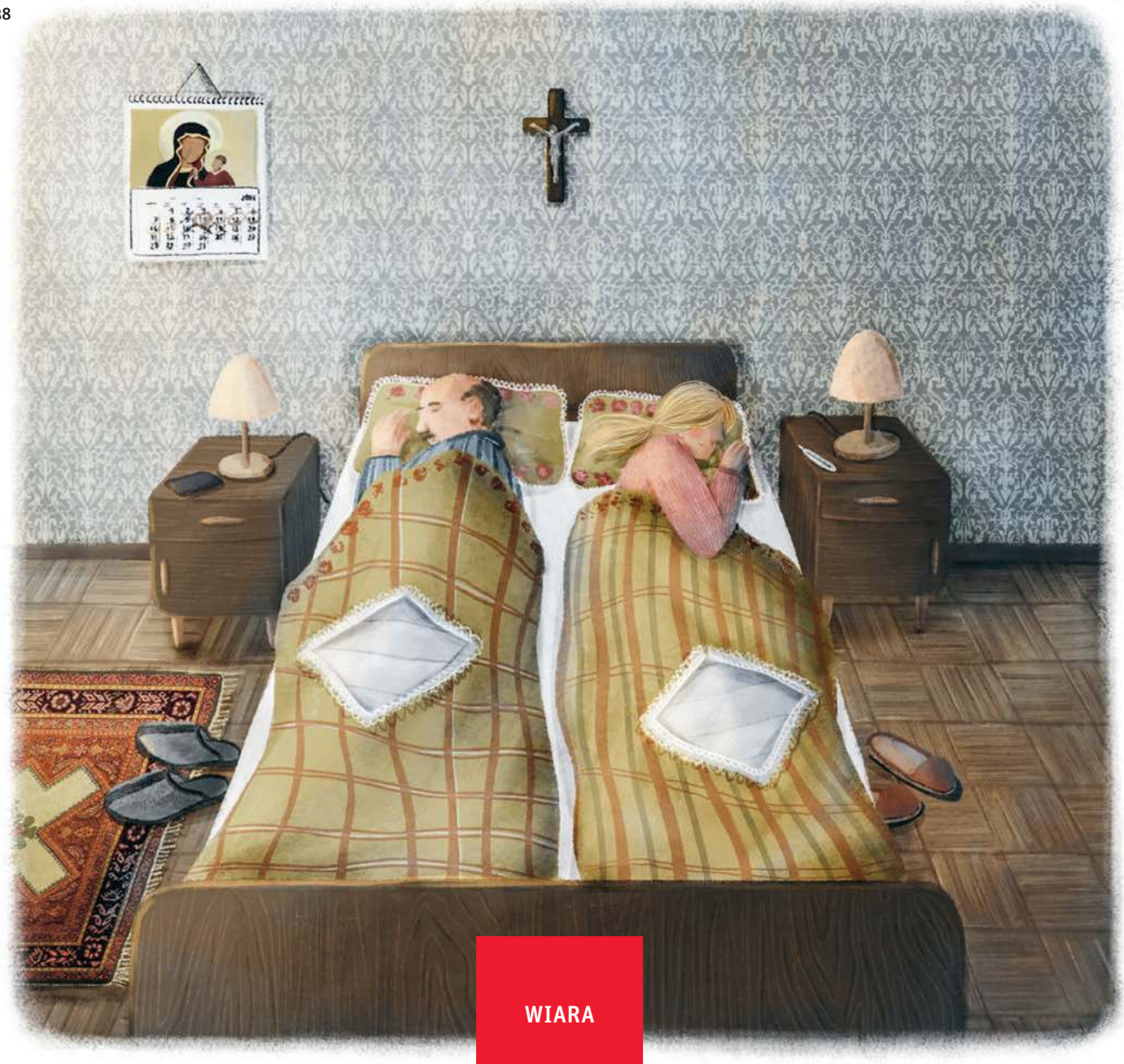

WIARA

TĘSKNOTA ZA MENOPAUZĄ

Mają poczucie, że Kościół okradł ich z najpiękniejszych lat życia. Katolickie małżeństwa szczerze o metodach naturalnej regulacji poczęć.

TEKST MONIKA BIAŁKOWSKA | ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Zastanawiam się, jak nazwać to, co czuję – mówi Magda, lat czterdzieści kilka, od ponad dwudziestu w małżeństwie. – Chyba najtrafniejsze sformułowanie to „oszukana". Czuję się oszukana, bo ćwierć wieku temu uwierzyłam Kościołowi, że naturalne planowanie rodziny (NPR) to fantastyczna sprawa i że choć wymagające, to da nam radość życia zgodnie z naturą i z Bożym planem. Czekałam z rozpoczęciem współżycia do ślubu. Przyjęłam wszystkie dzieci, które Pan Bóg nam dał. Gdyby mimo braku starań pojawiło się następne dziecko, urodziłabym. I cała ta moja wiara jest o kant d... potłuc.

Przez ponad dwadzieścia lat żyję z kalendarzem i termometrem w ręku oraz śluzem między palcami. Planując sporadyczne wyjazdy we dwoje, liczę, czy w danym terminie jest szansa, że będziemy mogli wreszcie pobyć ze sobą naprawdę blisko. W okresie płodnym, gdy chciałabym się kochać z mężem, trzymam się w łóżku na dystans, a zmuszam się do seksu w momentach, gdy nie mam na niego kompletnie ochoty, w okresie niepłodnym.

Metody NPR nie dały mi ani bliskości z mężem, ani wolności, ani radości, ani spełnienia. Nie wiem, czy możliwość stosowania jakiejkolwiek antykoncepcji by mi ją dała, ale przynajmniej miałabym wybór. Teraz ten wybór oznacza albo zamknięcie sobie drogi do komunii z powodu antykoncepcji, albo męczenie się kolejną dekadę, aż przejdę menopauzę. Myślę, że łatwiej mi było, gdy nie byłam mężatką. Nie mogłam współżyć, bo nie miałam męża. Teraz go mam – i... najczęściej dalej nie mogę.

Coś tu jest nie tak

Magda jest jedną z kilkunastu kobiet, które zgodziły się ze mną porozmawiać w ciągu zaledwie dwóch dni, kiedy zadałam dojrzałym już kobietom pytanie o to, jak na ich życie i relacje w małżeństwie wpłynęły metody NPR. Czy w nie wierzyły? Tak. Znały metodę i ufały, że jej stosowanie będzie dobre dla relacji, którą zbudują.

Życiorys Magdy jest reprezentatywny dla wielu z nich. Męża poznała w parafii. Żadne z nich nigdy nie współżyło przed ślubem. Decyzję o tym, żeby pobrać się szybko, podjęli dlatego, by móc być ze sobą bliżej. Ona obserwację cykli rozpoczęła, kiedy tylko zaczęli się spotykać, bo czuła, że ten związek rokuje na przyszłość. Kiedy przed ślubem zgłosili się na obowiązkowe spotkanie do poradni, zaliczono im od razu wszystkie zajęcia: kobieta tam pracująca była pod wrażeniem prowadzonych przez Magdę wykresów.

Nocy poślubnej nie mieli. Magda była akurat w połowie cyklu, w trakcie owulacji. W czasie ciąży lekarz zabronił im współżycia. Potem syn budził się kilkanaście razy w ciągu jednej nocy. Nie było szans na kilka godzin nieprzerwanego snu ani na mierzenie temperatury o stałej porze. Monitorowanie cyklu płodności stało się niemożliwe.

– Przez ponad rok nie współżyliśmy w ogóle – wspomina Magda. – Oddalaliśmy się od siebie coraz bardziej. Tęskniliśmy za sobą, a jednocześnie nie mogliśmy tej tęsknoty zaspokoić. Zaczęły się kłótnie i ciche dni. Wtedy pierwszy raz pomyślałam, że coś tu jest z tym NPR-em nie tak.

Okradziona z najlepszych lat

Kinga dobiega pięćdziesiątki, jej mąż jest o dziesięć lat starszy. Od samego początku była pozytywnie nastawiona do NPR. Znała swój organizm, nie bała się, miała zaufanie do metody. Zaraz po ślubie okazało się, że mąż ma problemy z erekcją: seksuolog wyjaśnił im, że dla mężczyzny zdrowszy jest równomierny, regularny rytm współżycia. Po urodzeniu pierwszego dziecka Kinga miała problemy z odczytaniem oznak płodności. Tygodniami nie dało się wyznaczyć choćby jednego dnia na współżycie.

Po ciąży i trudnym porodzie fizjoterapeuta stwierdził, że kolejna ciąża będzie oznaczała dla Kingi wózek inwalidzki. Spowiednik dał im wtedy zgodę na używanie prezerwatyw jako dodatkowego zabezpieczenia, choć oni czuli, że tak nie powinno być.

– Mijały lata – wspomina Kinga. – Z czasem seksu coraz mniej, bo choroby dzieci, bo praca zmianowa. Kiedy miesiączka długo się nie pojawiała, wpadaliśmy w panikę. Przestrzeganie zasad prowadziło do braku współżycia, a to znów prowadziło do frustracji, nerwowości, rozbijało naszą więź. W praktyce życie zgodnie z nauką Kościoła przynosiło złe owoce. Przeraziło mnie, gdy pozazdrościłam szwagierce, że przeszła operację usunięcia macicy, że wreszcie ma już święty spokój. Kiedy weszłam w okres premenopauzy, dojrzeliśmy do sięgnięcia na stałe po prezerwatywy. Oboje nie umiemy uznać tego za grzech. Czy naprawdę ktoś oczekuje od ludzi w średnim wieku, że będą otwarci na życie, na płodność? To nie ten etap. Na tym etapie otwartość polega na tym, że jeśli zdarzy się wpadka, to nie robi się aborcji. Niedawno uświadomiłam sobie, że przez lata byłam niewolnicą termometru. Teraz nie muszę życia planować pod fazę niepłodną. Wolność. Tak, rezygnacja z NPR to wolność. Na szczęście mam już blisko do menopauzy.

Kiedy patrzę na nasze małżeństwo z pewnej perspektywy, widzę, że powodem kryzysów w naszym związku był tylko i wyłącznie brak seksu, spowodowany w głównej mierze przez NPR. Czuję się okradziona z wielu okazji bliskości, okradziona z najlepszych lat. Teraz, gdy nie muszę się przejmować, dopada nas wiek. Szczególnie męża. Jestem przekonana, że to nie jest plan Boga dla katolickich małżeństw.

Małżeńska czystość

Nie wszyscy uznają priorytet sumienia, gdy wchodzi ono w konflikt z nauczaniem Kościoła. Większość toczy trwającą latami walkę z samymi sobą.

Anna z seksem czekała do ślubu i mimo nieregularnych cykli stosowała NPR. Oboje z mężem chcieli mieć dzieci. Najpierw urodziła się córka. Potem syn. Z trzeciej ciąży również się z mężem cieszyli, dostała od niego kwiaty. Poroniła w Wielki Piątek, czując, że idzie z Jezusem na Golgotę. Do dziś płacze, kiedy o tym mówi. Pół roku później test ciążowy ponownie pokazał dwie kreski. Niemal jednocześnie dowiedziała się o podejrzeniu nowotworu. Ostateczna diagnoza wydawała się lepszą wiadomością: to była ciąża pozamaciczna.

– Najważniejsze, że na USG nie zobaczyłam bijącego serca. Mam wrażenie, że to by mnie zabiło. Wierzę, że ciąża nie była już wtedy żywa.

Po tych doświadczeniach Anna nie miała odwagi starać się o dziecko kolejny raz.

– Czas mijał, robiło się coraz gorzej. Mimo modlitw i pragnienia powiększenia rodziny, nie byłam w stanie zaryzykować przechodzenia znowu przez podobną sytuację. To było igranie z poważnymi konsekwencjami dla mnie i bliskich. Byłam w stanie obyć się bez ↦

współżycia, byle tylko być na czysto z nauką Kościoła. Mąż, który szybciej niż ja doszedł do wniosku, że tak się żyć nie da, również cierpiał – nie chciał przekraczać moich granic i łamać mojego sumienia, jednak czuł, że nie potrafi tego udźwignąć. Okresy abstynencji ciągnęły się niemiłosiernie, a myśmy oddalali się od siebie. Nie było awantur, zdrad czy chęci odejścia, ale stawaliśmy się sobie coraz bardziej obcy. Nie wiem, dokąd by nas ta małżeńska „czystość" zaprowadziła. Na szczęście krok po kroku zaczęłam dojrzewać do życia zgodnie ze swoim sumieniem. Nie akceptuję środków nawet potencjalnie wczesnoporonnych. Reszta jest sprawą między mną, mężem a Panem Bogiem.

Otwartość na życie

Kasia nie ma jeszcze czterdziestki i do menopauzy daleko – ale jest pewna, że gdyby stosowała NPR, jak na początku, jej małżeństwo by nie przetrwało.

– Najlepszym czasem w naszym małżeństwie były ciąże – wspomina Kasia. – Bez konieczności ciągłej obserwacji i ciągłego stresu, że się pomylimy. Po czwartym dziecku nadal nie widzieliśmy innej możliwości niż NPR, a gdy jego stosowanie stało się niemożliwe, przestaliśmy współżyć w ogóle. Takie rozwiązanie było wygodniejsze i w pewnym momencie zorientowałam się, że nawet mi na tym nie zależy, jeśli ma to się wiązać znowu ze stresem i frustracją. W międzyczasie poszliśmy jednak na terapię i zorientowaliśmy się, że tak się nie da funkcjonować. Zaczęliśmy stosować prezerwatywy. Dzięki temu w naszym małżeństwie znalazło się miejsce na spontaniczność, wspólny odpoczynek i bezproblemową przyjemność. Na początku miałam dużo wątpliwości i wyrzutów sumienia. Na szczęście na spowiedzi trafiłam na mądrego księdza, który powiedział, że obowiązkiem małżeństwa jest współżycie, a nie unikanie go.

Smucą mnie oskarżenia, że nie jestem otwarta na życie, bo stosuję antykoncepcję. Mam czwórkę dzieci i pewność, że jeśli pojawi się kolejne, to je urodzę. Choć nie mamy już zasobów, ledwo ogarniamy potrzeby naszych dzieci, które już na świecie są. Chciałabym, żeby kiedyś Kościół dostrzegł, że otwartość na życie to również odpowiednie dbanie o potrzeby dzieci już urodzonych.

Przeraziło mnie, gdy **pozazdrościłam szwagierce, że przeszła operację usunięcia macicy** i wreszcie ma święty spokój.

Ostatnie nasze współżycie

Nie wszyscy, jak Kasia, na czas trafiają na terapeutę i mądrego spowiednika. Czasem na ratowanie relacji jest za późno.

Karolina w czasie narzeczeństwa poszła z przyszłym mężem na kurs naturalnego planowania rodziny. Potem oboje skończyli szkolenia dla nauczycieli tej metody. Prowadzili wykłady, współprowadzili rekolekcje. Problem zaczął się po porodzie. Karolina mówi, że jej ciało przestało pasować do teorii rozpoznawania płodności. Mogła wtedy opierać się wyłącznie na obserwacji śluzu, który cały czas wykazywał cechy płodności.

– Byliśmy pod tym kątem wszechstronnie przeszkoleni, mieliśmy wsparcie w doświadczonych instruktorach, sami pomagaliśmy w interpretacji innym. Ale praktyka nas przerosła. Nie mogliśmy oprzeć się na śluzie, została temperatura. Problem w tym, że aby ten wskaźnik był wiarygodny, trzeba przespać noc, a temperaturę mierzyć codziennie o tej samej porze, przed wstaniem z łóżka. Moje dzieci miały wyjątkową zdolność do budzenia się w takich momentach, żeby uniemożliwić mi skuteczny pomiar. Nauczyłam się korzystać jeszcze z innego objawu – z położenia szyjki macicy. To nie jest obiektywny i wiarygodny wskaźnik, ale nie widziałam innego sposobu. Nasze współżycie było jednak bardzo rzadkie. Mąż bał się kolejnego poczęcia. Po trzech latach od ostatniego porodu, w listopadzie 2012 r., zaszłam w ciążę po raz trzeci. To było nasze ostatnie współżycie.

Mąż kompletnie przestał ufać naturalnym metodom. Zaczął odmawiać współżycia. W ogóle. Rozmawialiśmy, pytałam, słuchałam, byłam otwarta. Zaproponowałam współżycie z użyciem prezerwatywy: nasza więź była dla mnie ważniejsza niż zakazy. Początkowo pomysł zaakceptował, potem stwierdził, że jednak nie będzie łamał mojego sumienia, że nie chce, żebym później spowiadała się obcemu facetowi z tego, co robimy w łóżku. Na nic moje obietnice, że jestem gotowa to przemilczać, skoro dla niego to takie trudne. Próbowałam różnych sposobów: rozmów, zachęcania, uwodzenia. Skutek był taki, że parę razy doszło między nami do pieszczot bez penetracji, zawsze z mojej inicjatywy. Nie miałam po tym wyrzutów sumienia, ale poczucie, że zmuszam mojego męża do aktywności seksualnej, że upokarzam się, bo on mnie nie chce, odrzuca.

Czy NPR przyczyniło się do rozkładu naszego życia seksualnego? Myślę, że w jakiejś mierze tak, choć nie zwalam na tę metodę całej winy. Oboje włożyliśmy mnóstwo wysiłku w poznanie katolickiej etyki seksualnej i dostosowanie się do niej. Napotkaliśmy po drodze trudności, których tęgie głowy nie umiały pomóc nam pokonać. Mówi się, że w dobrej relacji da się znaleźć rozwiązanie każdego problemu, że NPR jest papierkiem lakmusowym relacji małżeńskiej, że uwypukli trudności. No to u nas uwypuklił.

Perspektywa męża

Dla Jana i Ali – po dwóch poronieniach, dwóch bardzo trudnych, ale szczęśliwie zakończonych ciążach, a także depresji z przeciwwskazaniem do posiadania kolejnych dzieci – NPR stał się metodą unikania kolejnego poczęcia.

– Nie planowaliśmy życia wedle cyklu, ale jak były okresy niepłodne, to pojawiało się napięcie – wspomina Jan. – Wiem, że kobiety pod koniec cyklu, kiedy mogą bezpiecznie współżyć, mają

gorsze samopoczucie i obniżone libido, ale zgadzają się na seks, bo wiedzą, że mąż czekał, że go kochają. Z mojego punktu widzenia to upokarzające. Nie chcę, żeby moja żona do czegoś się zmuszała. Nie chcę jej wykorzystywać, jakbym był małpą, która nie może się powstrzymać. Nie chcę, żeby kobieta służyła mi do rozładowania napięcia. To ma być ta teologia ciała?

Karol dwadzieścia lat temu, na początku studiów, wybrał się na kurs NPR i był zaangażowanym zwolennikiem tych metod. Potem ożenił się. Wszystko układało się wspaniale.

– Byliśmy młodzi, bezdzietni, zazwyczaj wypoczęci. Brałem aktywny udział w stosowaniu NPR, prowadząc notatki czy wspierając żonę w pomiarach – wspomina Karol.

Po urodzeniu pierwszego dziecka na seks w małżeństwie było mniej czasu i sił, jednak oboje wiedzieli, że chcą mieć więcej dzieci, i to raczej wcześniej, niż później, więc nie musieli się ograniczać. Po drugim dziecku przestało być różowo.

– Z ważnych przyczyn nie mogliśmy sobie pozwolić na więcej dzieci. Rozważaliśmy to co najmniej kilka razy – mówi Karol. – Może niektórzy mają możliwości, może lepsze zdrowie, lepszą psychikę? My nie. Chcieliśmy żyć w zgodzie z Kościołem, więc nasza seksualność, a za nią również bliskość, zanikła. Niektórzy mówią, że to „tak samo jak w narzeczeństwie", gdy trzeba wstrzymać się ze współżyciem. Jednak w narzeczeństwie nie kładliśmy się codziennie wieczorem obok siebie skąpo ubrani do łóżka. Napięcie i niemożność jego realizacji prowadzi z czasem do zobojętnienia. Frustracja doprowadziła mnie do zakwestionowania nauki Kościoła i zwątpienia. Nie winię swojej żony za to, że chce trzymać się nauki Kościoła, gdy ja w pewnym momencie odpuściłem. Mam pretensje do Kościoła. Mnie takie odbijanie się od nauki moralnej doprowadziło do stanów depresyjnych. Mam poczucie głębokiej krzywdy. Czuję się jak niewolnik, którego aktywność seksualna jest silnie kontrolowana posłuszeństwem wobec instytucji. Nie wymagam, żeby Kościół zmienił dla mnie swoje nauczanie. Chciałbym, żeby wskazał jego sens.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

Duchowi odyseusze

FRÉDÉRIC LENOIR:

Duchowości nie można redukować do wymiaru religijnego. Materialista też może dotknąć sacrum.

SZYMON ŁUCYK: Opowie Pan o pierwszym zetknięciu z sacrum? Miał Pan wtedy osiem lat.

FRÉDÉRIC LENOIR: Mieszkałem z rodzicami na wsi. W weekendy spacerowaliśmy po pobliskim lesie. Tego dnia był śnieg, przez oszronione drzewa przebijały się promienie słońca, i nagle obok mnie wzbił się w powietrze złocisty bażant. Rozpłakałem się z zachwytu. To było coś w rodzaju mistycznego doświadczenia. Pomyślałem, że harmonia świata nie może być dziełem przypadku. I że za stworzeniem świata stoi jakaś wyższa inteligencja, niczym stoicki Logos, który kieruje wszystkim.

Pojęcie sacrum kojarzy się z religią, świątyniami, kultem. Pan opisuje zachwyt, którego doświadczyć mogą wszyscy, wierzący lub nie.

Niemiecki badacz religii Rudolf Otto określił *sacrum* nie jako wierzenie, ale osobiste doświadczenie. Intymne i wstrząsające odczucie, którego każdy człowiek może doznać wobec piękna oraz tajemnic życia i świata. I ja rozumiem je w podobny sposób.

Tak pojmowane *sacrum* jest początkiem wszystkiego – źródłem duchowości i religii. Religie pojawiły się później od poczucia *sacrum*, żeby ustalić normy, razem przeżywać wiarę, tworzyć rytuały. Religie mają charakter wspólnotowy, w odróżnieniu od duchowości, która jest czymś indywidualnym.

Wychował się Pan w rodzinie chrześcijańskiej, ale potem poszedł raczej nietypową ścieżką duchową.

Chrześcijaństwo było przez długi czas jedyną religią, która mnie w ogóle nie interesowała. Wydawało mi się dogmatyczne i jednocześnie infantylne. Już jako nastolatek przeczytałem filozofów greckich, w tym „Ucztę" Platona, Marka Aureliusza, stoików... Potem pociągnął mnie Orient: w młodości pojechałem do Indii, spotkałem się z Dalajlamą, mieszkałem pół roku w aśramie.

Ewangelię otworzyłem po raz pierwszy dopiero w wieku 19 lat. I przeżyłem duchowy wstrząs. Poraziła mnie postać Chrystusa. Nawróciłem się wtedy nie tyle na chrześcijaństwo i jego dogmaty, co na Ewangelię. W Indiach pracowałem w ośrodkach dla trędowatych Matki Teresy z Kalkuty. Chciałem dać swoje życie innym. Po powrocie do Francji wstąpiłem do katolickiego klasztoru w Burgundii, jednocześnie studiując filozofię.

Spędził Pan w zakonie trzy lata. Jak Pan wspomina ten czas?

Czułem, że przez modlitwy i medytację rozwijam relację z Chrystusem. Ale coraz bardziej przeszkadzało mi „klasyczne" podejście Kościoła: „Tylko my znamy prawdę, wszyscy inni błądzą", „Joga i medytacja to zło". Raziła mnie nietolerancja i pycha, daleka od przesłania Ewangelii.

Z dzisiejszej perspektywy myślę, że nie miałem powołania do życia monastycznego. Lubię ruch, spotkania z nowymi ludźmi, potrzebowałem życia uczuciowego. Po odejściu z klasztoru oddaliłem się od Kościoła i stałem się kimś w rodzaju chrześcijanina bez ziemi, czyli bez zakorzenienia w religijnej wspólnocie. Tak jest do dzisiaj.

Przez całe dorosłe życie zajmowałem się duchowością w różnych regionach świata: zrobiłem doktorat o buddyzmie, pasjonowałem się też Chinami i taoizmem.

W książce „Sacrum" twierdzi Pan, że człowiek od zawsze jest „homo spiritualis" – istotą duchową.

↦

↦ Książka jest owocem 35 lat zgłębiania tych kwestii. Starałem się opisać odyseję duchową ludzkości od czasów najdawniejszych. Freud twierdził, że wszystkie religie są złudnymi wierzeniami – rodzajem pluszaka, który ma pocieszyć człowieka przerażonego śmiercią i chaosem. Myślę, że się mylił, bo duchowość czy religia to przede wszystkim przeżycie, a nie akt wiary. Przyznaję rację Jungowi: ludzie o silnej duchowości przede wszystkim doświadczają czegoś wewnętrznie.

Kiedy czytałem Ewangelię, nie myślałem sobie: „o, to całkiem interesujące: Jezus, Syn Boży, wcielenie drugiej osoby Trójcy Świętej", tylko płakałem. Byłem wstrząśnięty bezwarunkową miłością.

Tylko człowiek ma potrzebę nadania sensu swojemu życiu i stawiania sobie pytań: po co żyję, skąd przychodzę i gdzie zmierzam. Żadne inne zwierzę nie buduje świątyń. Inne gatunki uznają tylko to, co użyteczne. Natomiast *Homo sapiens* rozwinął funkcję symboliczną, w związku z czym zastanawia się nad tym, co niewidzialne, i próbuje się z tym światem skomunikować. Potwierdzają to współczesne badania mózgu.

Cytowany przez Pana filozof André Comte-Sponville pisze o „duchowości bez Boga". Na czym ona polega?

Materialista, czyli ktoś niewierzący w nieśmiertelność duszy, może też doznawać *sacrum*: poczucia jedności swojego ja ze wszechświatem. Dlatego duchowość nie powinna być redukowana do wymiaru religijnego. Buddyzm i taoizm są przykładami duchowości bez wiary w osobowego Boga.

Jeśli dziś pojedzie pan do Kalifornii i zapyta mieszkańców: „Jaka jest wasza religia?", większość z nich odpowie: „Nie jestem człowiekiem religijnym, tylko duchowym". Co znaczy: „Nie wiem, czy wierzę w Boga, ale wierzę w coś, co mnie przekracza, staram się być lepszym człowiekiem, praktykuję medytację etc.".

Taka świecka, a nawet ateistyczna duchowość, która odłączyła się od religii, zaczyna dominować w Europie.

Duchowość staje się jednak towarem na sprzedaż. Choćby w postaci kursów rozwoju osobistego.

Jako pierwszy przed komercjalizacją sfery duchowej ostrzegał w latach 70. buddyjski lama Chögyam Trungpa Rinpocze. Zarzucał Europejczykom: „chodzicie do kościołów, interesujecie się kabałą, ćwiczycie jogę, ale w efekcie możecie wszystko ze sobą pomieszać. Chodzi wam o karmienie swojego ego, a nie wewnętrzną przemianę". Ta krytyka jest trafna. Ale na pewno nie dotyczy wszystkich. We współczesnej ofercie duchowej jest wszystko – strona jasna i ciemna. Tak jak w katolicyzmie i innych tradycyjnych religiach.

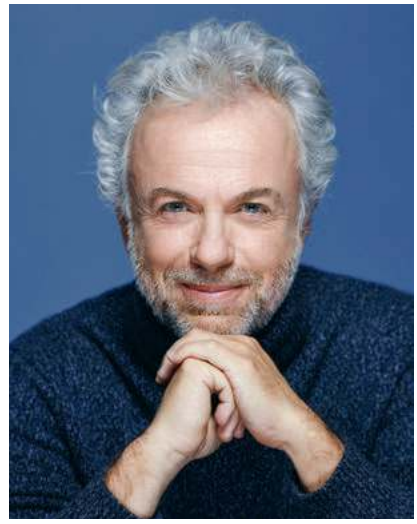

PASCAL ITO / MATERIAŁY PRASOWE

FRÉDÉRIC LENOIR – francuski filozof, socjolog i pisarz, zajmujący się badaniem duchowości i religii świata. Autor około pięćdziesięciu książek, przetłumaczonych na blisko dwadzieścia języków, współtwórca cyklu filmów dokumentalnych „Ścieżki sacrum" (telewizja Arte). Niedawno ukazała się po polsku jego najnowsza książka „Sacrum. Historia ludzkiej duchowości" (Znak Horyzont).

Czy tradycyjne religie w Europie znikną pod naporem tych nowych form duchowości? Socjolodzy od dziesiątków lat mówią o sekularyzacji i indywidualizacji religii.

Nie należy tu mieszać pojęć. Sekularyzacja oznacza, że religia staje się sprawą prywatną: nie stanowi prawa ani nie organizuje życia społecznego. Dzisiaj tylko 5 proc. Francuzów przestrzega Wielkiego Postu, a na początku XX wieku robili to prawie wszyscy. W tym sensie w Europie Zachodniej sekularyzacja jest faktem.

Ale z tego nie wynika, że obserwujemy ogólny kres religijności. Przybiera ona inne niż dotąd formy. A poza naszym kontynentem tradycyjne religie rosną w siłę, gdyż często są czynnikiem tożsamościowego buntu przeciw innym cywilizacjom.

Ostatnio słychać głosy o renesansie katolicyzmu nad Sekwaną. W tym roku do chrztu przystąpiło 10 tys. dorosłych Francuzów, czyli 45 proc. więcej niż w roku ubiegłym.

W skali kraju to jednak minimalna zmiana. Od wielu dekad liczba chrzczonych dzieci we Francji spada, podobnie zresztą jak wskaźnik katolickich ślubów czy pogrzebów. I ta tendencja spadkowa jest nadal widoczna.

Natomiast nowym zjawiskiem, faktycznie interesującym, są dorośli, którzy nawracają się na katolicyzm. Ale powtórzę: socjologicznie rzecz biorąc 10 tys. ochrzczonych dorosłych to bardzo mało, jeśli zestawi się to z ogólnym trendem niechrzczenia dzieci. Nie można więc mówić o odwróceniu niekorzystnej dla Kościoła katolickiego tendencji.

A może chrześcijaństwo charyzmatyczne w wydaniu zielonoświątkowym lepiej pasuje do nowoczesności niż katolicyzm?

Prawdą jest, że więcej mieszkańców Francji nawraca się dziś na ewangelikalizm niż na katolicyzm. Myślę, że sukces tych wspólnot opiera się na trzech rzeczach. Po pierwsze, stawiają one na osobiste przeżycie, poczucie obecności Boga. Druga sprawa to ferwor emocjonalny. W czasie zielonoświątkowych nabożeństw tłum tańczy i śpiewa. Ciało i ruch mają ogromne znaczenie, inaczej niż w katolicyzmie. I wreszcie po trzecie: działa sieć solidarności, wzajemnej pomocy, nikt nie czuje się samotny. To wszystko przyciąga nowych wyznawców.

Autorytet Kościoła osłabiają też kolejne afery. We Francji upadają katolickie ikony, jak Jean Vanier czy abbé Pierre, oskarżeni o przestępstwa seksualne.

Znałem abbé Pierre'a dwadzieścia lat, napisałem z nim nawet książkę. Oskarżenia wobec niego były dla mnie wstrząsem. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, że mógł dopuszczać się skandalicznych zachowań seksualnych.

TELMO PINTO / GETTY IMAGES

Medytacja Drogi Krzyżowej podczas obchodów Wielkiego Piątku w bazylice Sacré Coeur. Paryż, 18 kwietnia 2025 r.

Zawsze istniał rozziew między samym przesłaniem Chrystusa a osobami, które je głoszą. Wielu ludzi opuściło Kościół z racji skandali pedofilskich, potępienia przez tę instytucję aborcji, związków homoseksualnych etc. Ale wielu innych zostaje we wspólnocie kościelnej, nawet jeśli nie zgadzają się z zachowaniem czy językiem księży. Dla nich Kościół jest przede wszystkim miejscem spotkania wiernych, gdzie chodzi się po to, by przyjąć komunię i posłuchać Ewangelii.

Myślę, że tym, co może uratować Kościół, jest Ewangelia i Chrystus. To jest potężne przesłanie, którego potrzebuje większość wiernych. Tak długo, jak Kościół będzie udzielał sakramentu Eucharystii i czytał na mszy słowa Ewangelii, tak długo będzie istniał.

Dla mnie samego jedyną więzią z Kościołem pozostaje sakrament Eucharystii. I tylko z tego powodu – by dzielić z innymi spotkanie z Chrystusem – zdarza mi się uczestniczyć w nabożeństwach. Nieistotne, czy dzieje się to w świątyni katolickiej, protestanckiej, czy prawosławnej.

Wiele osób zostaje we wspólnocie kościelnej, choć nie zgadzają się z zachowaniem czy językiem księży. **Dla nich Kościół to miejsce, gdzie przyjmuje się komunię i słucha Ewangelii.**

Katolicy mają nowego papieża. Co by Pan doradził Leonowi XIV?

Po pierwsze, umiejscowienie w samym centrum przesłania Ewangelii. Papież nie powinien osądzać ani potępiać. O tym mówił papież Franciszek, przypominając, że św. Piotr nie miał konta w banku i że Kościół powinien przyjąć do wspólnoty tych, którzy byli dotąd od niego daleko, jak osoby rozwiedzione, homoseksualiści etc.

Po drugie – nowy papież powinien być głosem pokoju, pojednania, tolerancji, sprzeciwu wobec przemocy. Myślę, że z pierwszych wypowiedzi Leona XIV można wnosić, że chce iść tą właśnie drogą.

Część katolików w Europie oczekuje jednak od Watykanu reform zgodnych z duchem czasu, np. zniesienia celibatu księży czy wyświęcania kobiet. To realne?

Nie sądzę, że zdarzy się to za tego pontyfikatu. Myślę, że sprzeciwia się takiej przemianie zdecydowana większość kardynałów i biskupów, a z ich zdaniem papież musi się liczyć. Zresztą Leon XIV jest w tych kwestiach raczej tradycjonalistą.

Ale myślę, że Kościół wcześniej czy później pójdzie tą drogą. Nie żyjemy już w społeczeństwie patriarchalnym. Zmiany są nieuniknione. Choć spodziewam się ich raczej za pół wieku niż w najbliższej dekadzie.

© Rozmawiał SZYMON ŁUCYK

Cały świat w zasięgu ręki

TEKST I ZDJĘCIA JACEK TARAN

Ludzie są rozczarowani tym, co się dzieje. Trump nas przeraża, ale Bóg jest silniejszy niż Putin i całe zło świata.

W dolinie rzeki Seret, między wzgórzami południowo-zachodniej Ukrainy, leży Czortków. Małe miasteczko, z tych, których nazw nie ma na pierwszych stronach gazet, ale w którym wciąż widać ślady historii i dawnej świetności. Górują nad nim ruiny zamku – świadka Rzeczypospolitej, imperium austro-węgierskiego, sowieckiego reżimu i dzisiejszej niepodległej Ukrainy. U jego stóp – biały dom sióstr dominikanek. W ogrodzie, pośród wazonów z łusek po pociskach artyleryjskich, figura Matki Boskiej i powiewająca ukraińska flaga.

Szkoła w piwnicy

W piwnicy domu siostry prowadzą sobotnio-niedzielną szkołę języka polskiego. W lekcjach uczestniczy ponad sześćdziesięcioro dzieci w kilku grupach wiekowych. Dla niektórych to jedyny kontakt z mową przodków, dla innych – nauka zupełnie nowego, obcego języka. Codzienność wygląda tu niemal jak w każdej szkole: jest tablica, ławki, szafka z podręcznikami, na półkach polskie książki do historii i języka. Jedynie to, że lekcje odbywają się w piwnicy, różni je od miejsc, w jakich szkoły pracują w spokoju i bezpieczeństwie.

Lekcję, na której jesteśmy, prowadzi Nastia – studentka zarządzania z Tarnopola. Siostra Marcelina, która zwykle uczy dzieci, musiała wyjechać na kilka dni. Nastia mówi do uczniów cicho i spokojnie, ale kiedy z ogromną cierpliwością poprawia, po raz kolejny, złą wymowę polskich słów, w jej głosie słychać pasję.

– Zaczęło się od piosenek. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc – wspomina. – Później były półkolonie z wolontariuszami z Polski. Moja babcia była Polką, pochodziła z Nysy. Gdy zaczęła się pełnoskalowa wojna, spędziłam kilka miesięcy właśnie tam, u kuzynki babci. Chodziłam do liceum, poznałam wielu wspaniałych ludzi. Tam był mój drugi dom.

Dzieci chóralnie powtarzają nazwy polskich miesięcy: styczeń, luty, marzec... Opowiadają o swoich urodzinach, o ulubionych porach roku. Na pozór to zwykła lekcja – dla wielu dzieci jest pierwszym krokiem w stronę świata, który może wydaje się daleki, ale dzięki językowi jest na wyciągnięcie ręki.

Brama na Zachód

Po lekcjach po dzieci przychodzą mamy. Jedna z nich, Julia Kohut, mówi krótko: – To dobrze, że uczą się języka. Każdy język obcy może się w życiu przydać, a Polska jest blisko, i kulturowo, i geograficznie. Nigdy nie wiadomo, co tutaj się jeszcze może zdarzyć, czasy coraz bardziej niepewne.

Przyszedł też Wasyl Kowalski, dziadek jednej z uczennic. Z entuzjazmem opowiada o czasie spędzonym w Polsce. Pracował u znanego w Krakowie kurdyjskiego restauratora Ziyada Raoofa. – Dobry człowiek, szanował ludzi. Wiele się wtedy nauczyłem o świecie – mówi z uśmiechem. – Polska i Kraków to same dobre wspomnienia.

Alicja Makarczuk przyjechała do Czortkowa z córką, gdy na ich rodzinne miasto, Charków, zaczęły spadać bomby. Dziś nie ma dokąd wracać. – Ważne, żeby dziecko miało kontakt z rówieśnikami. Tu ma szkołę, normalność. Język polski to dla niej szansa. Polska to brama na Zachód – mówi spokojnie, bez patosu.

Między klasztorem a frontem

Przy prowadzeniu lekcji pomaga Wiera Gołębiewka. Siostry dominikanki mówią, że to jednoosobowa instytucja – wspiera pracę w szkole, koordynuje transporty pomocowe na front, organizuje zbiórki, a na co dzień pracuje jako księgowa w zespole tanecznym. Logistyka pomocy humanitarnej stała się jej drugą, choć niepłatną, pracą.

– Znam wojenne brygady z numerów – mówi i wymienia z pamięci – Trzydzie-

U góry od lewej:
Lekcja języka polskiego prowadzona przez studentkę Nastię.
Figura Matki Boskiej w ogrodzie sióstr dominikanek ozdobiona wazonami z łusek pocisków artyleryjskich.
Siostry Tarsycja, Eugenia i Marcelina przed swoim domem w Czortkowie.
Zejście do piwnicy, w której mieści się schron oraz sobotnia szkoła języka polskiego. Czortków, Ukraina, 23 lutego 2025 r..

sta piąta, pięćdziesiąta dziewiąta, piętnasta, osiemnasta, piechota morska i nasza samoobrona terytorialna z Czortkowa. Ale żołnierzy też już rozpoznaję po twarzy, gdy rozmawiam z nimi na Telegramie. Wysyłamy im wszystko: jedzenie, leki, agregaty, wózki inwalidzkie, a nawet całe samochody dostawcze. Trafiają do Doniecka, Charkowa, Kramatorska, Chersonia.

Pomoc z Czortkowa jedzie na front dzięki wsparciu wolontariuszy z Polski i Ukrainy. – Czasem to kilka dni jazdy. Ale trzeba – mówi Wiera – nie możemy się odwrócić plecami.

Wielkie serca

Zgromadzenie Sióstr św. Dominika obecne jest na Ukrainie od połowy XIX wieku. W czasach komunistycznego terroru, po powojennej zmianie granic, prowadzone przez zakonnice domy, liczne w zachodniej Ukrainie, zostały zamknięte. W 1946 r. siostry podzieliły los tysięcy polskich obywateli: zostały deportowane na tereny dzisiejszej Polski lub w głąb imperium radzieckiego. Dominikanki zaczęły wracać do pracy duszpasterskiej na zachodniej Ukrainie dopiero w czasach pieriestrojki. Początkowo przyjeżdżały w wakacje, organizując półkolonie dla dzieci z polskich rodzin. Współpracowały z ks. Marcjanem Trofimiakiem, obecnie biskupem diecezji łuckiej. Ich praca obejmowała przygotowanie dziesiątek dzieci i dorosłych do sakramentów, wcześniej niedostępnych z powodu sytuacji politycznej. Od sierpnia 1995 r. na stałe mieszkają w Czortkowie. Po przyjeździe podjęły regularną katechezę w parafii ojców dominikanów, a także w sąsiednich miejscowościach ukraińskiego Podola.

– Gdy zaczęła się wojna, nie wiedziałyśmy, czy tu zostaniemy – mówi siostra Eugenia. – Ale siostra Marcelina powiedziała: „ja się stąd nie ruszam”. I wtedy zaczęli dzwonić ludzie z Polski. Przyjeżdżały paczki, ktoś wysłał agregat, ktoś inny leki. Wszystko zaczęło się samo organizować.

Dziś w domu posługują trzy siostry: Marcelina, Eugenia i Tarsycja. Każda z nich łączy życie duchowe z bardzo konkretną pomocą. Współpracują z Caritasem z Sandomierza, Fundacją Odra-Niemen i Fundacją Sióstr Dominikanek z Broniszewic. Dla dzieci organizowane są kolonie, półkolonie, zajęcia językowe. Dla dorosłych – wsparcie materialne.

– Nikt nie odchodzi stąd z pustymi rękami – mówi siostra Eugenia. – Starsi ludzie przychodzą po jedzenie, po leki. Nie możemy odmówić. Nie mamy wiele, ale mamy serce.

Życie z wojną

W mediach o Czortkowie mówi się rzadko. A jednak wojna jest tu obecna. Czasem w postaci alarmowych syren, czasem w wiadomościach z frontu. Na fejsbukowej stronie sióstr pojawiają się zdjęcia samochodu dla 38. brygady piechoty morskiej albo informacje o świątecznej loterii – osiem tysięcy hrywien zebranych na ogrzewacze dla wojska. Kilka dni później nadchodzi dramatyczna wiadomość – oddział został rozbity, wielu żołnierzy trafiło do szpitali. Inni nie żyją.

– Tak wygląda wojna – mówi Wiera. – Wszystko zmienia się w sekundę. Ogrzewacze trafią do innego oddziału.

Czortków od frontu dzieli kilkaset kilometrów, ale całkiem blisko znajduje się poligon, jeszcze z czasów sowieckich, i stare lotnisko, na którym dziś ćwiczą ukraińscy żołnierze. Rakiety lecące nad miastem zwykle wycelowane są właśnie tam. Kiedy rozlega się wycie syren, siostra Marcelina zakłada habit z wojskowym kamuflażem i zapala gromnicę przed figurą Matki Boskiej. W domowej kaplicy pali się światło, które nie zgasło od pierwszego dnia wojny. – To nasz znak – mówi siostra Eugenia – że jesteśmy, że się nie boimy, że się modlimy.

Wiera dodaje: – Co będzie dalej? Tylko Bóg wie. Ale my się nie poddajemy.

– Ludzie są bardzo rozczarowani tym, co się dzieje – mówi siostra Eugenia. – Zwłaszcza w USA. Trump nas przeraża. Ale Bóg jest silniejszy niż Trump, Putin i całe zło świata. Dobro zwycięży. ©℗

ZUZANNA

Radzik: *Dzieci w cyfrowej dżungli*

Tegoroczny Dzień Dziecka pochłonęła pełna napięcia cisza wyborcza. Dzień chodzenia na lody z dziadkami, festynów, puszczania baniek i wrzucania swoich dziecięcych zdjęć na media społecznościowe przysłoniło wybieranie prezydenta i przyszłości – również dla dzieci. Można więc to napięcie, które towarzyszyło dniu 1 czerwca, wykorzystać do refleksji o wpływie polityki na życie naszych potomków. Ostatnie dni podpowiadają tematy wcale nie błahe, w których politykom chyba jednak nie dostaje mocy przewidywania, sprytu, woli i troski.

Pierwszy pojawił się już w czasie wieczoru wyborczego za sprawą komentarzy do spontanicznych reakcji siedmioletniej córki prezydenta-elekta. Oto przed polskim społeczeństwem i klasą polityczną stanęło nowe zadanie: traktować z troską dwoje nieletnich dzieci nowej, budzącej emocje prezydenckiej pary. Trochę to inne zadanie niż gdy prezydencko urzędował nam Lech Wałęsa mający ośmioro dzieci albo gdy do Pałacu Namiestnikowskiego wprowadzili się Kwaśniewscy z czternastoletnią Aleksandrą.

Nie znaczy to, że ich dzieci nie budziły zainteresowania mediów, ale to były jednak czasy obowiązujących w nich, mniej lub bardziej, zasad, a nie współczesność, w której każdy ma w kieszeni narzędzie do publicznego komentowania cudzego życia. Co więcej – w której wizerunki łatwo podlegają nadużyciom, a nawet erotyzacji z pomocą narzędzi sztucznej inteligencji. Z lękiem myślę, czy starczy wszystkim mądrości, delikatności i dojrzałości, by temu zadaniu sprostać.

Zwłaszcza że mimo opisywanych w mediach sytuacji rówieśniczej przemocy, prowadzącej niekiedy do najdramatyczniejszych skutków, czyli samobójstw dzieci, dorośli zdają się nie doceniać siły narzędzi, jakimi są telefon i media społecznościowe. Wraz z kończącym się sezonem komunijnym pewnie w niejedne dziewięcioletnie ręce trafił smartfon, a w domu zaczęła się era walki o czas i uwagę dziecka. Co dostają wraz z telefonem, świetnie podsumowuje kampania „Nie zostawiaj dziecka samego w internecie", widoczna ostatnio na warszawskich autobusach i tramwajach, zaczepiająca nas pytaniem „Zostawiłbyś dziecko samo w obcym mieście?".

Kampanię współtworzy miasto Warszawa oraz kilka organizacji pozarządowych. A co dzieci mogą w tym obcym mieście spotkać, opisał ostatni raport „Internet dzieci", przygotowany przez współtworzący kampanię Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Monitoring aktywności dzieci i młodzieży w internecie pokazuje, niestety, że spotykają tam przemoc, hejt, mowę nienawiści oraz treści pornograficzne.

Ponad połowa dzieci w wieku 7-12 lat jest aktywna w przynajmniej jednym serwisie społecznościowym (najczęściej TikTok) lub komunikatorze, który teoretycznie powinien być dostępny od 13. roku życia. „W imię własnych interesów lub dobrego samopoczucia dorosłych unikamy zmierzenia się z jednym z największych wyzwań współczesności: adaptacją do życia w świecie nowych technologii. W tym procesie konieczne jest podejmowanie działań chroniących przed krzywdzeniem grupy, która sama nie jest w stanie się obronić" – pisze we wstępie raportu prezeska fundacji Magdalena Bigaj. I dodaje: „Od teraz nikt nie ma już podstaw, by twierdzić, że »dzieci w mediach społecznościowych nie ma«".

Musiała się nieźle zdziwić, gdy podczas wspólnego posiedzenia Sejmowych Komisji ds. Dzieci i Młodzieży oraz Komisji Cyfryzacji, na którym dyskutowano o wynikach raportu, przedstawicielki koncernów upierały się przy zdaniu, że dzieci w serwisach nie ma. Przedstawicielka Mety (właściciel Facebooka, Instagrama, Messengera, WhatsAppa) zaprzeczyła obecności dzieci w serwisach, zasłaniając się regulaminem. Z kolei przedstawicielka Google'a (właściciel YouTube'a) przekonywała, że platforma wideo gromadząca subskrybentów nie jest medium społecznościowym.

Na poziomie krajowym i europejskim regulowanie gigantów technologicznych i egzekwowanie od nich ochrony najmłodszych jest ważne i potwornie trudne, zwłaszcza w obliczu wewnętrznego zepsucia tych firm politycznymi wpływami i bezkarności, jaką się cieszą. A także wobec braku uporu polityków, pozostających pod lobbystycznym wpływem tych gigantów albo urokiem politycznej mocy ich platform, które niejedne wybory pomogły ostatnio wygrać.

Zbyt wiele wiemy o wpływie tych serwisów, manipulacjach wyborczych, sprzedaży danych (nawet nastoletnich dziewcząt) reklamodawcom oraz o naszej, dorosłych, bezbronności. Gdy pomyślimy o wszystkich grzechach popełnionych przez właścicieli terenów internetowego uniwersum, w którym żyjemy, jeżą się nam włosy na głowie. Więc pomyślmy teraz, że żyją w nim, wbrew wszelkim regulaminom, także nasze dzieci. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca:
Odrębność i jedność

Przez całe wieki, choć coraz mniej energicznie, przekonywaliśmy, że jedynie my, katolicy, znamy całą prawdę o Bogu i mamy „wszystkie środki zbawienia". Pozostali chrześcijanie, jeśli nimi są, to tylko po części. Ci inni tak samo postrzegali katolików. W rezultacie jeszcze dziś dochodzi, delikatnie mówiąc, do komicznych sytuacji. Katolicy zarzucają np. swoim księżom, że się protestantyzują, a ewangelicy pastorom, że się katolicyzują. Wbrew doświadczeniu broniliśmy się i bronimy przed przyznaniem racji tym, którzy twierdzą, że najbardziej nieszczęśliwymi są ci, którzy uważają siebie za szczęśliwych tak bardzo, że już niczego i nikogo do szczęścia nie potrzebują. Ci z czasem stają się egoistami i zaczynają krzywdzić innych, zwłaszcza tych, których chcą uszczęśliwić. Wystarczy poczytać rzetelne życiorysy błogosławionych i świętych, choćby „Dzienniczek" siostry Faustyny Kowalskiej, by się o tym przekonać.

W ewangelii według św. Jana Jezus, ostrzegając przed taką postawą, mówi, że dopiero Duch, gdy przyjdzie, „doprowadzi nas do całej prawdy", a to znaczy, że wszystko najważniejsze jest przed nami, ale już teraz się tworzy. Wierzymy, że ten Duch już przyszedł wraz z Jezusem i nieustannie jest. Jest wszędzie tam, gdzie dzieje się dobro. Jeśli tak, to nie wiem, ale chyba nie ma większego sensu nieustannie wzywać Ducha Bożego do stawienia się pośród nas. On jest, a to znaczy, że to my do Niego, a nie On do nas, powinniśmy przyjść.

Stało się też coś takiego, że z wielkim zapałem wołamy o przyjście Ducha Świętego, ale chcemy Go widzieć jedynie w jakichś nadzwyczajnych wydarzeniach i przeżyciach, kiedy tymczasem On jest „naszym powszednim chlebem", a nie nadzwyczajnym frykasem. Stąd papież Leon ostatnio przypomniał o świętości sumienia, a Franciszek namawiał teologów, żeby zaczęli na poważnie traktować rozum i liczyć się z realiami dzisiejszego świata. Nic to nowego, bo np. Ignacy z Loyoli radził profesorom, żeby zamiast trzymać się kurczowo „starych ojców" zajęli się Tomaszem z Akwinu, gdyż on lepiej objaśnia ówczesny świat. Natomiast dzisiaj, słysząc scholastyczną formułkę, „iż wyznając prawdziwe i wiekuiste Bóstwo, wielbimy odrębność Osób, Jedność w istocie i równość w majestacie", zaczynamy pytać: ale o co chodzi? ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Ostatni „rozkaz"

Uderzyło mnie ostatnio, że takim właśnie tytułem („Ostatni rozkaz") zostały oznaczone w Biblii Tysiąclecia końcowe fragmenty dwóch ewangelii – Mateusza (Mt 28, 16-20): „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody..." oraz Marka (Mk 16, 15-18): „Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię wszelkiemu stworzeniu...". Ewangelia Łukasza też ma swoje zakończenie. Co więcej, wsparte równoległym – niemal bliźniaczym – zapisem otwierającym Dzieje Apostolskie (też przecież Łukaszowym). W ewangelii czytamy (Łk 24, 44-49): „Potem rzekł do nich (...) Tak jest napisane: Mesjasz będzie cierpiał i trzeciego dnia zmartwychwstanie, w imię Jego głoszone będzie nawrócenie i odpuszczenie grzechów wszystkim narodom, począwszy od Jerozolimy. Wy jesteście świadkami tego". W Dziejach zaś (Dz 1, 4-8) Jezus mówi do uczniów: „gdy Duch Święty zstąpi na was, otrzymacie Jego moc i będziecie moimi świadkami w Jerozolimie i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi". Tak więc jest nakaz misyjny – i to, podobnie jak w przypadku zapisu Mateusza i Marka, ukierunkowany powszechnie: ku „wszystkim narodom" oraz „aż po krańce ziemi". Jednak w wersji Łukasza ma on swoją specyfikę – nie jest poleceniem nauczania. Jezus nakazuje apostołom świadectwo. A świadectwo to nie „kazanie" – to „u-kazanie". Świadek co do zasady nie głosi prawdy inaczej, jak tylko pokazując ją sobą! Prawdę zaświadczoną nie tyle słychać, co widać! Jak dalece tytułowanie „Ostatni rozkaz" zapisów Mateusza i Marka zawęża rozumienie zleconej nam misji? Głoszenie bez świadectwa – czym jest? Apostolstwem czy szerzeniem ideologii? Ile warte jest słowo (nawet Słowo!), przetrącone przez przeciwne mu czyny? Czym, jeśli nie świadectwem (!), można obudzić zainteresowanie nauczaniem?

Tu jednak chodzi o coś milion razy poważniejszego! Gdyż świadectwa, które zleca nam Jezus w ewangelii Łukasza, dotyczą Jego samego! Mamy dać świadectwo Temu, który cierpiał – więcej: musiał cierpieć (taki był Jego wolny wybór), umarł i zmartwychwstał. On jest „Syntezą" całego Pisma! Jego treścią i punktem dojścia. On zbiera w sobie wszystkie zawarte w Biblii Boże obietnice.

Nigdy, nikogo i nigdzie do tego nie przekonamy, jeśli nasze życie i nasze życiowe wybory są/będą odwrotnością Jego stylu życia i postępowania. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

HISTORIA

WSZYSCY JESTEŚMY HERBOWI

JOANNA ORZEŁ, HISTORYCZKA:

Dzieje szlachty to historia zamknięta, ale lubimy szukać w niej uniwersalnych prawd i takich elementów, w których można się przejrzeć. Stąd popularność filmów Jerzego Hoffmana czy ostatnio serialu „1670".

MACIEJ MÜLLER: Rzuciła mi się ostatnio w oczy zachęta do obejrzenia filmiku pewnego archeologa pod tytułem „Czego możemy się nauczyć od upadłych cywilizacji?". Dotyczył Egiptu i Mezopotamii, niemniej przyszło mi do głowy pytanie, czy możemy tak powiedzieć o kulturze szlacheckiej w Rzeczypospolitej?

DR JOANNA ORZEŁ: Chyba nie... Z jednej strony mówimy wprawdzie o zamkniętej rzeczywistości historycznej, z drugiej – szlachta jednak na różne sposoby w nas żyje. Więc ta „cywilizacja" do końca nie upadła.

Jesteśmy społeczeństwem postszlacheckim?

Mamy w sobie cechy charakterystyczne dla szlachty Rzeczypospolitej Obojga Narodów, pozytywne i negatywne. Cechuje nas – tak jak szlachciców – silne poczucie wolności, niezależności, sceptycyzm wobec władzy centralnej. Choć ten ostatni wiązałabym także z doświadczeniami drugiej połowy XX w., które wzmocniły w nas tendencję do nieufania władzy. Kolejna cecha to gościnność, tak podkreślana przez osoby z zagranicy podróżujące po Rzeczypospolitej w epoce nowożytnej. Hasło „gość w dom, Bóg w dom" jest bardzo szlacheckie.

Czy hasło „Polak-katolik" również możemy wiązać z okresem staropolskim?

Choć Rzeczpospolita była krajem wielowyznaniowym, to od drugiej połowy XVII w. dostrzegalna jest dyskryminacja osób innych wyznań. Bycie niekatolikiem wiązało się z faktycznym wykluczeniem z życia politycznego, a katolicyzm był wyznaniem uprzywilejowanym. Z czasem więc – także w świadomości społecznej, ówczesnej i współczesnej – utrwaliło się powiązanie szlachectwa z katolicyzmem.

Wracając do cech „szlacheckich", mamy w sobie także specyficzne poczucie honoru, który widać czy to w dzieciństwie na podwórku, czy to na meczach piłkarskich, ale i w życiu codziennym. Dalej: wystawność, życie na pokaz, teatralizacja ślubów i pogrzebów. I budownictwo. Myślę tu o wciąż modnych domkach jednorodzinnych projektowanych na wzór dworków szlacheckich z portykiem, tympanonem i kolumnami. Na szczęście nie wróciła do nas moda na żupany i kontusze.

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Aleksander Orłowski „Uczta u Radziwiłła", 1. połowa XIX w.

Skoro o honorze mowa: w wydanej niedawno książce „My, Sarmaci" pisze Pani, że wychowanie szlacheckie sięgało po tradycje rycerskie. Szlachcic powinien dobrze władać bronią, jeździć konno, mieć pojęcie o sztuce wojennej. Z drugiej strony szlachta była nastawiona mocno pacyfistycznie i niechętnie wybierała się na wojnę.

Szlachta wywodziła się z rycerstwa i lubiła podkreślać, że to, kim jest, zawdzięcza przodkom. Nie można jej odmówić waleczności w przypadku wojen obronnych, choć gdy należało stawić się na pospolite ruszenie, silniejsza okazywała się niechęć do opuszczenia swojego majątku, który przecież też był zagrożony: grabieżami czy zniszczeniem. Poza tym trzeba było przypilnować prac polowych. To wszystko wiązało się też z przyjętym przez szlachtę wzorcem życia ziemiańskiego.

Musimy również zwrócić uwagę na to, że rozległość Rzeczypospolitej sprawiała, iż np. szlachta z terenów zachodnich nie odczuwała natychmiastowej solidarności z mieszkańcami np. południowego wschodu, mierzącymi się z Turkami, Tatarami czy Kozakami. Dlatego też szlachta wybierała się na wojny jak przysłowiowa sójka za morze. Nad tym zjawiskiem ↦

↦ ubolewał chociażby król Jan Kazimierz w czasie powstania Chmielnickiego.

W Rzeczypospolitej liczebność szlachty była dużo większa niż w innych krajach europejskich.

Najczęściej mówi się o 8 proc. społeczeństwa, choć rozmieszczenie szlachty w poszczególnych częściach kraju nie było równomierne. W niektórych regionach, jak w Wielkopolsce, było jej 3-4 proc., w innych, jak na Mazowszu, znacznie więcej, mówi się nawet o 20 procentach. Ale tam była to szlachta uboga – zaściankowa, zagrodowa. Dla porównania, odsetek całej szlachty we Francji wynosił tylko 1-1,5 proc.

Czy to z tej prostej zależności wynikało, że tamtejsi królowie byli w stanie rządzić silną ręką, a u nas nie?

Tutaj nakładają się różne uwarunkowania ustrojowe i kulturowe. Zarówno polska, jak i francuska szlachta wywodziła się ze średniowiecznych właścicieli ziemskich, którzy otrzymali majątki najczęściej dzięki zasługom na polu bitwy.

W epoce nowożytnej nastąpiły zmiany ustrojowe: we Francji system władzy rozwinął się w stronę monarchii absolutnej. Królowie ograniczali niezależność panów feudalnych i centralizowali władzę. Pojawił się podział na szlachtę tradycyjną, tzw. od miecza (albo szpady), o rycerskim rodowodzie, oraz szlachtę nową, zwaną szlachtą togi (albo sukni). Składała się ona głównie z mieszczaństwa, które się nobilitowało, kupując od króla funkcje urzędnicze, sądowe. Tak tworzyła się grupa bogatej, ale pierwotnie nieherbowej szlachty. Zresztą herb nie był we Francji automatycznie przypisany do nobilitacji.

Sama szlachta mówiła o sobie: my, Sarmaci, panowie bracia. Nie było jednak problemem, jeśli ktoś określał siebie jako Rusina, Litwina czy Polaka. Podkreślało to pochodzenie z danej prowincji Rzeczypospolitej. **Te tożsamości się ze sobą nie kłóciły.**

Nie do pomyślenia w Rzeczypospolitej.

Tak, u nas szlachcic mógł się gnieździć choćby w zagrodzie, ale herb musiał mieć. W XVIII w. szlachta francuska wciąż więc miała przywileje, ale utraciła realną władzę polityczną i wojskową – ta znalazła się w rękach monarchy i jego administracji.

W Rzeczypospolitej rozwój ustroju zapewnił szlachcie realną władzę w państwie. Potwierdzały to takie instytucje jak sejmiki, Sejm, a w końcu, po śmierci ostatniego męskiego Jagiellona Zygmunta Augusta – wolna elekcja, czyli zasada wyboru króla przez szlachtę. Przez dwa stulecia, aż do czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, nie było mowy o żadnych reformach ustrojowych. Dla szlachty zmiana systemu równała się wprowadzeniu rządów absolutnych, czyli też odebraniu szlacheckich wolności, przywilejów. Doprowadziło to w 1795 r. do tragicznego dla Rzeczypospolitej finału.

Czy był jakiś moment historyczny, w którym ten proces dało się odwrócić?

Bardzo trudno oddać władzę, którą już się ma, w imię wyższych celów, np. dla dobra państwa. Wśród szlachty i magnaterii w wiekach XVII i XVIII zdarzały się oczywiście postawy dojrzałe, dziś powiedzielibyśmy: obywatelskie. Jednak prawda o tym, że ustrój Rzeczypospolitej prowadzi ją do zguby, dotarła do większości „herbowych" dopiero po pierwszym rozbiorze w 1772 roku.

Dowodem na gotowość oddania wtedy części władzy królowi była Konstytucja 3 maja z 1791 r., która znosiła wolną elekcję oraz *liberum veto*, umożliwiające zerwanie Sejmu jednym głosem. Czyli likwidowała najbardziej szkodliwe dla państwa przywileje szlacheckie.

Tylko że było na to o wiele za późno.

TYGODNIK POWSZECHNY

ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTERY

I CZYTAJ NAJLEPSZE TEKSTY TYGODNIKA, KIEDY CHCESZ!

W „Niezbędniku Tygodnika" znajdziesz codzienny przegląd informacji, zapowiedzi nowych numerów, wieści ze świata kultury i ciekawą lekturę na weekend.

Bez algorytmów. Od redakcji, której możesz zaufać.

dowiedz się więcej!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zwłaszcza że część magnaterii broniła nawet wówczas istniejącego od dawna ustroju i własnej pozycji, nawet jeżeli oznaczało to przymierze z wrogami państwa.

Nie uprawiam historii alternatywnej i nie jestem w stanie powiedzieć, czy sprawy mogły się potoczyć inaczej. Na pewno nie da się łatwo zawrócić historii: mówimy o długotrwałych, złożonych procesach. Do upadku Rzeczypospolitej doprowadził zresztą nie tylko wadliwy ustrój, ale także zmiany zachodzące w innych państwach oraz układ sił na Starym Kontynencie. Na to już zupełnie nie mieliśmy wpływu.

Powiedziała Pani o czuciu się obywatelami, ale czy szlachcice czuli się też narodem: Polakami, Litwinami? Jak o sobie myśleli?

Przede wszystkim powinniśmy w odniesieniu do naszego nowożytnego państwa stosować określenie Rzeczpospolita Obojga Narodów. Nie jest do końca poprawne, gdy mówimy o kulturze polskiej, rozbiorach Polski, a podręczniki tytułuje się „Historia Polski". Nie zawłaszczajmy historii tego wielkiego i zróżnicowanego organizmu.

Mówimy o narodzie szlacheckim, ale nie ma to nic wspólnego z narodem w sensie współczesnym, ukształtowanym w wieku XIX. Naród szlachecki to część społeczeństwa, która ma realną władzę, wspólne interesy i kulturę. A jak sama szlachta o sobie mówiła? My, Sarmaci, my, szlachta, panowie bracia. Nie było jednak problemem, jeśli ktoś określał siebie jako Rusina, Litwina czy Polaka. Podkreślało to pochodzenie z danej prowincji Rzeczypospolitej. Te tożsamości się ze sobą nie kłóciły.

Mieszczanie i chłopi nie byli narodem?

W takim sensie, jak wspomniałam, absolutnie nie. Dowodów na to dostarczała szlachcie Biblia. XVI-wieczni kronikarze, jak Maciej Stryjkowski, wywodzili chłopów od Chama, jednego z synów Noego – o złej sławie, bo winnego zniesławienia ojca. Szlachcice według części kronikarzy pochodzili natomiast od Jafeta, według innych – od Sema. Tak czy inaczej, byli „lepsi", a w związku z tym predysponowani do rządzenia potomkami Chama.

BARTOSZ KAŁUŻNY NACHTIGAL / MATERIAŁY PRASOWE

DR JOANNA ORZEŁ jest historyczką i polonistką, specjalizuje się w historii kultury szlacheckiej Rzeczypospolitej oraz europejskiej historii kulturowej XVIII wieku, wykłada na Uniwersytecie Łódzkim. Ostatnio wydała książkę „My, Sarmaci" (wydawnictwo Port, 2025).

W książce pisze Pani, że nie tylko nasza szlachta szukała sobie antycznych przodków. Przypominają mi się komiksy o przygodach Asteriksa, w którym pada określenie „nasi przodkowie Gallowie". A przecież Francuzi pochodzą raczej od Franków.

W Europie Zachodniej takie tendencje pojawiły się już w średniowieczu. Polska należała do „młodszej Europy", dlatego nasze rycerstwo z pewnym opóźnieniem zabrało się za ulepszanie genealogii.

W Europie Zachodniej najatrakcyjniejszym punktem odniesienia była wojna trojańska. Wergiliusz opowiadał, jak z upadającego miasta uszedł Eneasz, legendarny założyciel Rzymu. W Anglii powstał z kolei mit o Brutusie, innym uchodźcy spod Troi, który dostał się na Wyspy Brytyjskie po przygodach godnych Odyseusza, walcząc z olbrzymami i opierając się śpiewowi syren. U celu podróży założył miasto Troia Nova, które stało się potem Londynem. Po śmierci Brutusa jego trzej synowie objęli władzę w Anglii, Walii i Szkocji.

Również kronikarze francuscy wskazywali na trojańskie pochodzenie swojego ludu, bo na ich tereny miała dotrzeć rodzina pokonanego króla Priama. Inni sięgali po opowieści o Gallach, z którymi wojował Juliusz Cezar. Ta dyskusja między kronikarzami, poetami i pisarzami toczyła się jeszcze w epoce nowożytnej, choć nie była już tak żywa jak w średniowieczu.

Po jakie tradycje sięgnęła polska szlachta?

W najstarszych kronikach istnieje legenda o Lechu, który założył Gniezno. To jednak nie wystarczało. Jeszcze w wieku XV, zatem w późnym średniowieczu, naszych starożytnych przodków szukał Jan Długosz. Odwołał się do starożytnego geografa Klaudiusza Ptolemeusza, który na sporządzonych przez siebie mapach opisał północno-wschodnie ziemie Europy jako „Sarmację Europejską".

Długoszowi nie pasował jednak pewien szczegół: u Ptolemeusza Sarmacja kończyła się na Wiśle, co stawiałoby Gniezno poza jej granicami. Długosz przesunął więc tę linię na Łabę, czyniąc z jej biegu granicę między Sarmacją a Germanią. Późniejsi kronikarze, jak Bernard Wapowski, Marcin Bielski czy Marcin Kromer spopularyzowali tę wersję przeszłości, a z czasem Sarmacja stała się synonimem Rzeczypospolitej. Każdy, kto tu mieszkał, mógł się określać Sarmatą. Z czasem ograniczyło się to do szlachty.

Według szlachty starożytni Sarmaci mieli charakterystyczny zwyczaj: mogli wypowiadać posłuszeństwo swoim władcom.

To była próba usankcjonowania prawa do rokoszu. Należy jednak podkreślić, że dla szlachty obalenie króla było wyjściem ekstremalnym, nikt nie myślał o tym po prostu jak o jednej z dostępnych opcji. W istocie więc nigdy do tego nie doszło. Obydwa rokosze z XVII w., Zebrzydowskiego i Lubomirskiego, nie doprowadziły do abdykacji monarchy. Do próby zamachu konfederatów barskich na Stanisława Augusta, zresztą nieudanej, doszło już w innych warunkach politycznych.

Szlachtę cechował respekt dla instytucji monarchy i osoby władcy. Ich relacje ↦

ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Kadr z serialu „1670", 2024 r.

↦ mogły być bardzo napięte, król bywał wyśmiewany w pamfletach, najczęściej anonimowych. Ale w bezpośrednich relacjach nie było mowy o braku szacunku wobec niego.

A jak to było ze szlacheckim warcholstwem? Czy to też mit? Pamiętam z lektury akt sejmikowych, że przebieg tych zgromadzeń bywał raczej nudny niż gwałtowny.

Funkcjonują dzisiaj dwa konkurujące wyobrażenia o szlachcie: z jednej strony wspomniany honor, gościnność, męstwo i szarże husarii, z drugiej: prywata, zaściankowość, warcholstwo i ksenofobia. Za upowszechnienie tego drugiego odpowiada publicystyka działaczy oświecenia, krytykujących szlachtę za doprowadzenie do upadku państwa. Stworzono obraz szlachciców myślących wyłącznie o własnym interesie, wiecznie pijanych, pojedynkujących się i kłócących na sejmikach.

Oczywiście takie sytuacje się zdarzały, bywało burzliwie, rozgrywki słowne mogły skończyć się wyciągnięciem szabel. Ale większość sejmików odbywała się zgodnie porządkiem obrad i nie działo się na nich nic skandalicznego.

Czy historycy są w stanie badać kulturę seksualną szlachty?

Seksualne zachowania szlachty możemy badać bardzo szeroko: podejście do seksu, scenerie aktów miłosnych, romanse... Jeśli chodzi o te ostatnie, to musimy pamiętać, że szlachcic nie był niezależną jednostką, tylko przedstawicielem swojej rodziny. O jej honorze świadczył całym swoim postępowaniem. Dlatego jeśli dochodziło do romansów, to takich, na które ówczesne społeczeństwo było skłonne przymknąć oko. Słowem: kochanek szukano wśród mieszczek, chłopek, ponieważ gdyby w ciążę zaszła szlachcianka, a nie doszłoby do ślubu, stanowiłoby to hańbę dla całego rodu.

Z pamiętników i dzieł literackich z epoki wiemy, że romanse z chłopkami miewali zarówno szlachcice, jak i magnaci. Zachowały się opisy biesiad przeradzających się w orgie. Znamy też przypadki osobistości cierpiących na choroby weneryczne, jak Jan „Sobiepan" Zamoyski, lub będących o to podejrzewanymi, jak Jan III Sobieski.

Dochodziło do małżeństw między osobami z różnych stanów?

Te światy nie były tak oddzielone, jak to sobie często wyobrażamy. Nie było tak, że szlachta mieszkała jedynie w folwarkach, a mieszczanie w miastach. Bogaci szlachcice i magnaci mieli w miastach ziemię, kamienice, pałace, ponieważ prowadzili tam interesy, życie towarzyskie, wreszcie: chcieli być blisko dworu królewskiego. Do małżeństw międzystanowych dochodziło, najczęściej jednak, gdy zubożałe szlachcianki wychodziły za mieszczan. Ich dzieci już nie były „herbowe", ponieważ szlachectwo dziedziczyło się po ojcu.

Słowo „folwark" wraca dziś w dyskursie dotyczącym pracy. To taki element kultury szlacheckiej, w którym najwyraźniej znajdujemy istotny punkt odniesienia.

Jak już powiedzieliśmy, dzieje szlachty to historia zamknięta, ale lubimy szukać w niej uniwersalnych prawd i takich elementów, w których można się przejrzeć. Stąd popularność filmów Jerzego Hoffmana czy ostatnio serialu „1670".

W odniesieniu do relacji pracodawców z pracownikami wolę mówić o feudalizmie... Ale rozumiem, że ktoś, patrząc na folwarczne realia, może – jako tłamszony pracownik – utożsamiać się z wyzyskiwanym chłopem. A ktoś inny dostrzeże w jakimś biznesmenie cechy XVII-wiecznego magnata, który po kilku miesiącach przebywania za granicą wraca w innym stroju, sypie kasą na wszystkie strony i udaje, że zapomniał, jak się mówi po polsku.

Na takie sprawy zwracano uwagę już w epoce nowożytnej. Ludzie z tamtego okresu są od nas czasowo dość odlegli, ale wyraźnie widać, że jesteśmy do nich podobni. ©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

STANISŁAW

Mancewicz:

Fetysz

Marzenia się spełniają. Oto młodzież włączyła się w życie polityczne naszego kraju. Po wielu latach proszenia, nawoływania, apelowania do sumień i poczucia obywatelskości, do patriotyzmu, odpowiedzialności i obowiązku – młodzież uległa, zagłosowała i wybrała. Okazało się, że młodość będąca przecież od zawsze fetyszem, marzeniem, snem, czystym pięknem, szlachetnością i porywem serca, postanowiła się także wyszumieć i szum ten zrobił osobliwe wrażenie. Wybór młodzieży jest rewolucyjny, ale jednak – powiada się tu i ówdzie – nie o taką rewolucję chodziło.

Proszenie młodzieży o cokolwiek jest obarczone ryzykiem, że mianowicie zrozumie ona nie to i nie tak, i zrobi coś, cokolwiek i na opak. Albo nieświadomie, albo na złość. To normalne. A więc młodzież, o to akurat nieproszona, dała – tak się prawie wszędzie mówi i pisze – „czerwoną kartkę". Władzy i tzw. elitom. Dawanie „czerwonej kartki", to określenie jest dziś w czasach całkowitej kibolizacji polityki i życia społecznego nadzwyczajnie celne. Jednak pytanie, kto mianowicie kryje się pod terminem „elity", czeka na odpowiedź. Wedle naszego rozeznania elity w naszym kraju – a mamy tu na myśli rzeczywistą elitarność – to grupa w kilkudziesięciomilionowej ciżbie najwyżej kilkuset osób bez wpływu na cokolwiek. Słowem, zwalanie winy i pokazywanie tym nieszczęśnikom jakichś kartek nie ma żadnego sensu.

Oto nie chcemy się dziś zajmować analizowaniem wyboru K. Nawrockiego na prezydenta RP ani zastanawianiem się, kto się do tego osobliwego jednak wyboru najbardziej przyczynił. Rzec jednak trzeba, że była to już kolejna bardzo nieudana kampania wyborcza Platformy Obywatelskiej, co nas niepomiernie i nieustannie dziwi. Dlaczego nie można było znaleźć – choćby wygooglować – jakiegoś niedrogiego fachowca od kampanii? Kto by się energicznie zajął zachęcaniem ludzi do głosowania na uczciwego i miłego w obejściu kandydata, mówiącego do rzeczy obcymi językami? To jest jednak bardzo dziwne, że w sztabie wyborczym R. Trzaskowskiego nie skorzystano z wyszukiwarki internetowej. Ktoś powie, że to nie takie proste, będziemy się jednak upierać – to proste.

Sztab K. Nawrockiego bez większych ceregieli zrobił z wykształcenia R. Trzaskowskiego feler, zaletę konkurenta przekuł we wstydliwą wadę. Z racji tego, że R. Trzaskowski mówi po francusku, przezywali go „Bonżurem". Ha! Ha! Bardzo śmieszne. Ręce same składają się do oklasków, a młodzieży się to bardzo spodobało. Bonżur! Ekstra! Boki zrywać. Wyśmiewanie w Polsce wykształcenia i umiejętności zawsze było modne, ale dziś staje się normą. Wniosek – może i zbyt daleko idący - brzmi: ludzie, na wszelki wypadek nie uczcie się ani czytać, ani pisać, ani rachować, bo was wyśmieją, gdy się kiedyś będziecie starać o prezydenturę.

Po tych żalach wypada zapytać, co dalej. Ciekawi nas, jak daleko posunie się w najbliższych latach „trampizacja" Polski, czy Platforma Obywatelska będzie nas dalej tak pociesznie – jak to robiła w kampanii – nacjonalizować, repolonizować i uprawicowiać, jak długo będziemy czekać na zakończenie współpracy K. Nawrockiego z J. Kaczyńskim, no i kiedy złożymy rezygnację z członkostwa w Unii Europejskiej, o czym – zdaje się – młodzież polska marzy. To ją bowiem oderwie wreszcie od różnych przymusów, w tym od konieczności nauki w ogóle, w tym języków obcych, uwolni od szoków wywoływanych podróżowaniem, zwłaszcza na Zachód, młodzież odzyska prawo do palenia węglem, nie będzie musiała sortować śmieci i będzie mogła pić z butelek, do których nie są przyczepione nakrętki. Będzie się mogła do woli boksować, gdzie i kiedy zechce. I o to, zdaje się, chodzi, bo o cóż więcej? ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

MAGAZYN CONRAD

W którym zaprezentujemy tegoroczną ideę przewodnią oraz przedstawimy pierwszych gości.
Zapraszamy do lektury, a w październiku do Krakowa na Festiwal!

CONRAD FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

CZEKAJĄ NAS TURBULENCJE

PROF. SZYMON MALINOWSKI, FIZYK ATMOSFERY:

W przyrodzie wszystko jest z sobą powiązane. Badania przekonują, że gwałtowny skok temperatury globalnej w ostatnich trzech latach związany jest z pociemnieniem chmur, wywołanym w dużej mierze czystszym paliwem statków.

MARTYNA SŁOWIK: Z dzieciństwa pamiętam, że wiosną i latem przez niebo przepływało wiele chmur, różnej wielkości i kształtów, a świetną zabawą była ich obserwacja i określanie, co przypominają. Ostatnio chmur jest jakby mniej. Czy badania to potwierdzają? I czy bezchmurne niebo powinno być dla nas powodem do radości?

PROF. SZYMON MALINOWSKI: Bezchmurnego nieba nad Polską rzeczywiście jest ostatnio więcej, zwiększa się usłonecznienie i to pokazują też dane. Ta tendencja w Polsce jest częściowo lokalna i związana także ze zmianą klimatu, ale jest nieco inna niż tendencja globalna.

Coraz częściej zdarzają się w Polsce sytuacje nazywane blokadami wyżowymi – mówimy o nich, gdy obszary o wysokim ciśnieniu utrudnia przepływ powietrza, stabilizując pogodę. Jeśli jesteśmy w chłodniejszej części blokady wyżowej, gdzie spływa suche powietrze, to wtedy chmur jest mniej. Taka sytuacja występuje coraz częściej nad naszym krajem.

Chmury w Polsce są też od pewnego czasu trochę inne, bo w naszej atmosferze zmniejszyła się zawartość aerozoli atmosferycznych – pyłów PM10 i PM2,5, czyli smogu. To oznacza jednak, że jest mniej pyłów, które mogłyby odbijać promieniowanie słoneczne z powrotem w kosmos.

Patrząc globalnie, kwestia obecności chmur jest bardziej skomplikowana.

Dlaczego?

W miarę tego, jak nasilamy globalne ocieplenie, emitując coraz więcej gazów cieplarnianych, zmieniają się też pewne cechy globalnej cyrkulacji atmosfery. Bezchmurny pas, który odpowiada za powstanie pustyń, np. na Półwyspie Arabskim, rozszerza się. Wyże zwrotnikowe zaczynają zajmować trochę większą przestrzeń i „spychają" niże naszych szerokości geograficznych, które niosą ze sobą różnego rodzaju chmury i opady, w kierunku biegunów.

W pobliżu równika chmury burzowe są bardzo rozbudowane i one napędzają dużą część ogólnej cyrkulacji atmosfery. Dochodzi w nich do kondensacji pary wodnej „zgarnianej" nad oceanem przez pasaty, stałe wiatry wiejące z północnego wschodu na półkuli północnej i z południowego wschodu na półkuli południowej. Pasaty zbiegają się przy równiku, masy powietrza wędrują w górę, para wodna kondensuje, a wtedy wydziela się energia. Woda spada, a energia napędza cyrkulację atmosferyczną wokół globu.

Powietrze wyniesione tam do góry rozpływa się w kierunku biegunów i powoli opada na dużych obszarach. Jest już suche, więc obszary te są bezchmurne, sięgają na północy w naszym wycinku globu po tereny śródziemnomorskie, i tam obserwujemy coraz większe i dotkliwsze susze. Dopiero dalej, bliżej biegunów, zaczynają dominować inne formy cyrkulacji atmosferycznej, związane z prądem strumieniowym i niżami umiarkowanych szerokości geograficznych.

Mamy też szereg kolejnych procesów, już w skali lokalnej, związanych z oddziaływaniem aerozolu na chmury, czyli z reakcjami, jakie zachodzą między ↦

BILANOL / ADOBE STOCK

↦ emitowanymi przez człowieka cząsteczkami zanieczyszczonego powietrza, które są tzw. jądrami kondensacji, i powstawaniem na nich kropelek chmurowych. Zmiana zawartości tych aerozoli wpływa na chmury tak, że gdy aerozoli jest więcej, chmury są bielsze, gdy mniej – ciemniejsze. Ogólnie, gdy spada ilość aerozolu, to chmury stają się mniej białe.

Użył Pan pojęcia „jądra kondensacji". Co to takiego?

To drobne cząsteczki zawieszone w powietrzu, takie jak aerozole siarkowe, kryształki soli, popiół czy pyłki roślin albo bakterie. Na nich skrapla się para wodna, powstają malutkie kropelki, których wielkie zbiory tworzą chmury. Ich rozmiar jest mikroskopijny, poniżej 1 mikrometra średnicy.

W jaki sposób zmieniamy zawartość aerozoli w atmosferze?

Nawet gdy dziś spalamy coraz więcej paliw kopalnych, to zależy nam coraz bardziej na czystym powietrzu. Żeby to osiągnąć, zaczęliśmy kiedyś od wprowadzania elektrofiltrów i odsiarczania spalin przemysłowych, potem wzięliśmy się za eliminowanie „kopciuchów". To powodowało powolny spadek antropogenicznych emisji aerozolu w ciągu ostatnich 40 lat. W 2020 r. podpisano światową umowę o redukcji zawartości siarki w paliwie dla statków. Nad wielkimi obszarami oceanów spadła ilość emitowanych aerozoli i z tego powodu chmury powyżej stały się inne. Ta sama ilość wody skondensowała na mniejszej liczbie jąder kondensacji, powstały kropelki większe i rzadziej rozmieszczone w przestrzeni. Taka chmura jest „mniej biała", słabiej odbija promieniowanie słoneczne.

To, co obserwujemy w ostatnich 2-3 latach, to gwałtowne pociemnienie niskich chmur, tzw. stratocumulusa morskiego, szczególnie na szlakach żeglugowych. Są one zatłoczone – wysyłamy statkami mnóstwo towarów. Zmiana jasności chmur ma bezpośredni związek z redukcją zawartości siarki w paliwach, do czego zobowiązywała umowa. Wygląda na to, że nie docenialiśmy globalnie skuteczności „wybielania chmur" przez aerozole, które maskowało w ten sposób część rosnącego efektu cieplarnianego.

Czyli zmniejszenie zawartości aerozoli siarki w atmosferze doprowadziło do tego, że chmury są ciemniejsze, co sprawia, że odbijają mniej promieniowania słonecznego, a tym samym przyczyniają się do szybszego nagrzewania się Ziemi. Istnieją sposoby na to, by „wybielać" chmury, aby odbijały więcej światła i ratowały nas z opresji?

Pomysłodawca jednego z rozwiązań, które miałoby wybielać chmury, ten morski *stratocumulus*, już nie żyje. Był nim brytyjski fizyk John Latham. Zaproponował wybielanie morskich chmur przez sztuczną emisję aerozolu pochodzącego z rozpylania wody morskiej. Po wyparowaniu kropelek wody zostałyby cząsteczki soli, które są bardzo dobrymi jądrami kondensacji. I one wybieliłyby chmury.

Jednak na razie tego rozwiązania się nie wykorzystuje. Są problemy techniczne, ale potrzebny jest też ktoś, kto to sfinansuje, a jak na razie chętnych nie ma.

Dzięki temu rozwiązaniu moglibyśmy zachować ten efekt bielszych chmur „maskujący" część globalnego ocieplenia, ale bez szkodliwych dla zdrowia i ekosystemów aerozoli siarkowych. Lokalne rozpylanie cząsteczek wody morskiej jest znacznie bezpieczniejsze niż często dziś proponowane rozpylanie na dużą skalę w stratosferze aerozoli siarkowych, nad którymi nie ma później żadnej kontroli, a one mogą zalegać tam kilka lat, w przeciwieństwie do cząsteczek soli, które wpłyną na niskie chmury na ograniczonym obszarze w krótkim czasie.

Takie pomysły naprawdę się pojawiały?

Od dawna mówimy o tzw. inżynierii planetarnej, geoinżynierii, jako narzędziu do częściowej kompensacji wzrostu temperatury na Ziemi wywołanego działalnością człowieka. Jak wspomniałem, najdawniej i najszerzej dyskutowane są najprostsze pomysły, na czele z rozpylaniem aerozoli siarkowych w stratosferze. Bardzo szybko okazało się jednak, że geoinżynieria stratosferyczna może być bardzo niebezpieczna, ponieważ wpływa na globalną cyrkulację atmosferyczną, i to w taki sposób, że powoduje spadek opadów w kluczowych obszarach.

Skąd pomysł na rozpylanie akurat aerozoli siarkowych?

Miało to naśladować wielkie wybuchy wulkanów z okolic równikowych, które potrafiły wyemitować związki siarki do stratosfery i w ten sposób ochładzać atmosferę, ponieważ zwiększały odbijanie promieniowania słonecznego.

Podsumujmy: związki siarki w atmosferze są w stanie obniżyć temperaturę, ponieważ odbijają światło słoneczne, ale wywołują efekt uboczny w postaci zaburzeń w powstawaniu chmur i występowaniu opadów?

Tak. Wybuchy wulkanów wpływały na cyrkulacje atmosferyczne i „wyłączały" czy zmniejszały monsun azjatycki, który jest głównym dostawcą wody w rolnictwie dla dużej części ludności świata.

Skutki uboczne naśladującej te zjawiska geoinżynierii mogą być dużo gorsze niż uzyskane pozytywne efekty. Jednak niektórzy ludzie uważają, że nadal powinniśmy próbować forsować ten pomysł, bo to jest najtańszy.

Z kolei stratocumulusy zalegające nisko nad morzem, o których wspomniałem, dla obserwujących je z ziemi osób wydają się często szare, ołowiane i ciemne. Jednak to efekt naszej „oddolnej" perspektywy. Są od spodu ciemne właśnie dlatego, że odbiły już dużo promieniowania słonecznego i pod nimi jest ciemniej. Ale widziane z góry, powyżej atmosfery, są bardzo jasne. One, w skali globu, najbardziej chłodzą klimat i ich wybielanie, lokalne, łatwe do modyfikacji czy „wyłączenia", jest dużo bezpieczniejsze.

Warto tutaj zaznaczyć, że przekonanie, iż z czarnej chmury będzie wielka burza i deszcz, tylko częściowo jest prawdziwe. To, jak jasna jest chmura na niebie, zależny od jej własności oraz położenia obserwatora i Słońca. Ta sama chmura, gdy widzimy ją od strony oświetlonej przez Słońce, jest oślepiająco biała, z drugiej, zacienionej, jest ciemna.

Jak wytłumaczyć to, że najniższe chmury, stratocumulusy, odbijają najwięcej promieniowania?

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

One działają prawie tak, jak lód na powierzchni oceanu. Gdy patrzymy z góry od strony Słońca, to prawie nie widać różnicy między tymi chmurami a warstwą lodu pływającą na powierzchni oceanu. Jednak różnie odbijają promieniowanie słoneczne w zależności od swojej budowy. Najważniejsze jest, jak duże są kropelki wody, z których się składają, i jak gęsto są rozmieszczone. Warto przypomnieć, że chmura nie składa się z pary wodnej, tylko z kropelek wody bądź kryształków lodu. Chmury zawieszone nisko nad ziemią, blisko jej powierzchni, nazywane są ciepłymi i składają się z kropelek wody. Te położone wyżej złożone są z kryształków lodu. Ta różnica w budowie powoduje również, że inaczej wyglądają.

Ta chmura widoczna w oknie za nami jest z wody czy z lodu?

To chmura typu *cirrus*, zawieszona wysoko, ok. 7-8 km nad ziemią. Składa się z większych kryształów lodu, dużo rzadziej rozłożonych w przestrzeni, co sprawia, że jest bardziej przezroczysta, „rzadsza".

Gdy tylko zdarza mi się lecieć samolotem, staram się wybierać miejsce przy oknie i patrzeć na chmury.

W jaki sposób bada się chmury?

Są różne sposoby. Jeden z bardziej spektakularnych polega na odpowiednim wyposażeniu samolotu badawczego i latanie przez te chmury; mierzenie ich w miejscu, gdzie występują.

Nasza grupa z Uniwersytetu Warszawskiego jest najlepsza na świecie w pomiarze temperatury chmur z pokładu samolotu. Gdy nim lecimy, mierzymy temperaturę co 2-3 mm i dzięki temu wiemy, jakie są fluktuacje temperatury w otoczeniu poszczególnych kropelek. Inni koledzy mierzą przyrządami optycznymi te poszczególne kropelki, ich rozmiary, rozkład przestrzenny. Aby dobrze zbadać chmury, mierzy się dziesiątki parametrów różnymi przyrządami umieszczonymi na zewnątrz samolotu. Technika jest już tak zaawansowana, że istnieją w tej chwili urządzenia, które potrafią też mierzyć skład izotopowy atomów tlenu w wodzie kropelek chmurowych, co mówi o tym, czy one powstały bezpośrednio wskutek parowania z powierzchni np. oceanu, czy z wyparowania chmury, która była w tym miejscu wcześniej.

ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

PROF. SZYMON MALINOWSKI jest fizykiem atmosfery. Specjalizuje się w badaniach fizyki chmur i opadów, turbulencji atmosferycznych, w modelowaniu numerycznym procesów atmosferycznych i nieliniowych procesów zachodzących w atmosferze. Przewodniczący Komitetu ds. Kryzysu Klimatycznego Polskiej Akademii Nauk. Popularyzuje wiedzę o klimacie.

Mają Państwo swój samolot do badania chmur?

Nie stać nas na to, nie ma takiego samolotu ani w Polsce, ani w wielu innych krajach. Duży eksperyment z lotami w chmurach to są miliony dolarów. Współpracujemy z innymi naukowcami na świecie i bierzemy udział w projektach międzynarodowego dostępu do samolotów badawczych utrzymywanych przez bogate kraje i agencje. Czasami robi się jeszcze większe eksperymenty, przygotowywane latami, w których udział bierze kilka samolotów, statków czy satelity w trybie specjalnym.

Niestety nie jest też tak, że wystarczy wziąć drona, wypuścić w powietrze i zmierzyć to, co się chce. Uzyskanie pozwolenia na wykonywanie lotów w przestrzeni powietrznej, tam gdzie to uzasadnione naukowo, i to jeszcze w czasie, kiedy panują określone warunki atmosferyczne, a to potrafi się przecież zmieniać z godziny na godzinę, jest naprawdę trudne. Trzeba przekroczyć wiele biurokratycznych barier i zgrać wiele elementów w jednym czasie.

Czy zmiana klimatu i zmieniające się chmury będą wpływały również na większą częstotliwość występowania turbulencji na pokładach samolotów?

Tak, to będzie nowa rzeczywistość, z którą będziemy musieli się zmierzyć. Turbulencje występują nie tylko w chmurach burzowych, ale też w prądach strumieniowych czy wysoko nad górami. Jeżeli wyobrazimy sobie atmosferę jako warstwy, to każda kolejna warstwa może być zaburzona, w zależności od własności tych warstw, zaburzenie może propagować się i narastać, kolejne zaburzenia mogą się nakładać. Wtedy pojawia się turbulencja.

Prowadzili Państwo badania na ten temat?

Po koledze, który ciężko zachorował i zmarł, „odziedziczyłem" studenta, który brał udział w pewnym projekcie europejskim dotyczącym pomiaru turbulencji z pokładu małego odrzutowego samolotu pasażerskiego. Kontynuując te badania wpadliśmy na pomysł, w jaki sposób zmapować turbulencję, której doświadczają samoloty pasażerskie. Na pewno zna pani program Flight Radar. Działa na podstawie pomiaru parametrów lotu samolotów pasażerskich, które są rozsyłane radiowo co sekundę bądź 4 sekundy. Okazuje się, że gdy te dane odbierze się i odpowiednio przeanalizuje, to można określić, czy samolot jest w polu turbulencji, i nawet podać jej intensywność. Odbierając dane z wielu samolotów nad naszymi głowami, można więc w czasie rzeczywistym na mapie zaznaczać obszary turbulencji.

Napisaliśmy na ten temat pracę, która dostała nagrodę redakcji czasopisma „Atmospheric Measurement Techniques". Zwróciliśmy się z tym pomysłem do Polskich Linii Lotniczych Lot oraz do Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej. Rozmawialiśmy też z firmami prywatnymi. Żadna z instytucji czy firm nie była zainteresowana dalszymi badaniami i rzeczywistą próbą wdrożenia pomysłu. W pewnym momencie zadzwonił szef bezpieczeństwa linii Emirates Airlines, który przeczytał nasz artykuł. Zaczęły się negocjacje pomiędzy Uniwersytetem Warszawskim a tymi liniami, aby program badania turbulencji rozwijać, zainstalować czujniki na ich samolotach latających do Warszawy, a po drodze ustawić więcej odbiorników. Mieliśmy pomysł, pokazaliśmy, że on działa, ale żeby rozwinąć z tego większą działalność, wdrożyć, trzeba w to włożyć pieniądze i pracę.Niestety, podpisanie porozumienia między tymi liniami ↦

↦ a Uniwersytetem Warszawskim okazało się niezwykle skomplikowane. Po jakimś czasie walki zrezygnowaliśmy. Pomysł jest cały czas do wzięcia.

Wróćmy do chmur. Możemy powiedzieć, że każda z nich jest inna?

Zdecydowanie. Chmura, która zawiera tę samą ilość wody i powstała w tych samych warunkach termodynamicznych, czyli temperaturze, wilgotności i ciśnieniu, może mieć różną budowę i własności ze względu na zróżnicowany skład mikroskopijnych cząsteczek aerozoli, „na których" powstała. Czy to cząsteczki soli, czy aerozole siarkowe, czy tzw. dimetylosulfaty, czy popioły, różne aerozole przyniesione z pustyń w postaci pyłu, aerozole antropogeniczne – każde mają nieco inne własności formowania kropel, zależne od ich wielkości i struktury przepływu powietrza – turbulencji. To wszystko razem sprawia, że każda chmura jest nieco inna i ma inne zdolności odbijania promieniowania słonecznego oraz inaczej może tworzyć się w niej opad. Chmury to procesy, wplecione w cały szereg cyrkulacji atmosferycznych, w obieg wody w przyrodzie, związane z nimi wieloma sprzężeniami i oddziaływaniami.

Jakie konsekwencje, poza spadkiem ilości chmur, ma to, że zmniejszyliśmy zawartość aerozoli siarkowych w atmosferze nad oceanami?

Wiele nowych wyników badań wskazuje na to, że gwałtowny skok temperatury globalnej w ostatnich 3 latach jest w dużej mierze wynikiem właśnie tego działania. W przyrodzie wszystkie zdarzenia są umieszczone w pewnych łańcuchach zależności. Jeżeli chmury odbijają mniej światła, to powierzchniowa warstwa oceanu pochłonie więcej energii słonecznej i ogrzeje się bardziej. Pomiary to potwierdzają: obserwujemy widoczny wzrost temperatury powierzchniowych warstw oceanu, głównie w obszarach szlaków żeglugowych. Gdy rośnie temperatura powierzchniowych warstw oceanu, to gorzej rozpuszcza się w nim atmosferyczny dwutlenek węgla. Oceany pochłaniają go coraz mniej. Więc kolejny element domina: w ostatnich 2 latach obserwujemy rekordowe przyrosty koncentracji dwutlenku węgla w atmosferze, mimo że emisje spowodowane działalnością człowieka urosły tylko w nieznacznym stopniu. Podobnie z lasami czy ekosystemami – tracą one na naszych oczach dawną zdolność do pochłaniania CO_2 w takiej jak kiedyś ilości, zmieniają się wskutek zmiany opadów. Usunęliśmy aerozole siarkowe z paliw dla statków, wpłynęliśmy tym na chmury, ale – jak widać – wywołaliśmy też szereg innych konsekwencji, które dopiero się odsłaniają. Wiedzieliśmy, że to nastąpi, tylko nie doceniliśmy, że może się to stać tak szybko i w takim zakresie.

> Chmury to procesy, wplecione w cały szereg cyrkulacji atmosferycznych, w obieg wody w przyrodzie, związane z nimi wieloma sprzężeniami i oddziaływaniami. **Każda jest nieco inna.**

Czy istnieje ryzyko, że chmury na wielu obszarach znikną na długi czas?

Tak. Jest możliwe, że morski *stratocumulus*, o którym rozmawialiśmy, zniknie nad pewnym kluczowymi obszarami.

Pamiętajmy, że chmury to bardzo delikatna równowaga pomiędzy procesami parowania, obecnością aerozoli, strumieniami promieniowania słonecznego i wielkością efektu cieplarnianego. Gdy niskie, warstwowe chmury będą zbyt silnie ogrzewane z góry przez zwiększony efekt cieplarniany, to one w niektórych miejscach znikną.

Jeżeli myślimy o przyszłym klimacie i ociepleniu zależnym od tego, ile gazów cieplarnianych wyemitujemy, to kwestia chmur i ich zmian jest największym obszarem niepewności w prognozach. Wciąż mało wiemy o tym, w jakim stopniu się zmienią. Okazuje się, że do tej pory nie docenialiśmy ich chłodzącego wpływu. To może oznaczać, że konsekwencje dalszych emisji gazów cieplarnianych mogą być dużo gorsze, niż w tej chwili się uważa.

© Rozmawiała MARTYNA SŁOWIK

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

HORYZONTY NAUKI

Nauka, która fascynuje. Odkrycia, nowe technologie i przełomowe badania – rzetelna analiza zamiast sensacyjnych nagłówków.

Prowadzi ŁUKASZ KWIATEK

dowiedz się więcej!

ELIZA

Kącka: *Szczęście w mieście Olsztyn*

Ulica Promenada, tuż przy parku. Przystaję przy grupce gapiów. „Kolejne drzewo w miesiącu, wie pan”. „Ale co to komu przeszkadza?”. „Eee, może nie przeszkadza, ale drewno się zhandluje”. „Pewno deweloperka...”. „Tu? Nieee. Musieliby wszystko wyciąć”. Wchodzę we Włoską, słychać piły. Agresywny, napastliwy warkot. U wylotu Padewskiej ojciec z synkiem: „Podsadzę cię, zobaczysz, jak panowie pracują”. Bierze małego na barana. „Ekstla!”. „Jak będziesz duży, to też będziesz mógł piłować”. Mały z niepokojem: „A jak panowie nic nie zostawią?”. „To sobie coś z parku wybierzesz”. Wchodzę w Pytlasińskiego. Przy płocie, w pół drogi do Konduktorskiej, stoi staruszek z laską. Podchodzę. Płacze: „Widzi to pani?”. „Widzę”. „Mordercy”. Warkot z bliskiej odległości przechodzi to w metaliczny, zacinający się chrobot, to w eskalujący, jednostajny jazgot. „Chyba dwie piły...” – wyrywa mi się. „A naturalnie. Lepsza ta druga”. „?”. „Mniej cierpi”. „Drzewo?”. „A kto?”. Nasłuchujemy. „Już ja bym tego urzędasa, co dał na to pozwolenie, już ja bym go!”. Od Konduktorskiej wtacza się przyczepa. „Wie pani, tu mieszkają jeże, o tu – staruszek wskazuje laską w głąb podwórka – o, a tam jest szlak wiewiórek, o, patrzy, tędy biegają”. „Aha”. „I już nie pobiegną. Chamy, oprawcy”. Nasłuchujemy. „Oswoiliśmy je tutaj, wykładaliśmy orzeszki. Wie pani, że wiewiórki mają różne rozmiary pędzelków?”. Śmiejemy się przez łzy. „Najbardziej kocham taką wyleniałą, z cienkim ogonem. Wie pani, jak się spojrzy pod światło, to taki cienki ten ogon, cieniutki, kikucik owłosiony, ojej” – wzruszył się. „Pewnie stara jak ja, ale codziennie była z parku. Po orzeszka. Nie wybaczę”. „Uhm”. „Nie wybaczę. Ona umrze, ja też. Na to drzewo”. „Nienie, poradzi sobie”. Zapłakał. „Kraj morderców drzew, tak teraz mówię, kraj morderców drzew, inaczej nie powiem”. Ruszył ku Konduktorskiej ciężko, schylony, jakby wlókł ten pień.

Autobus 116, jazda na Żoliborz. Dosiadam się do kobiet w moim wieku. „Boję się, Basia”. „Czego?”. „Nienawiści. Teraz, po wyborach”. „Ej, co ty! Myślałam, że tobie się coś przytrafiło”. „Ech”. „To tylko polityka”. „Nie tylko”. „Słuchaj, ludzie i tak będą pluć, nic się nie zmieniło”. „Zmieniło. Nie widzisz, że złość zgęstniała? Że się nie rozmawia normalnie?”. „Rozmawiałaś tu kiedyś normalnie?”. „No, nie rozumiemy się”. „Po mojemu norma. Wszyscy wiedzą lepiej. Dramatu nie ma”. „A ja myślę, że jest. Złość jest gęsta, jak nożem kroić”. „Haha, ty zawsze, Jula, umiałaś w metafory”. „Wolałabym nie”.

Tramwaj 18, jazda na Mokotów. Dwie w wieku studenckim. „Poszłaś?”. „No nie, coś ty”. „Mądra dziewczynka”. „To jest emoszantaż”. „No właśnie”. „»Głosuj, głosuj, wybierz mniejsze zło«, a sio”. „Ototo”. „Ja jestem świadoma. Chcę kogoś z lewicy. Póki mi go nie dostarczą, siedzę w domu”. „Nie dostarczą”. „Ja siebie szanuję”. „Ototo”. „Będę głosować, jak lewica wygra. Jak się przekonam. Niech mnie poprosi o głos, to w następnych wyborach pójdę”. „W Polsce?! Nigdy nie wygra”. „No to nigdy nie pójdę”. „Mądra dziewczynka”.

Spacer z Rudą po Olsztynie. „Ja się tutaj urodziłam”. „Ano”. „Tu mnie doniosłaś”. „Tak”. „A gdzie ten szpital?”. „U, nie tak znów blisko, przy Niepodległości”. „Nie muszę tam wracać”. „Nie musisz”. „Bo ty leżałaś na oddziale patologii”. „Haha, patologii ciąży”. „Co to znaczy?”. „Komplikacje przy rodzeniu, zdrowotne”. Milczy, patrzy w bok: „Czyli te dzieci, Pingwin...”. „Tak”. „Wy chciałyście?”. „Tak. A myślałaś, że to się wiąże z odrzuceniem?”. „Nie pytaj”. Idziemy w milczeniu. Ruda bierze mnie za rękę: „Ty się mnie nie bałaś”. „Nie”. Śmieje się: „Ja się cieszę, że w Olsztynie złożyłaś jajko”. „Rude”. „Miałam szansę na Warmii”. „I nadal masz”. „Warmia mnie chciała”. „Szczęśliwie się wyklułaś”. „I nadal mam szczęście w mieście Olsztyn”. „I owszem”.

Olsztyn, Ruda śpi, a ja wychodzę nocą z hotelu i ruszam ku starówce. Ratusz, Wysoka Brama. Tuż za nią gość z papierosem. „Ma pani ogień?”. „A nie”. „To taka zaczepka, jakby co”. „Aha”. „Ale pani nie jest chyba zainteresowana” – obruszył się. „Niezbyt”. „To po co pani sama w miasto o tej porze?”. „Hm, dla miasta”. „Tak se?”. „Ano”. Zwątpił: „Nienormalna”. Ruszyłam ku Zamkowej, a ten za mną. I dywaguje: „Dobrze, jak się człowiek w porę zorientuje”. Dopiero zauważyłam: nów księżyca. „Nie ma powrotu, jakby co”. Zamek pod nowiem, przed progiem nocy. Tuż dalej przesłona mroku. „Proszę mi się więcej nie narzucać!”. Po kilku krokach odpadł.

Dwie starsze pod warzywniakiem mokotowskim, przy skrzynkach z warzywami: „Ja to nie wiem, jak w ogóle można inaczej głosować”. „Właśnie”. „On ma taką piękną twarz, szczery uśmiech”. „A tak”. „Prezesowi ufam zawsze, ale wie pani: i bez tego bym na niego głosowała”. „I to imię! Opatrznościowe”. „Racja. Ale twarz, uśmiech. Spokojny, rodzinny, mąż stanu. Że ludzie tego nie widzą...”. „Nasi widzą. Tamci wolą zło”. „Zaprzedali się. Polak tak nie wybiera”. „Pani Zosiu, spokojnie, wygramy”. „Ale po co w ogóle wybory? Prawica powinna rządzić zawsze”. „Tak”. „A już najbardziej nie rozumiem tych, co idą do kościoła, a potem na Rafała”. „Z tego się trzeba spowiadać”. „Jak się ma sumienie. Ale że można wybierać inaczej...”. „Też tego nie rozumiem”. „Przecież Jezus był prawicowy”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.

KULTURA

PRAWDZIWE ŻYCIE

Jak to się dzieje, że ludzie, którzy chcą pomagać albo leczyć, stają się przestępcami? Kiedy szlachetna idea przeradza się w opresję? To najważniejsze pytania reportaży Patricka Raddena Keefe'a.

AGATA KASPROLEWICZ

Kiedy w sercu Nowego Jorku dobiegał końca głośny proces szefowej przemytniczego imperium, zwanej Siostrą Ping, Patrick Radden Keefe, świeżo upieczony absolwent prawa, przygotowywał się właśnie do egzaminu adwokackiego. Z początkiem lata roku 2005 każdego ranka udawał się do chłodnej, klimatyzowanej sali na Uniwersytecie Nowojorskim i starał się nie zasnąć podczas serii nużących wykładów.

Czasem zabierał ze sobą na zajęcia numery „New York Post", czy „Daily News". Tabloidy podsycały emocje krzykliwymi nagłówkami, w których nazywały Siostrę Ping „wcieleniem zła". Kobieta została skazana na 35 lat więzienia niedługo po tym, jak Keefe zdał swój egzamin.

Wkrótce okazało się, że dyplom do niczego mu się nie przyda. I tym razem winna była Siostra Ping.

– Dla mieszkańców Chinatown była bohaterką, wcieleniem Robin Hooda walczącego o lepsze życie dla swoich pobratymców. Dla jakiejś części amerykańskiego społeczeństwa była więc przestępczynią, dla innej – wybawicielką. Ten paradoks mnie zafascynował i stał się dobrym powodem, żeby zmarnować dyplom prawniczy – mówi Keefe.

Absolwent prawa marzący o pisaniu zrozumiał, że proces Siostry Ping to temat na poważny tekst, a nawet książkę. W kwietniu 2006 r. w „New Yorkerze" pojawił się jego reportaż o chińskiej przemytniczce, a trzy lata później, w ślad za nim, ukazała się „Głowa węża".

Patrick Radden Keefe. Barcelona, 22 września 2021 r.

ALBERT LLOP / AFP / EAST NEWS

Wiosła

Reportaż Keefe'a, pojawiający się właśnie w polskim przekładzie, zaczyna się od przejmującej sceny. Ogromny statek pasażerski osiada na mieliźnie prawie sto metrów od półwyspu Rockaway. Jest 3 czerwca roku 1993, środek nocy, na pokładzie znajdują się setki nielegalnych chińskich migrantów. Zamiast poczekać na pomoc, skaczą w otchłań oceanu. Jeden z policjantów przeciera ze zdumienia oczy. Dobrze pamięta z poprzednich akcji ratowniczych, jak wielką trwogę rozbitków budzi mrok bezkresnej wody. W przypadku pasażerów „Golden Venture" strach ustępuje pragnieniu, by po miesiącach tułaczki dotknąć amerykańskiej ziemi.

Ten fragment nabiera nowego sensu, kiedy czyta się go w roku 2025. Czy Ameryka Donalda Trumpa jest jeszcze krajem, dla którego ludzie są gotowi skakać w otchłań?

Patrick Radden Keefe: – Dziś budujemy mur na granicy. Umieszczamy dzieci w klatkach. Rozdzielamy rodziny. Porywamy ludzi i wysyłamy ich do obozu w Salwadorze. Donald Trump i jego ludzie wyznają natywistyczny pogląd, według którego Ameryka jest krajem należącym do białych. Miejsce amerykańskiego snu zastąpiło poczucie, że nasze społeczeństwo srogo karze ludzi przybijających do brzegu w poszukiwaniu lepszego losu.

Operacją przemytu zdesperowanych Chińczyków dowodziła Siostra Ping. Była niepozorna, na pierwszy rzut oka wyglądała jak typowa ekspedientka sklepiku w Chinatown. „Lubiła tanie, praktyczne ubrania, typowe dla prowincji Fujian, skąd pochodziła, dla wygody nosiła dość krótkie włosy, tylko do ramion. Pracowała wiele godzin dziennie: sprzedawała niedrogie przedmioty codziennego użytku, prowadziła też restaurację w suterenie, w której nowo przybyli imigranci mogli zamawiać swojskie specjały fujiańskiej kuchni, na przykład ostrygi w cieście albo zupę z kulkami rybnymi. Ilekroć przyjeżdżały ciężarówki z zaopatrzeniem, sama taszczyła je do sklepu", pisze o niej Keefe.

Jako ośmioletnia dziewczynka Siostra Ping zbierała chrust. Podczas przeprawy przez rzekę silny prąd przewrócił łódkę, na której znajdowała się z kilkoma osobami. Przeżyli tylko ci, którzy mieli wiosła. „Śmierć zabrała dwoje ludzi, którzy lenili się, podczas gdy reszta wiosłowała. Nauczyło mnie to, że zawsze trzeba ciężko pracować" – wyznała w korespondencji z Keeefe'em.

Ale z dzieciństwa, które upłynęło w pogrążonych w maoistowskim terrorze Chinach, wyciągnęła jeszcze jedną lekcję. Kiedy Mao ogłosił Wielki Skok Naprzód, miała dziesięć lat. Miliony ofiar, które zmarły z głodu na skutek nieudanych reform, przywódca miał skwitować krótkim zdaniem: „Zwłokami można użyźniać ziemię". Lekcja ↦

↦ numer dwa brzmiała więc: pojedyncze życie nie ma wartości.

Do końca swoich dni, które spędziła w więzieniu w Teksasie, uważała, że jest niewinna. Zbudowała przemytnicze imperium warte 40 mln dolarów. Umożliwiła przyjazd do USA co najmniej czterem tysiącom rodaków. W latach 80. cena za nielegalną przeprawę do Ameryki wynosiła 18 tys. dolarów, w latach 90. podskoczyła do 35 tys. Od klienta, który dotarł bezpiecznie do Stanów Zjednoczonych, oczekiwała uiszczenia pełnej opłaty. Do egzekucji długu wynajmowała gangsterów, którzy więzili świeżo przybyłych uciekinierów, a nawet ich torturowali, by wymusić na krewnych i przyjaciołach zebranie należnych pieniędzy.

Mimo to, kiedy trafiła za kratki, ludzie zgłaszali się na ochotnika, by odsiedzieć za nią wyrok. Siostra Ping umarła wierząc, że jest dobrą, szlachetną osobą. Nigdy nie dopuściła do siebie myśli, że to, co robiła, było przestępstwem.

Pigułka

Jak to się dzieje, że ludzie, którzy chcą pomagać innym, stają się bandytami? Gdzie przebiega granica między dobrem a złem? Pytania o naturę człowieka staną się motywem wszystkich reportaży Keefe'a.

– To dzięki „Głowie węża" stałem się pisarzem – mówi. – Po niemal 20 latach, które minęły od napisania tej książki, ciągle zajmują mnie te same sprawy: moralna dwuznaczność i historie, które opowiadamy, aby usprawiedliwić samych siebie. Zarówno Siostra Ping, jak i Arthur Sackler nie uważali się za złoczyńców. Wierzyli, że są dobrymi ludźmi. Może dlatego, że przekroczenie granicy zła to droga małych kroków. Stopniowo zaczyna się robić coraz gorsze i gorsze rzeczy.

Arthur Sackler, twórca farmaceutycznego imperium, które doprowadziło Amerykanów do epidemii opioidów, jest bohaterem innego głośnego reportażu Keefe'a pt. „Imperium bólu" (2021). To mogła być prosta historia o chciwości i podłych bogaczach, którzy doprowadzili do śmierci ponad 450 tys. Amerykanów. Ale Keefe do jej opowiedzenia wybrał znaczenie szerszy kadr.

– To historia o amerykańskim śnie, będącym częścią naszej mitologii, mocno zakorzenionej w literaturze i kinie. Lubimy opowiadać historie o ludziach ze wszystkich stron świata, którzy po przybyciu do Ameryki zaczęli wszystko od nowa i dorobili się wielkich fortun. Rzadko jednak wspominamy o prawdziwej cenie tego sukcesu i jego ofiarach. Rodzice Sacklera byli ubogimi imigrantami z Europy Wschodniej, w ich domu mówiło się tylko w jidysz. W ciągu zaledwie jednego pokolenia udało się wynieść rodzinne nazwisko na sam szczyt i stworzyć firmę wartą miliardy dolarów. Najciekawsze w tej historii są jednak kompromisy, na które rodzina Sacklerów musiała pójść, by zajść tak wysoko. W tym sensie ich historia przypomina historię wielu amerykańskich fortun.

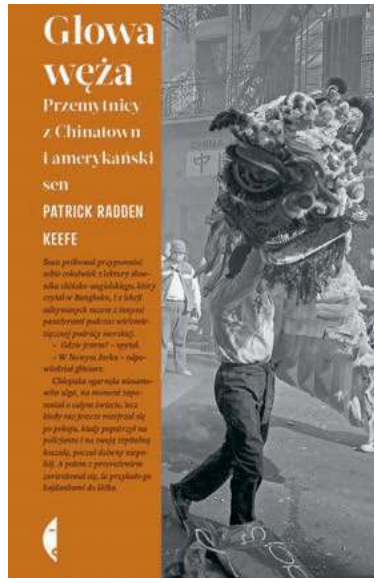

Patrick Radden Keefe,
GŁOWA WĘŻA. PRZEMYTNICY Z CHINATOWN I AMERYKAŃSKI SEN,
tłum. Jan Dzierzgowski,
Czarne, Wołowiec 2025

Keefe dokonuje dekonstrukcji amerykańskiego snu, ale jego reporterska opowieść stanowi także studium ludzkiej natury. Arthur Sackler jako młody lekarz poznał tragiczne losy pacjentów szpitali psychiatrycznych.

– Zabiegi dostępne w tamtym czasie były brutalne: elektrowstrząsy, lobotomia. Sposobem na radzenie sobie z chorobą było odłączenie mózgu. Arthur i jego bracia uznali, że musi istnieć lepszy sposób. Jesteśmy przecież Amerykanami i żyjemy w XX wieku! Musi być jakieś naukowe rozwiązanie dla ludzi cierpiących na choroby psychiczne – powtarzali. Zaczęli więc snuć fantazję o tabletce, która leczy tego rodzaju zaburzenia. Ale to nie wystarczało. Bo co, jeśli udałoby się wymyślić pigułkę na każdą dolegliwość, na każdy ból? To myśl o lekarstwie, które wyleczy ze wszystkiego, była motorem ich działania – mówi Keefe.

Zaczęło się od wielkiego, alchemicznego marzenia, by wybawić ludzkość od bólu. W efekcie Oxycontin – tabletka opracowana przez koncern farmaceutyczny należący do rodziny Sacklerów – doprowadził do śmierci ponad 450 tys. Amerykanów.

Upadek

Keefe nie relatywizuje zła, pokazuje złożoność ludzkiej natury i trudny do uchwycenia moment, kiedy szlachetna idea zmienia się w zbrodnię. W „Cokolwiek powiesz, nic nie mów" (2019) reporter kreśli niejednoznaczny portret młodych bojowników Irlandzkiej Armii Republikańskiej – Dolours Price i Brendona Hughesa, którzy w imię walki przeciw brytyjskiemu okupantowi byli gotowi na wszystko. Doprowadziło ich to do jednej z najokrutniejszych zbrodni czasu Kłopotów – uprowadzenia Jean McConville na oczach jej dziesięciorga dzieci, a następnie zamordowania kobiety i ukrycia jej zwłok.

Keefe: – Kiedy mówimy o traumie, skupiamy się na ofiarach przemocy. Ja chciałem pokazać, że w konfliktach takich jak ten w Irlandii Północnej sprawcy przemocy także doświadczają traumy, zabójcy także doświadczają smutku. Nie usprawiedliwiam ich. Zło, które wyrządzili, zasługuje na potępienie. Jednak widzę w nich postaci tragiczne i staram się nie pozbawiać ich człowieczeństwa.

Czytelnicy mówili mu, że czuli się nieswojo, czytając jego książki. Zżywali się z bohaterami, identyfikowali emocjonalnie z ludźmi, którzy na kolejnych stronach stawali się terrorystami albo mordercami. Ale o to właśnie chodziło.

Na tym polega siła dobrej literatury, a wszystkie reportaże Patricka Raddena Keefe'a to historie o rozmachu godnym najlepszych powieści. We wszystkich swoich książkach autor zadaje pytania uniwersalne – o naturę dobra i zła, zawiłość ludzkich losów i procesów politycznych.

W centrum opowieści, nieważne czy dotyczy ona konfliktu północnoirlandzkiego, epidemii opioidowej, czy chińskiej imigracji do USA, znajdujemy bohaterów, którzy na końcu pokonanej drogi stają się zaprzeczeniem swoich młodzieńczych ideałów. Ich upadek nie następuje gwałtownie. To drobne, z pozoru nieistotne kroki i decyzje wyznaczają drogę ku przepaści.

Perła

W losach bohaterów reportaży Keefe'a istnieje też pewna literacka konieczność, o której w jednym ze swoich esejów pisała Natalia Ginzburg. Włoszka została prawdziwą pisarką, kiedy uświadomiła sobie, że jej postaci nie są zbudowane ze słów i zdań, że to, co im się przytrafia, nie jest dziełem przypadku czy kaprysu pisarza, lecz wynikiem pewnej konieczności.

Można oczywiście uznać, że pisarze *non fiction* mają łatwiej, bo każda ich postać jest po prostu prawdziwa. Tyle że nie każdy prawdziwy bohater musi być literacko wiarygodny. Stworzenie postaci autentycznej, zbudowanej z ginzburgowskich konieczności, to umiejętność wyróżniająca wielkich pisarzy, bez względu na to, w jakim gatunku tworzą.

Patrick Radden Keefe jako młody chłopak pochłaniał opowieści o Sherlocku Holmesie, lubił książki Agathy Christie, potem przepadł w powieściach szpiegowskich. Jednak to literatura faktu daje mu poczucie wolności, którą powieść często krępuje.

– Często trafiam na historie, które czytelnikom powieści wydałyby się grubą przesadą – mówi. – Porównuję to do momentu, kiedy spacerując po plaży, podnosisz kamień i znajdujesz pod nim perłę. Czy to się może naprawdę zdarzyć? Kończę pisać książkę o rosyjskich oligarchach mieszkających w Londynie. Będzie w niej wiele historii, których nie mógłbym umieścić w powieści, bo czułbym, że są przekombinowane. Pisząc literaturę faktu, nie muszę się w ten sposób kontrolować, wiedząc, że to, o czym opowiadam, wydarzyło się naprawdę. Prawdziwe życie daje pisarzowi pozwolenie na wszystko. © AGATA KASPROLEWICZ

Autorka prowadzi podkast „Raport o książkach". Wszystkie wypowiedzi Patricka Raddena Keefe'a pochodzą z jej rozmów z pisarzem.

Człowiek legenda

BARTOSZ SADULSKI

KSIĄŻKI | Roberto Bolaño byłby wspaniałym detektywem. Nie tylko dlatego, że chętnie wracałby nocą w miejsca zbrodni, bez lęku przed czyhającymi tam duchami. To, co hipotetyczne, było dla niego po prostu najciekawsze.

Kiedy piętnaście lat temu „Dzicy detektywi" ukazali się po raz pierwszy po polsku w przekładzie Tomasza Pindla i Niny Pluty, wydawnictwo reklamowało książkę jako „najwybitniejszą powieść latynoamerykańską ostatniego ćwierćwiecza". To hasło, równie chwytliwe, co nieweryfikowalne i elastyczne, bo dające się rozciągać na półwiecza i stulecia, ma jednak w sobie zaskakującą prawdziwość, widoczną przy okazji drugiego polskiego wydania wielkiej powieści Roberta Bolaña. Z perspektywy lat, jakie minęły od hiszpańskiej premiery książki, wyraźnie zarysowuje się pozycja „Dzikich detektywów" w kanonie nie tylko literatury hiszpańskojęzycznej, ale i światowej.

Wielu krytyków stawiało wydaną w 1998 r. powieść Chilijczyka na równi z „Grą w klasy" Julia Cortázara (jednego z nielicznych autorów, których Bolaño darzył niesłabnącą estymą), czy latynoskimi arcydziełami takimi jak „Raj" José Lezamy Limy czy nietłumaczony na polski „Adán Buenosayres" Leopolda Marechala. Prestiżowa nagroda Rómulo Gallegosa, którą jako pierwsi otrzymali kolejno Llosa, Marquez i Fuentes, przyznana Chilijczykowi rok po wydaniu „Dzikich detektywów", potwierdziła jego status gwiazdy.

Niestety, nie cieszył się nim długo. Zmarł w 2003 r., zostawiając po sobie drugie powieściowe arcydzieło, literackie *perpetuum-mobile*: książkę „2666". To właśnie ona całkiem niedawno znalazła się na szóstym miejscu najwybitniejszych powieści stulecia w rankingu „New York Timesa". „Dzicy detektywi" zajęli miejsce w połowie czwartej dziesiątki, do czego być może nie należy przywiązywać wielkiej wagi. Amerykański rynek potraktujmy po prostu jako probierz mityczności.

Biografia Bolaña, skupiając w sobie całą stereotypową latynoamerykańskość XX w., z jej szaleństwami, zrywami i gorączkami, stała się bowiem nie tylko legendą, ale przede wszystkim wehikułem jego twórczości – między innymi w Stanach Zjednoczonych właśnie, gdzie przekłady stanowią zwykle niewielki procent rynku.

Kaskader i szuler

Legenda Bolaña znacząco wykracza bowiem poza jego umiejętności pisarskie. Dla Chilijczyka jednym z pól twórczości i przestrzenią nieskrępowanej kreatywności była własna biografia. Na jej temat konfabulował z urokiem szulera. Jak się okazuje, skutecznie. We wstępie do nowego wydania angielskiego przekładu „Chilijskiego nokturnu" pisarka Nicole Krauss nazywa „Dzikich detektywów" powieścią autobiograficzną opartą na pamiętnikach Bolaña, dając się tym samym zwieść pierwszoosobowej narracji oraz luźnym związkom książki z życiorysem.

Rzeczywiście, po przyjeździe do miasta Meksyk w latach 70., pisarz romansował z poetycką awangardą i współtworzył ruch tzw. infrarealistów, których celem było „rozwalić mózgi oficjalnej kultury". W powieści czytamy z kolei o „bebechorealistach". Narracyjną fikcję traktował Bolaño jako przedłużenie aktu poetyckiego, czerpiąc z technik i ducha poezji. Lubił powtarzać za chilijskim matematykiem i poetą Nicanorem Parrą, że najlepsze powieści powstały w metrum, a za Amerykaninem Haroldem Bloomem, że najlepsza poezja XX w. zapisana jest prozą. ↦

↦ Dlatego jego „Dzicy detektywi” to powieść o poezji i poetach, w której nie cytuje się ani jednego wiersza. Jednak, jak słusznie zauważył Daniel Zalewski w „New Yorkerze”, pisarstwo Bolaña jest w dużej mierze ironiczną mitologizacją osobistej historii, a „Dzicy detektywi” najbardziej zbliżają się do tego, co latynoamerykańscy pisarze nazywają jego „legendą”. Co się na nią złożyło?

Mitowi Bolaña jako „latynoskiego kaskadera literatury” przysłużyła się ciężka choroba wątroby, w zasadzie wyrok śmierci wydany na początku lat 90. Kompulsywne pisanie stało się nie tylko obsesją, ale też dodatkowym sposobem utrzymania powiększającej się rodziny. „Wiedziałem, że nie jestem nieśmiertelny, ale w wieku trzydziestu ośmiu lat nadszedł najwyższy czas, by się tego nauczyć” – powiedział pisarz w ostatnim wywiadzie. Mit został domknięty.

Życie i twórczość

Symptomem rozmycia się biografii autora w jego dziele jest fakt, iż ponad 20 lat po śmierci pisarza nadal nie ukazała się jego biografia. Autorka ostatniej z nim rozmowy, argentyńska dziennikarka Mónica Maristain, opublikowała w 2014 r. dość powierzchowną „Biografię w rozmowach”, która z pewnością nie wyczerpuje tematu.

Na przeszkodzie stoi między innymi wdowa po pisarzu, Carolina López. Strzeże ona archiwum, na które składa się blisko piętnaście tysięcy stron materiałów – ich część została pokazana ponad dziesięć lat temu na barcelońskiej wystawie, będącej efektem kwerendy Valerie Miles, niestrudzonej popularyzatorki iberoamerykańskiej literatury, poproszonej przez López o stworzenie „wyselekcjonowanej autobiografii, wyboru cytatów zaczerpniętych z tych notatników i dokumentów”.

To właśnie Miles w tekście o swojej pracy podkreślała, że „pośmiertny sukces Bolaña to okres przepychanek, tworzenia mitów i zaprzeczeń”. Wdowa po pisarzu w 2013 r. złożyła kilka pozwów o „naruszenie intymności i honoru” w związku z wypowiedziami, które pojawiały się w mediach. Pięć lat później pozwała Ignacia Echevarríę, krytyka i przyjaciela chilijskiego pisarza. Poszło o artykuł, w którym omawiał on życie osobiste Bolaña.

Potyczki te nie zdawały się jednak wpływać na pozycję autora „Dzikich detektywów”, który nie tylko umacniał się jako jeden z najważniejszych głosów literatury iberoamerykańskiej przełomu wieków, ale znajdował także znakomitych pogrobowców, jak Alejandro Zambra, autor „Chilijskiego poety”, powieści wprost nawiązującej do wznowionego właśnie po polsku arcydzieła.

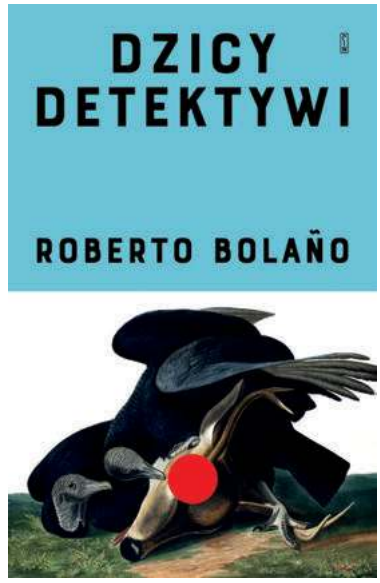

Roberto Bolaño,
DZICY DETEKTYWI,
tłum. Tomasz Pindel i Nina Pluta,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2025

Szczęśliwie w 2022 r. ukazała się książka Davida Kurnicka proponująca nowe odczytania „Dzikich detektywów”, zrywająca z autobiografizującymi interpretacjami i próbująca zrozumieć fenomen Bolaña wśród amerykańskich czytelników. Zdaniem krytyka jest to powieść, która przygotowała nam grunt pod nowy świat. Taki, w którym amerykańska kultura traci swoje domniemane centralne miejsce. Być może dlatego w zeszłym roku wydawnictwo Picador wznowiło książki Bolaña w nowej szacie graficznej.

Leń i poeta

Sam autor nazywał „Dzikich detektywów” „powieścią o przygodzie, która zawsze jest nieoczekiwana”. Przede wszystkim jest to jednak kubistyczna historia o zniknięciu, w której (co widzimy dopiero dzisiaj) rozmył się i rozpuścił także pisarz. Poszukiwanie dwojga zaginionych poetów i założycieli ruchu bebechorealistów, rozciągające się na kilka dekad i kontynentów, jest jednocześnie hołdem dla literatury, Meksyku i pokolenia, które pokładało w niej większe nadzieje niż w rewolucji.

Wspomniany już Zalewski twierdzi, że „Dzicy detektywi” długimi fragmentami przypominają „kronikę rozproszonego potencjału”, a „fetyszyzacja utraconej młodości w powieści graniczy z romantyzmem”. Należy jednak pamiętać, że młodość została chilijskim przeciwnikom Pinocheta brutalnie odebrana, a emigracja i włóczęga stały się ich przeznaczeniem.

Bolaño finansowy i egzystencjalny spokój znalazł dopiero w połowie lat 80. w Blanes, na katalońskim wybrzeżu, gdzie pracował między innymi jak stróż nocny na polu campingowym (echa tych zajęć wybrzmiewają w „Dzikich detektywach”). Na wizytówce z tamtych czasów nazywał siebie „poetą i leniem”.

Inny krytyk, autor nośnego cytatu głoszącego, że „Dzicy detektywi” to „rodzaj powieści, którą mógłby napisać Borges”, podkreślał po śmierci pisarza, że jest to przede wszystkim powieść w ciągłym rozwoju: „nie przestała rosnąć od momentu publikacji. Kiedy ją recenzowałem, nazywając niesamowitym dziełem, nie miałem pojęcia, lub miałem bardzo małe pojęcie, jak ważna będzie, jaką kluczową rolę odegra, ani o wielkości pisarza, który za nią stoi”. Cóż, książka ta, przy pomocy chóru narratorów (ponad pięćdziesięciu!), zdołała z dokumentalną wrażliwością uchwycić fenomen świata rozpadającego się na dziesiątki mikrohistorii, z których niekoniecznie musi wyłonić się portret jakiejkolwiek całości.

Celem śledztwa prowadzonego w „Dzikich detektywach” jest przechadzka po lesie fikcji. Jej niemalże halucynacyjne bogactwo jest odbiciem świata, skazaną na epicką porażkę próbą zbadania wszystkich możliwości, jakie ma on do zaoferowania. Na dziesięć lat przed „Biegunami” Bolaño stworzył monografię ruchliwości.

Miłość i spełnienie

Umberto Eco postulował, aby każdy tekst czytać dwukrotnie: przy pierwszej lekturze dowiadujemy się, o czym tekst traktuje, przy drugiej – w jaki sposób.

BRIDGEMAN IMAGES / AFP / EAST NEWS

Roberto Bolaño, ok. 2000 r.

Moja pierwsza lektura „Dzikich detektywów" zbiegła się z czasem, gdy sam byłem aspirującym młodym poetą, dlatego wywołała we mnie intensywny *wanderlust*, latynoamerykańską gorączkę trudną do powstrzymania. Z łatwością uległem zaczadzeniu historią wagabundów, idealistów, dla których poza literaturą świat nie istniał. Na ich podobieństwo kradłem książki i kompulsywnie pisałem wiersze, fantazjując o czekającej mnie wielkiej włóczędze. Wiem, że nie byłem w tym doświadczeniu odosobniony. Każdy czytelnik chilijskiego pisarza zapragnął być samotnym apostołem bebechorealizmu, pierwszym i ostatnim meksykańskim dadaistą na polskiej ziemi.

Oto powieść, która przygotowuje grunt pod nowy świat.

Taki, w którym amerykańska kultura traci swoje centralne miejsce.

Ponowna lektura powieści piętnaście lat po pierwszym polskim wydaniu była innym doświadczeniem. Jej wielogłosowość i rozmach wydają się jeszcze bardziej adekwatnym i uniwersalnym sposobem opisu współczesnej rzeczywistości, która nie ma przecież zbyt wielu znamion koherencji, a pozorna apolityczność niesie wyjątkowo mocne oraz uniwersalne pragnienia: wolności, miłości i spełnienia.

„Dzicy detektywi" są teraz w znacznie mniejszym stopniu powieścią, którą chciałbym zawłaszczyć tylko dla siebie, bo nie tylko do mnie zdaje się przemawiać jej szczodrość w portretowaniu świata, uważność w traktowaniu głosów na równi, humor i niewyczerpana literackość. To wielki atut bolañowskiej fikcji: stworzenie powieściowego świata tak pojemnego i gościnnego, że trudno się w nim nie zatrzymać. A przy tym tak chłonnego, że jej autor zdaje się niemożliwy do wydestylowania z własnej prozy.

Chilijczyk wspominał, że gdyby nie został pisarzem, byłby wspaniałym detektywem. Kimś, kto „wraca na miejsce zbrodni sam, nocą, i nie boi się duchów". Śledztwo w sprawie duchów, a także konsekwentne powracanie do miejsc, w których duchy odciskały swoje ślady, jest próbą odtworzenia świata nieskończonych możliwości.

Odpowiedzią na niemożliwość bezpośredniego poznania i stworzenia kompletnego portretu przeszłości jest jej fikcjonalizacja, czyli w rozumieniu pisarza: uporządkowanie. To, co hipotetyczne, jest w „Dzikich detektywach" tym, co najbardziej możliwe, a na pewno najciekawsze.

Świat powieści jest znacznie szerszy niż nasz, a styl Bolaña, rozciągający się między kpiną, romantyzowaniem ucieczki i młodości, latynoamerykańskim maczyzmem oraz ekstremalną metatekstualnością, nie może przyćmić uniwersalnego znaczenia jego dzieła. Znaczenia, które odkleiło się już od czasu i przestrzeni jego powstania, i orbituje wysoko na pustynią Sonora.

© BARTOSZ SADULSKI

Autor jest pisarzem i redaktorem naczelnym kwartalnika „Herito".

Kanon na nowo

PIOTR KOSIEWSKI

WYSTAWA | Ekspozycja w Muzem Narodowym w Lublinie jest wydarzeniem roku, a może nawet dekady. Od lat nikt nie podjął się stworzenia tak obszernego i różnorodnego przeglądu twórczości polskich artystek przełomu XIX i XX wieku.

W 1991 r. w warszawskim Muzeum Narodowym miała miejsce wystawa „Artystki polskie". Przełomowa, bo był to pierwszy w kraju pokaz twórczości kobiet od średniowiecza do współczesności. „Stawiano pytania: sztuka kobiet – co to za kryterium?" – wspominała po latach Agnieszka Morawińska, kuratorka tej wystawy. „Nawet moje muzealne koleżanki nie były przekonane do tego pomysłu".

Od tego czasu upłynęło prawie 35 lat. Wiemy o wiele więcej o twórczości polskich artystek. Odbyło się wiele ważnych wystaw, by wymienić tylko niedawne prezentacje monograficzne Julii Keilowej w Muzeum Warszawy, Marii Nicz-Borowiakowej w Muzeum Narodowym w Poznaniu i Anny Bilińskiej w stołecznym Muzeum Narodowym, ekspozycję w tym samym muzeum poświęconą XIX-wiecznym rzeźbiarkom, czy otwartą niedawno w warszawskiej Królikarni wystawę na temat twórczości polskich uczennic wybitnego francuskiego rzeźbiarza Antoine'a Bourdelle'a.

Można by sądzić, że obecność kobiet w polskiej historii sztuki staje się czymś oczywistym. Wzbudza to zresztą dość zabawne reakcje niektórych artystów czy krytyków przerażonych rozpadem *status quo*, które dawało im uprzywilejowaną pozycję. Jednak dzieła artystek w naszych muzeach i galeriach, zwłaszcza tworzących w przeszłości, to nadal wyjątek od reguły. Jeżeli nawet niektóre z nich weszły do kanonu, to, jak podkreśla Bożena Kasperowicz, kuratorka „Co babie do pędzla?!", nadal pokutuje przekonanie, że twórczość kobiet „w zestawieniu z dokonaniami ich kolegów po fachu jest wtórna i raczej nieciekawa". Przygotowana przez nią ekspozycja podważa obiegowe, niesprawiedliwe przekonanie o braku „wielkich" artystek.

Wyjście z cienia

Muzeum Narodowe w Lublinie przygotowało imponującą ekspozycję: znalazło się na niej ponad 500 prac 133 artystek: obrazów, rzeźb, rysunków i grafik. Pochodzących z polskich oraz zagranicznych kolekcji prywatnych i publicznych. Co więcej, znaczna część tych prac nie była dotychczas eksponowana. To pierwszy w obecnym stuleciu tak obszerny pokaz sztuki kobiet w naszym kraju. Prowokacyjnie, ale też ryzykownie zatytułowany.

Maria Chmielowska, Alegoria sztuki, 1904 r.

Twórcy wystawy sięgnęli po zapomniane już szczęśliwie słowa: „Nie cierpię malujących bab! Dłubie, nudzi, jakby pończochę robiła. Co babie do pędzla!". Ich autorem jest Kazimierz Sichulski, ceniony malarz Młodej Polski, znany przede wszystkim z dzieł poświęconych Huculszczyźnie. Dotyczyły one Olgi Boznańskiej, artystki, która osiągnęła uznanie, także międzynarodowe, o którym Sichulski mógł tylko pomarzyć. „Obrazy jej przyjmowane są chętnie na wszystkich największych europejskich wystawach" – pisał w 1896 r. Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

Samą ekspozycję podzielono na dwie części. Pierwsza, „Wychodzenie z cienia", dotyczy lat 1850-1918. Drugą, „Pokolenie wyzwolenia", zamyka rok 1950. Jednak najważniejszą cezurą jest rok 1939, wybuch wojny i dramat wielu artystek, zwłaszcza żydowskiego pochodzenia.

Obie części otwierają autoportrety. Można zobaczyć, w jaki sposób kobiety kreowały swoje wizerunki. Czasami podkreślały, że są artystkami, przedstawiając siebie z paletą i pędzlem w ręce. Malowały siebie z rodziną, jak Aniela Pająkówna, która sportretowała się córką, przyszłą pisarką Stanisławą Przybyszewską. Portretowały się wreszcie jako samodzielne, pewne siebie kobiety, bywało, że wyzwolone, jak Wiktoria Goryńska, którą zobaczymy w sportowym stroju, z telefonem w dłoni. Olga Boznańska pozostawiła po sobie ok. 30 autoportretów. Niewielu artystów i artystek tak często, szczerze, a nawet brutalnie studiowało swą twarz.

Możliwość nauki

Linda Nochlin w słynnym tekście „Dlaczego nie było wielkich artystek?" przekonywała, że nie należy pytać o to, dlaczego nie zaistniały kobiece odpowiedniki wielkich artystów-mężczyzn, jak Michał Anioł, Rembrandt czy Picasso. Trzeba skupić się na społecznych i kulturowych przyczynach tego stanu rzeczy.

Zofia Lewicka, Portret Paryżanki, po 1905 r.

MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE X3

Alfonsa Kanigowska, Dziewczyna w zielonej bluzce, 1. poł. XX w.

Znaczenia nie miały bowiem „gwiazdy, nasze hormony i cykl miesięczny, lecz instytucje i system edukacji – edukacji rozumianej jako wszystko, czego doświadczamy od chwili przyjścia na ten świat, pełen znaczeń, symboli, znaków i sygnałów".

Lubelska wystawa pokazuje, jak ważny był system, w którym artystki funkcjonowały, z edukacją na czele, w której przez stulecia odmawiano kobietom m.in. studiowania aktu, a tym samym nabycia umiejętności, która pozwalałaby tworzyć malarstwo historyczne czy mitologiczne, umieszczane najwyżej w hierarchiach artystycznych, dające prestiż, zamówienia publiczne, dochody. Jest opowieścią o historii emancypacji kobiet, które zapragnęły tworzyć, pokonując rozmaite ograniczenia. Znalazły się na niej prace Anny Rajeckiej, stypendystki Stanisława Augusta Poniatowskiego, związanej przez większość życia z Paryżem, pierwszej Polki wystawiającej na słynnym Salonie paryskim. Henryki Beyer, autorki kunsztownych martwych natur, założycielki pierwszej w kraju szkoły malarskiej dla kobiet. Pokazano też niewielki portret autorstwa Elisabeth Jerichau-Baumann, mało znanej w Polsce artystki, urodzonej w Warszawie w 1818 r. i uznawanej dziś za jedną z najważniejszych postaci w duńskiej sztuce XIX w. Jednak radykalna zmiana związana jest z artystkami urodzonymi w większości w latach 60. XIX w., jak Olga Boznańska, Maria Dulębianka czy Tola Certowicz, jedna z najciekawszych rzeźbiarek polskich II poł. XIX w.

Było to pierwsze pokolenie kobiet, które zdobyło nie tylko wykształcenie artystyczne, ale też weszło w krajowy i międzynarodowy obieg. Szlak przetarła m.in. niewiele od nich starsza Anna Bilińska, która najpierw uczęszcza na lekcje rysunku i malarstwa prowadzone przez Wojciecha Gersona w Warszawie, a potem wyjeżdża do Paryża i wstępuje do tamtejszej prywatnej Académie Julian. Wystawi z powodzeniem, w tym na paryskim Salonie.

Kluczowe dla pojawienia się większej grupy artystek było właśnie powstanie prywatnych szkół, jak prowadzone od 1867 r. kursy Gersona czy organizowane od 1868 r. w Krakowie Kursy dla Kobiet dr. Adriana Baranieckiego. To one dawały podstawy wykształcenia, potem kontynuowanego w uczelniach, przede wszystkim w Paryżu, rzadziej Monachium, Wiedniu czy Petersburgu.

Jednak na dostęp do uczelni publicznych kobiety musiały czekać do następnego stulecia. Skorzystało z niego kolejne pokolenie artystek, urodzonych przede wszystkim w ostatniej dekadzie XIX w., jak Katarzyna Kobro, Olga Niewska czy Zofia Stryjeńska. Wtedy też nastąpił ogromny wzrost liczby artystek – szacuje się, że przed drugą wojną działało ich w Polsce ok. 800. Zmienia się ich status społeczny, także w wymiarze ekonomicznym.

Zachowanie w pamięci

Lubelska wystawa pokazuje, jak ogromnie różnorodna w tym okresie była twórczość polskich artystek. Od przywiązanych do tradycji, wiernych zasadom sztuki akademickiej, czasami odwołujących się do sztuki dawnej, po otwarte na nowe nurty i zjawiska, współtworzące radykalną polską awangardę. Zresztą można odnieść wrażenie, że te ostatnie poszukiwania w Lublinie zostały trochę zepchnięte na ubocze. ↦

MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

Jadwiga Przeradzka-Jędrzejewska 1902-1983, Autoportret, lata 40. XX w.

Ważne miejsce na wystawie zajmują prace tych, które już weszły do kanonu naszej sztuki: od Anny Bilińskiej i Olgi Boznańskiej po Teresę Żarnower, Hannę Rudzką-Cybisową i Marię Jaremę. Jednak wystawa jest przede wszystkim upomnieniem się o twórczość, która przez całe dekady była pomijana. Szczególne miejsce na niej zajmuje Mela Muter, jedyna artystka, której prace można zobaczyć na obu częściach wystawy. Była swoistym łącznikiem między pokoleniami. O dekadę młodsza od Olgi Boznańskiej, na stałe osiadła w Paryżu. Wchodzi tam w samo centrum życia artystycznego, ale też literackiego. Otwarta na nowe zjawiska w sztuce, wyciągnęła własne lekcje z malarstwa Paula Gauguina, ale też z eksperymentów fowistów. A jej twórczość była doceniana zarówno przez krytyków, jak i publiczność. Po drugiej wojnie coraz bardziej popadała w zapomnienie – zmarła w 1967 r. W ostatnich dekadach zaczęto ją przypominać, ale może dopiero teraz znajdzie się dla niej miejsce w historii sztuki: niedawno jej obraz znalazł się na stałej ekspozycji w paryskim Musée d'Orsay.

Z kolei Maria Dulębianka była do tej pory przede wszystkim znana jako działaczka społeczna i towarzyszka życia Marii Konopnickiej oraz emancypantka, zabiegającą o prawa kobiet, także pragnących tworzyć. Jej twórczość pozostawała na uboczu. Na wystawie wreszcie można zobaczyć szerszy wybór jej prac. Była bardzo ciekawą malarką, podejmującą tematy społeczne, ale też wrażliwą portrecistką. Jej obraz przedstawiający Konopnicką, intymny, jest jednym z najpiękniejszych wizerunków zgromadzonych w Muzeum Narodowym.

Wystawa daje też szansę odkrycia twórczości znanej jedynie wąskiemu gronu specjalistów. Jednym z tych odkryć są obrazy urodzonej w 1871 r. Anny Berent, autorki portretów, ale też monumentalnych kompozycji, jak pokazane w Lublinie „Przebudzenie wiosny", poświęconych przemijaniu, starości, śmierci. Surowych, chwilami wręcz ascetycznych, pokrewnych malarstwu Duńczyka Ejnara Nielsena i innych skandynawskich twórców. W polskiej sztuce to głos odrębny, wyjątkowy i na pewno zasługujący na zauważenie.

Utrwalanie wiedzy

Wystawa „Co babie do pędzla?!" mówi o rewolucyjnej zmianie, jaka zaszła w polskiej sztuce w latach 1850-1950. Jednak padają na niej gorzkie słowa, podsumowujące doświadczenie artystek z „pokolenia wyzwolenia". Wydawało się, że spełniło się ich marzenie „o poważnym i równym traktowaniu, ocenianiu ich twórczości bez kontekstu płci i protekcjonalnego tonu. Jednak bardzo szybko ci, którzy kształtowali narrację o sztuce najnowszej, konsekwentnie pomniejszali bądź pomijali kreatywną rolę i znaczenie wybitnych postaci kobiecych, spychając je na margines".

Czy za sprawą ekspozycji zmieni się polski kanon sztuki, a przynajmniej zostaną wprowadzone do niego istotne korekty? Trudno powiedzieć. Wiele prac wypożyczonych na wystawę pochodzi ze zbiorów publicznych i jest bardzo prawdopodobne, że wróci do muzealnych magazynów. Będą tam czekały, aż ktoś ponownie postanowi przygotować wystawę sztuki kobiet.

Tymczasem, jak przed laty pisała francuska historyczka sztuki i kuratorka Camille Morineau, trzeba doceniać ekspozycje czasowe poświęcone twórczości kobiet, jednak kluczowe jest to, co jest pokazywane na wystawach stałych. One bowiem nie tylko określają tożsamość muzeum, ale kształtują historię i obowiązujący kanon. Dlatego też Morineau w 2009 r. przygotowała ogromną prezentację „elles@centrecentrepompidou". Przez dwa lata wielkie paryskie muzeum opowiadało o sztuce XX w. wyłącznie poprzez prace kobiet. To one zajęły miejsce Matisse'a, Picassa, Pollocka i Warhola. Zapewne żadne polskie muzeum nie zdecyduje się na tak radykalny krok, ale być może jest to niezbędne, by przełamać przyzwyczajenia utrwalone przez dekady, a nawet wieki.

© PIOTR KOSIEWSKI

CO BABIE DO PĘDZLA?! ARTYSTKI POLSKIE 1850-1950, Lublin, Muzeum Narodowe, 26 kwietnia – 5 października 2025 r.

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM **www.radiokrakow.pl**

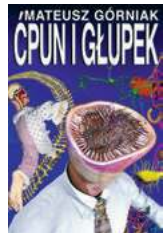

▪ *Mateusz Górniak,* **ĆPUN I GŁUPEK**, *Convivo*

Mateusz Górniak, pisarz i dramaturg młodego pokolenia, debiutował trzy lata temu świetnie przyjętym przez krytykę „Trash story" – pulpową powieścią, której narratorzy z ulicznym luzem prowadzili nas od banalnych słów i rzeczy, przez chłopacką czułość, aż po odpryski prawdy o istocie współczesności. Potem były „Dwie powieści ruchu", w których obok niepodrabialnej dykcji debiutu znajdowaliśmy aktualizację tradycji XX-wiecznego oporu wobec systemu – nawiązania do twórczości beatników, Jeana Geneta, czy – szerzej – literatury włóczęgowskiej. Jeśli lektura tych szybkich i migotliwych książek mogła zostawiać czytelnika z wątpliwościami, to dotyczyły one przede wszystkim tego, czy Górniak zdoła kiedyś udźwignąć konstrukcję bardziej rozbudowanego świata. Wydany niedawno „Ćpun i Głupek" rozwiewa te obawy. Autor wciąż lepi tu z kulturowych odpadów, a jednocześnie mocniej stawia na fabułę. Powieść pomyślana jest jako ojcowsko-synowski dwugłos, z którego wyłania się opalizujący obraz marzeń i traum dwóch straconych pokoleń. Spod wulgarności przebijają tu lęk, przedziwny rodzaj ciepła i druzgocący wręcz smutek. Tym razem we frazie słychać jednak nieco mniej cytatów i raperskiego pogłosu. Zamiast tego dostajemy głębsze zaczepienie w rzeczywistości i uważniejsze wędrówki po jej nadpsutych tkankach. Bez szkód dla języka. Bo choć zdarzają się w tej książce zdania lekko efekciarskie, to przeważają takie, w których naprawdę ogniskuje się świat. © ADAM WOŹNIAK

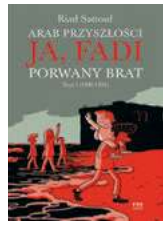

▪ *Riad Sattouf,* **JA, FADI. PORWANY BRAT**, *przeł. Olga Mysłowska, Kultura Gniewu*

Komiksy Riada Sattoufa notorycznie porównuje się do „Mausa" Arta Spiegelmana i „Perspepolis" Marjane Satrapi. To tyleż skuteczne marketingowo, co zwyczajnie trafne. W końcu francusko-syryjski twórca w „Arabie przyszłości" – wzorem Spiegelmana – podjął się próby opisania i zrozumienia przyczyny zaburzonej relacji z ojcem. Jednocześnie – jak Satrapi – opowiadając skromną, osobistą historię, naszkicował obraz skonfliktowanego muzułmańskiego świata kształtowanego przez tyranów: Mu'ammara al-Kaddafiego i Hafiza al-Asada. O ile Sattouf w autobiograficznej heksalogii przedstawiał polityczne, obyczajowe i rodzinne zawirowania z punktu widzenia swoich wspomnień, o tyle narratorem komiksu „Ja, Fadi. Porwany brat" uczynił swojego młodszego brata. Historia porwanego przez ojca i zmuszonego do dorastania w Syrii Fadiego jest zarówno komplementarną częścią „Araba przyszłości", jak i osobnym dziełem, w którym przecinają się najważniejsze motywy i immanentne cechy twórczości Sattoufa: dosadny humor punktujący absurdy syryjskiej codzienności, ekspresywna kreska zadłużona u francuskich satyryków oraz narracja o klinczu obyczajowości europejskiej i bliskowschodniej, które, co ważne, wcale nie sytuują się na antypodach. © REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

▪ *Naomi Watts,* **JUŻ SIĘ NIE BOJĘ! WSZYSTKO, CZEGO NIE MÓWIĄ NAM O MENOPAUZIE**, *przeł. Aleksandra Weksej, Znak Literanova*

Wiele było już sytuacji, w których celebryci uczyli nas, jak żyć. Teraz Naomi Watts, aktorka znana z filmów takich jak „Mulholland Drive" czy „Twin Peaks", nominowana do Oscara za „21 gramów" i „Niemożliwe", napisała książkę o menopauzie. Słuszne oburzenie schowajmy do kieszeni, bo to pozycja, której warto poświęcić uwagę. Watts na chwilę przed czterdziestką doświadczyła przedwczesnej perimenopauzy (czyli tego, co potocznie nazywamy menopauzą). Książka jest pamiętnikiem, zapisem fragmentu życia i osobistych doświadczeń, przeplatanych wypowiedziami lekarek i ekspertów. Kolejne rozdziały wieńczą poradnikowe punkty. Aktorka wpuszcza nas za kulisy swojej codzienności i opowiada o ciele, które walczy o płodność, które męczą uderzenia gorąca, frustrują problemy z pamięcią, irytują słabe włosy i za ciasne jeansy. Na kilkuset stronach naprzemiennie wkurza się i żartuje. W pewnym momencie dzwoni również do matki. Pełna żalu pyta, dlaczego nie została przygotowana na tę część kobiecości. „Nie rozmawiałam z tobą o tych sprawach, bo moja matka nie rozmawiała o tym ze mną", słyszy. Jeśli na początku hollywodzka aktorka wydaje się odległa, nagle staje się wtedy jedną z nas. Opowieść Watts przyciąga również lekkim stylem, jest w sam raz na słoneczne popołudnie na balkonie, plażowy leżak czy piknikowy koc. ©℗ EWELINA BURDA

Nasze podkasty się rozwijają!

Dotychczasowe cykle tematyczne dostały własne kanały. W aplikacji, w której słuchasz podkastów, koniecznie odszukaj i zasubskrybuj:

PODKAST TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY KULTURA

TYGODNIK POWSZECHNY NAUKA

STRONA ŚWIATA JAGIELSKI & STORY

SZKOŁA UCZUĆ

Szczegółową ramówkę znajdziesz na stronie TygodnikPowszechny.pl/Podkast

Weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ukryte pragnienia

ANITA PIOTROWSKA

To kino łamie wszelkie narracyjne schematy, a zarazem opowiada coś prawdziwego o ludzkiej naturze i jej paradoksach.

Autor „Mizerykordii" należy do tych twórców, którzy nie lubią wozić drzewa do lasu ani lać wody nad jeziorem, stąd jego eksterytorialna pozycja na mapie europejskiego kina. Filmy Alaina Guiraudie, jakkolwiek mocno wrośnięte w naturalne pejzaże, wolą zanurkować w głąb, w sfery głęboko ukryte przed ludzkim spojrzeniem. Stąd jego kino tak często wodzi na manowce: fabularne, psychologiczne, gatunkowe. Bywa porównywane do sennych fantasmagorii, które rządzą się swoją logiką – przede wszystkim napędzaną przez pożądanie.

Nie jest więc przypadkiem, że to Georges Bataille, jego filozofia erotyki i śmierci, stanowi mocny punkt odniesienia dla francuskiego reżysera, podobnie jak fascynacja samym aktem patrzenia. Twórca „Nieznajomego nad jeziorem" zamiast ilustrować akademicki dyskurs, stworzył własny język filmowy, równocześnie zmysłowy, niepokojący i zabawny. Jest tylko jeden warunek: porzućcie wszelkie oczekiwania, bo u Guiraudie nawet grzyby nie są tym, czym się wydają.

W jego pierwszym głośnym filmie gejowska plaża nudystów, miejsce pożądliwych spojrzeń i seksualnych łowów, odsłaniała w pełnym słońcu swoją mroczną stronę. Nie tylko jako scena dokonywanych tam po cichu zbrodni, ale pojedynczych samotności, straceńczego głodu bliskości, represjonowanych na co dzień pragnień. Jednocześnie ów kręcony nad jeziorem podglądacki thriller, w rzeczy samej bardzo cielesny i dosłowny, nie zamykał się w queerowej szafie.

Był na swój sposób czysty i dużo lepiej przyswajalny niż późniejsze tytuły Guiraudie, pełne naturalizmu „W pionie" czy satyryczny „Biegacz, dziwka, Arab, mąż". I kiedy już wydawało się, że ich twórca zaplątał się we własnych prowokacjach i ekscentryzmach, pojawiła się „Mizerykordia". Czyli kino, w którym powrót do rodzinnej wioski łamie wszelkie narracyjne schematy, a zarazem opowiada coś prawdziwego o naturze ludzkiej i jej paradoksach.

Enigmatyczny Jérémie (w tej roli Félix Kysyl) przyjeżdża po dziesięciu latach z Tuluzy na pogrzeb byłego pracodawcy, właściciela miejscowej piekarni. Kamera długo celebruje ten powrót, filmując z wnętrza auta malownicze krajobrazy. Lecz gdy omiata wzrokiem gapiących się na przyjezdnego lokalsów i podupadłe domy tej oksytańskiej dziury, daje do zrozumienia, że było od czego uciekać. Tu jednak oczywistości się kończą, bowiem już pierwsze odwiedziny w domu zmarłego i jego pogrzeb komplikują sytuację.

Kiedy wdowa (Catherine Frot) pokazuje Jérémiemu rodzinny album ze zdjęciami, albo gdy miejscowy ksiądz (Jacques Develay) wygłasza mowę o potędze miłości domyślamy się, że przyjezdnego łączyło z nieżyjącym coś więcej niż przyjaźń czy zwykła relacja służbowa. Ale i to nas zwodzi. Jérémie niespodziewanie decyduje się zostać na dłużej w wiosce, żeby – jak mówi – „nadrobić zaległości". Rozliczyć się z kimś? A może przejąć piekarnianą schedę lub zająć miejsce zmarłego bądź jego syna Vincenta, któremu ewidentnie przeszkadza ta wizyta? I czy główny bohater pozostanie w tej historii ofiarą, czy raczej tricksterem bądź intruzem? Guiraudie co i raz zarzuca nam jakąś przynętę – w końcu o ukrytych pragnieniach jest to film.

Reżyser bawi się nimi z chłodną precyzją i kamienną twarzą. Nawet gdy dochodzi do aktu przemocy (znowu skojarzonej z męskim pożądaniem), na grobie schowanym w lesie wyrosną rychło... smardze, przysmak lokalnych stołów. Ksiądz, który przygląda się z boku wydarzeniom, okaże się poniekąd współwinnym zbrodni, czego efektem jedna z najdziwniejszych scen spowiedzi, jakie dane mi było zobaczyć w kinie. Podobnie sceny przesłuchań w wykonaniu mało rozgarniętej żandarmerii czy nader podejrzliwej rodziny ofiary. I tu, nie odsłaniając zbyt wiele, trzeba wytłumaczyć, skąd w ogóle tytuł filmu. Otóż mizerykordią, krótkim średniowiecznym sztyletem, rycerze dobijali swoich wrogów, uznając to za gest chrześcijańskiego miłosierdzia. We francuskim filmie nabiera ona bardziej złożonego i wręcz humorystycznego znaczenia. Oto bowiem Jérémie i ksiądz uczestniczą w osobliwej grze, w której stawką jest poczucie winy, czyjeś ocalenie i oczywiście pożądanie.

Guiraudie i wszyscy jego aktorzy potrafią nadać karkołomnemu scenariuszowi wiarygodny kształt. Pracuje na to także miejsce, pogrążone w jesiennej smucie,

MATERIAŁY PRASOWE VELVET SPOON

MIZERYKORDIA
(Miséricorde) – reż. Alain Guiraudie. Prod. Francja/ /Hiszpania/ Portugalia 2024. Dystryb. Velvet Spoon. W kinach od 13 czerwca.

Alain Guiraudie, francuski reżyser i scenarzysta, zwrócił uwagę swoim drugim filmem, „Nieznajomy nad jeziorem" (2013), nagrodzonym za reżyserię w canneńskiej sekcji Un Certain Regard. Po mniej udanych tytułach („W pionie", „Biegacz, dziwka, Arab, mąż") powrócił do formy „Mizerykordią", uznaną za najlepszy film festiwalu w Valladolid i uhonorowaną tam za scenariusz.

Kadr z filmu „Mizerykordia"

biologicznym rozpadzie i prowincjonalnym zastoju, sfilmowane na surowo przez Claire Mathon, nie pierwszy raz współpracującą z tym reżyserem. Znaną także ze zdjęć do „Portretu kobiety w ogniu", „Małej mamy" czy „Saint Omer", równie uwrażliwionych na klimat miejsc.

W tej szorstkiej scenerii uprawia Guiraudie dowcipny dialog z religią w jej „dostojewskim" wydaniu. Dopytuje się, czy brak kary nie jest czasami karą dużo dotkliwszą, albo co się może skrywać pod miłosierdziem. A pozornie wyzbyty z charyzmy główny bohater potrafi wciągnąć widza w świat swoich obsesji, nawet wpatrując się w wyświetlacz budzika podczas bezsennych nocy. Nie mówiąc o nocnych koszmarach, na poły wizyjnych, na poły całkiem realnych. I chociaż tak wiele się w „Mizerykordii" tłumaczy „siłą pożądania", jest to historia wystarczająco pojemna, by nie zamknąć jej w jakichś freudowskich kliszach.

I bynajmniej nie w wymiarze czysto symbolicznym jest to film o... grzybach. Na przykład w scenach grzybobrań, chwilami dość groteskowych, zważywszy na krwawą zawartość leśnej ściółki. Guiraudie ożywia na ekranie także ludzką grzybnię, szczepioną niewidzialnymi gołym okiem strzępkami. Ich ciasny splot zdaje się zaskakiwać same postacie dramatu, działające czasem pod wpływem nieuświadomionych impulsów i zapośredniczonych pragnień.

Okazuje się, że scenariusz czerpie z powieści reżysera, wydanej w 2018 r., traktującej o zabójstwie kolegi z dzieciństwa i częściowo inspirowanej dorastaniem na francuskiej prowincji. Katolickie wychowanie odcisnęło na nim spore piętno, niekoniecznie pozytywne, co w filmie daje się wyczuć, aczkolwiek to wewnętrznie pogmatwana postać księdza jest, jak Guiraudie zaznacza w wywiadach, mu najbliższa. Oraz sam koncept zbrodni i kary śmiało tutaj zderzony z witalistyczną koncepcją życia, rozkładu i odrodzenia.

A wszystko sytuuje się gdzieś na przecięciu kina Davida Lyncha i Bruno Dumonta, czyli dwóch biegunowo różnych ekscentryków, których coraz mniej na dzisiejszych, coraz bardziej sformatowanych ekranach. ©

Lektor: *Forma mała, lecz pojemna*

▪ *Tobias Wolff*
OTO POCZĄTEK NASZEJ HISTORII. OPOWIADANIA WYBRANE
Wybrał, przełożył i przedmową opatrzył Krzysztof Umiński. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, ss. 340.

„Rondo kapelusza Claire zafalowało. Widać przyszła jej do głowy myśl, z którą się zgadzała". Ech, napisać takie zdania, a potem tak je przełożyć, by wybrzmiały w polszczyźnie! Niby drobiazg, ale przecież z nich składa się życie.

Z drobiazgów i małych form, takich jak opowiadania. Które bywają jak doskonały rysunek, gdzie każda kreska jest niezbędna, bo współtworzy całość. Kreskę stanowi tutaj zdanie. „Wolff buduje sceny przy użyciu prostych słów i minimalnej liczby sylab – pisze tłumacz, który nie tylko ułożył tę książkę, ale też uzgodnił jej kształt z autorem, wybierając 18 tekstów z lat 1976-2007, opublikowanych w czterech zbiorach. – Wiele jest tu zwyczajnych zdań informujących o tym, że ktoś nadgryzł hamburgera, zatrzasnął drzwi, pokręcił głową albo uniósł wzrok. Czasami jednak ta proza uzyskuje szczególną zwartość, sprężystość i rytm, i staje się bliska poezji. Dzieje się tak zwłaszcza tam, gdzie zza powszedniości zaczyna wyzierać sedno życiowego dramatu. Jak gdyby waga zdarzeń zmuszała zdanie do najwyższego wysiłku".

Mamy więc łudzącą przesłonę zwyczajności, niepozorne sytuacje nabierające niespodziewanej wagi. Mamy fabuły czasem rozbudowane, a czasem bardzo ascetyczne. Humor bliski czarnej grotesce, podszyty niepokojem, jak w „Usterce na pustyni". Tobias Wolff (rocznik 1945), znany u nas dotąd z autobiograficznych „Chłopięcych lat" sfilmowanych z Robertem De Niro i Leonardem di Caprio, to kolejny mistrz opowiadania, którego ostatnio poznajemy – a przy tym nauczyciel dobrze już u nas znanego George'a Saundersa.

Prezentacja Wolffa wpisuje się w program świetnej amerykańskiej serii Czarnego. Serii wielopokoleniowej: znaleźli się w niej dotąd John Cheever (1912-1982), Carson McCullers (1917-1967), doceniona pośmiertnie Lucia Berlin (1936-2004), młodo zmarły Breece D'J Pancake (1952-1979), Afroamerykanka Deesha Philyaw (1971) i Nicole Krauss (1974), a ostatnio mistrzyni redukcji Lydia Davis (1947) i Lorrie Moore (1957). W zapowiedziach świadek wojny wietnamskiej Tim O'Brien (1946). A tłumacz Wolffa, Krzysztof Umiński, jest, przypomnę, autorem książki „Trzy tłumaczki", będącej nie tylko pięknym portretem Joanny Guze, Marii Skibniewskiej i Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej, ale też ważnym przyczynkiem do dziejów polskiej kultury w czasach Peerelu. ©℗

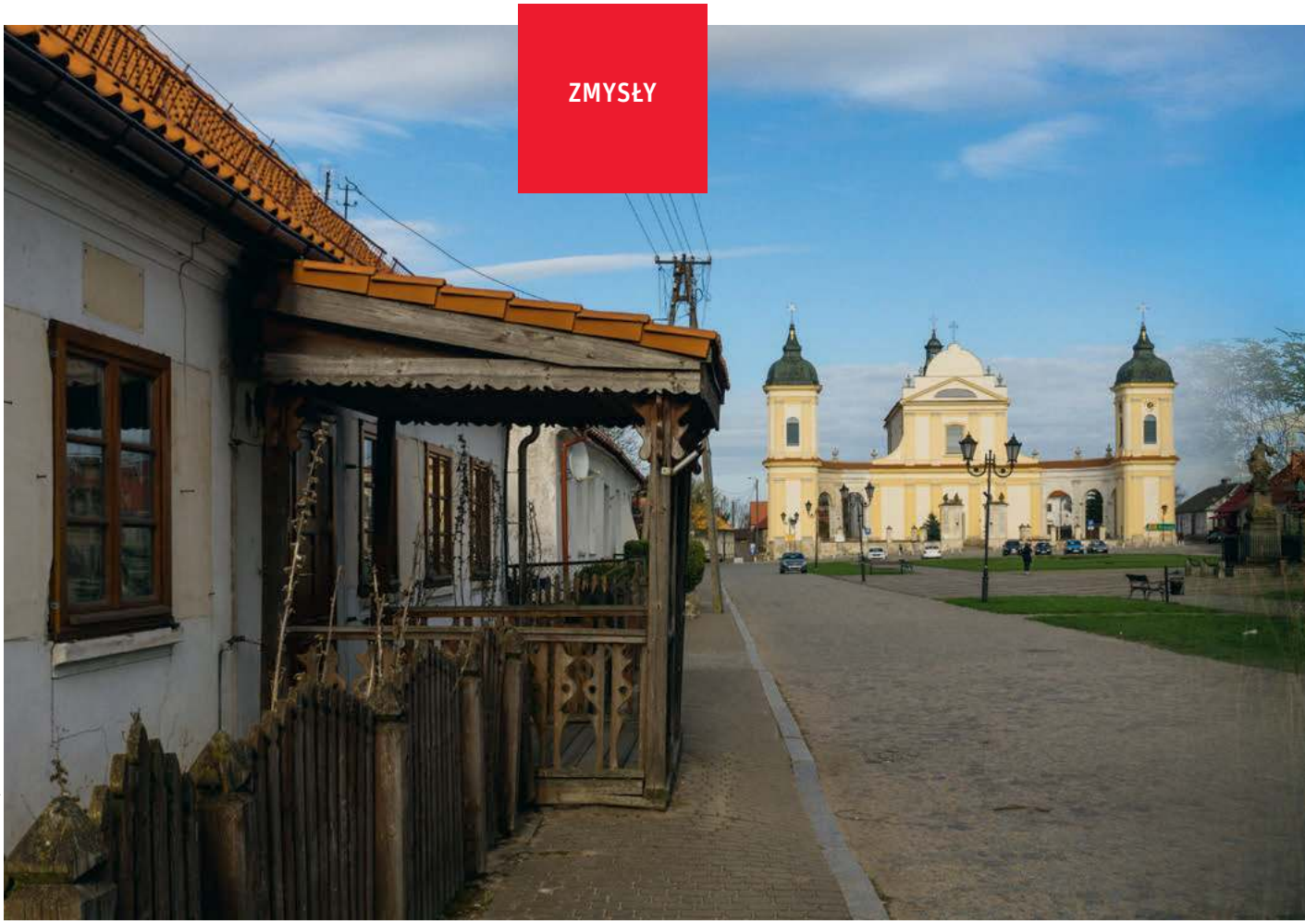

ARTUR BOCIARSKI / ADOBE STOCK X2

Kościół św. Trójcy od strony rynku, rzeka Narew i Wielka Synagoga (dalej), Tykocin

GEMMA

Byłem mężem, ojcem i synem, byłem wszystkim, czym powinienem być, między Cerkwią, Synagogą i Bazyliką w Tykocinie.

PAWEŁ SOŁTYS

„GEMMO, MAGICZNA MOJA, stworzona ku zdrowiu, ku uciszeniu histerii, czarnej macicy, wędrującej po ciele kobiecym w postaci długorękiej żaby, w ciemnościach wnętrzności, dusząc to serce, to wątrobę, to myśl". Taką sobie powtarzałem w głowie heretycko-bizantyjską mantrę, łażąc po Tykocinie. A chodziłem od cerkwi św. Mikołaja do wielkiej, największej zachowanej na Podlasiu synagogi i potem do kościoła Świętej Trójcy z freskami mistrza Ecksteina, które w ciszy pustej świątyni patrzą za tobą z tęsknotą przynależną tylko świętym baczącym na grzeszników.

Ta gemma w moich myślach dziś zwana jest przemyską. Choć stworzono ją z górą tysiąc lat temu, w sercu świata, w Konstantynopolu. Z jednej strony patrzy z niej meduza, okolona wężami, z krzyżem nad głową, dwiema kreskami okrutnej dobrej nowiny. Z drugiej strony Matka Boska, czyli Theotokos, czyli Bogurodzica przygląda się gapiom, w maforionie – szacie maryjnej otoczonej kultem w Bizancjum od V wieku. Tej samej, którą przy pierwszej wyprawie Rusów na Carogród zanurzono w Bosforze i sztorm potopił napastników. Wokół Dziewicy wije się grecki napis: „Hystero czarna uczerniona, uspokój się jak wąż, ucisz jak morze, ułagódź jak owieczka i jak kot odpocznij". Bo gemma jest amuletem, chroni od kobiecych chorób, łagodzi połóg, wiąże ramiona wędrującej w czerni ciała demonicznej żaby.

WIĘC CHODZIŁEM PO TYKOCINIE w towarzystwie przyjaciół, wąchałem Narew podchodzącą do domów i myślałem o kobietach, które zostawiłem w Warszawie, o mojej żonie, która

Awers gemmy bizantyjskiej ze zbiorów Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI MUZEUM

piękna i mądra uratowała mi życie, o mojej córce na progu nastolęctwa z nienapisaną jeszcze mapą życia, o mojej spopielonej matce pod płytą grobowca na wolskim cmentarzu. W myślach brałem gemmę w palce i prosiłem ją słowami tysiącletniego zaklęcia o spokój i zdrowie dla moich żyjących dziewczyn, o opiekę nad moją bezcielesną już matką. Byłem mężem, ojcem i synem, byłem wszystkim, czym powinienem być, między Cerkwią, Synagogą i Bazyliką zbudowaną przez Jana Henryka Klemma, saksońskiego architekta, pułkownika wojsk polskich, totumfackiego Branickich.

Towarzyszył nam Mirek Naumiuk, cieśla, artysta, aktor lokalnego awangardowego teatru. Syn największego chyba artysty ludowego Podlasia. Człowiek poważny, dobry, nietuzinkowy. Pracownik muzeum tykocińskiego, który w synagodze odtworzył to, co Wehrmacht zniszczył nienawiścią, stajniami, niemieckim parszywieniem świata. Mirek nauczył się hebrajskiego, nie na tyle, by przekładać Torę, ale na tyle, by nikt z odwiedzających nie zarzucił mu blagi, wiedział wszystko i umiał to opowiedzieć językiem nieakademickim. Szedłem obok niego, jak obok mądrego, statecznego brata, którego nigdy nie miałem, z heretycką gemmą w myślach, z rozżarzonym węglem heliotropu, najpewniej indyjskiego.

DROGA TEGO KAMIENIA z Indii przez Bizancjum do Przemyśla rymowała się z naszymi ścieżkami. Dłuższą część jego podróży trzeba sobie domyślić. Sam heliotrop, zielony z krwawymi nakropieniami, już dużo wcześniej uważano za magiczny, miał ofiarowywać niewidzialność tym, którzy nosili go na sercu. Jak dostał się do Bizancjum, można tylko domniemywać, ale nie takie cuda za dynastii macedońskiej, za największego rozkwitu, spływały do miasta. Tam rzemieślnicy, i to niepośledni, biegli w swojej robocie, w mistyce, w greckiej – pogańskiej na poły jeszcze tradycji, z kamienia zrobili amulet. Przedziwny mieszaniną dawnych wierzeń i prawosławnej ikonografii.

Nad San musiała gemma przybyć z Włodzimierzem Wielkim, a pewniej jeszcze: z Jarosławem Mądrym i jego synami, którzy władali miastem prawie 40 lat. A może jeszcze

↦

↦ później: kiedy Ruryk Rurykowicz, a potem jego brat Wołodar, rządzili przemyskim księstwem.

Ciemności kryją następne, bagatela, 800 lat. Czy złożony był w jakiejś świątyni, co wątpliwe, czy nosił go ktoś ku ochronie, czy raczej przeleżał w ziemi, po którejś ze zmian władztwa, po którymś z pożarów, po którymś z upadków?

Jacek Błoński prześledził i opisał jej „współczesną" wędrówkę. W 1897 r. grupka dzieci bawiła się na kopcu żwiru przywiezionego z rzeki. Wśród nich była Hania Szumańska. I czy miała szczęście, czy amulety co pewien czas chcą poczuć ciepło ludzkiego ciała, to wykopała gemmę z pryzmy. Są tacy, którzy mówią, że ten żwir to przypadek, a amulet leżał w ziemi, gdzie wcześniej była cerkiew. Tego też się już nikt nie dowie. Hania zachwycona kamieniem z wizerunkami i pismem, którego nie umiała odczytać, zaniosła go do domu, schowała w pudełku po cukierkach, w pojemniku na skarby, które wszystkie dziewczynki od zarania dziejów mają.

MOJA ŻONA MIAŁA TAKI w Milanówku, moja córka ma podobny: wypełniony morskimi muszelkami, przypinkami AC/DC i kamykami z Sardynii, moja matka miała taki w Gliwicach, wyściełany łzami dziewczynki porzuconej przez rodziców.

Hania miała brata Alojzego. Starszego, poważnego już gimnazjalistę i gdy wyjawiła mu swój sekret, dokonali wymiany. Gemmę magiczną wymieniono na kilkanaście kostek cukru. Gdy chodziłem po Tykocinie, gdy słyszałem szum Narwi, gdy słuchałem opowieści, czułem smak tych cukrowych sześcianów, tak jak pamięta się pierwszą watę cukrową, kupioną przez mamę na placu Unii Lubelskiej. Słodkie nic, znikające pod językiem szybciej, niż da się o tym pomyśleć.

Alojzy, jako mężczyzna wykształcony, miał przecież za sobą kilka klas klasycznego gimnazjum, wiedział już, jakim skarbem rozporządza. I kilka dni później zainteresował znaleziskiem Kazika Osińskiego, kolegę ze szkoły, o którym wiedziano, że zbiera stare rzeczy, taką ma przypadłość, pasję. Tu już doszło do transakcji, za niebagatelną sumę, dziesięciu halerzy.

Taki początek miała historia zbiorów braci Osińskich: Kazika i Tadeusza, która do dziś jest sercem kolekcji przemyskiego muzeum. Podobne amulety ma dziś tylko Maastricht i Efez. Bo stare zaklęcia działają paradoksalnie, stymulują szalone pomysły, każą braciom poświęcić życie przeszłości, gnieżdżą się w moich tykocińskich myślach, odmieniają drwiący z nich świat wężowym wizerunkiem, zaklęciem martwego języka.

O ZABITYCH JĘZYKACH ROZMAWIALIŚMY z Mirkiem: jakie to dziwne, że jeszcze niedawno pół miasta nazywało, kochało i przeklinało w mowie, której już nikt tu nie zna. Ja pewnie

mówiłem więcej, zawsze gadam z naddatkiem, żeby wyciągnąć coś od rozmówcy. Mirek był powściągliwy, mówił tyle, co wie, nie bajdurzył dla samej rozkoszy gadania.

Są takie dni, gdy niebo, zapach, wiatr i gęste trawy aż do linii lasu zabierają wszystkie przymiotniki, dla ludzi już zostaje mało, jakaś nędzna resztka. A przecież chciałoby się Mirkowi dodać jeszcze kilka, najlepiej niezwykłych, podlaskich, wydłubanych z sęków starych ludowych rzeźb, wytrąconych z modlitw w starocerkiewnym języku, wyszperanych na łęgach Narwi, w korzeniach olch.

Ale akurat brak, musi wystarczyć tyle, bo przy zmierzchu zeszliśmy do domu przyjaciół, piliśmy wino, ptactwo znad rzeki wtórowało naszym śmiechom, a każdy papieros wypalony na ganku przedrzeźniał księżyc wiszący nad Podlasiem jak amulet spraw najistotniejszych.

Odebrałem telefon, którego wolałbym nigdy nie odbierać, bo w telefonie głos cichy i pewny siebie zawiadamiał, że umarł Marcin Wicha i zrozumiałem, że amulety drwią z nas na tysiąc sposobów, bo gemma magiczna nie obroniła najlepszego z nas, tego, który całą tę historię umiałby opowiedzieć prościej i piękniej. Zrozumiałem, że prosiłem przedmiot o władzę nad światem, a i to niecelnie. Że przestrzeliłem tym razem.

NASTĘPNEGO DNIA POSZEDŁEM NA SPACER sam, wzdłuż bezsensownie zabetonowanej Narwi, bardzo wcześnie, obudziłem się przed wschodem słońca. I szedłem na wskroś, otumaniony rozpaczą i widziałem, że na krawędzi wzroku, za kącikiem oka, idzie ze mną Hilary Nussbaum, urodzony jako Hilel, ojciec i dziadek wielkich polskich naukowców, rabin. Jeden z tych, którzy uwierzyli w mit asymilacji, dobroczyńca styczniowych powstańców, głęboki przeciwnik chasydyzmu, piszący o nim tak pięknie, że można mieć serię wątpliwości, gdzie jego serce powinno znaleźć ukojenie. Rzeka szumiała jego głosem:

„Nie da się odtworzyć bólu, nie da się pamiętać bólu, można tylko go wspominać. Tak jest z bólem dziąsła, barku, nerek. Ale jest inny ból, którego cień jest cięższy od niego samego. Ból wstrzyknięty w serce jak felczerską igłą, kropla czarnej krwi wstrychnięta na zawsze. Niosą ją w sobie rodzice umarłych dzieci, beznodzy tancerze, ocalali z pogromów".

Nie umiałem mu nic odpowiedzieć, jego wnuków zabili Niemcy, zabili Rosjanie, jego martwe serce biło dla całych pokoleń. Ja miałem tylko swoją boleść, nic więcej. Suchą jak chrust. Od wielu dni nie padało.

© PAWEŁ SOŁTYS

Autor jest pisarzem, opublikował m.in. „Mikrotyki" (Nagroda Literacka Gdynia 2018), „Nieradość" i „Sierpień". Jako wokalista i autor piosenek posługuje się pseudonimem Pablopavo.

■ **Gemma bizantyjska na co dzień prezentowana jest na wystawie stałej w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej w Przemyślu.**

ARTUR BOCIARSKI / ADOBE STOCK // AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Warsztaty dziennikarskie w redakcji „Tygodnika"

OD PONAD MIESIĄCA razem z młodzieżą z dwóch krakowskich liceów pracujemy nad specjalnym numerem „Tygodnika", który ukaże się pod koniec czerwca. Oddajemy łamy młodym ludziom, którzy zgodzili się opowiedzieć o tym, co jest dla nich ważne. Wbrew pozorom, ich zainteresowania nie odbiegają tak bardzo od tego, czym na co dzień zajmuje się starsze kolegium redakcyjne. Czy sztuka współczesna ma wciąż siłę oddziaływania? Co jeszcze może nam powiedzieć fotografia? Skąd się biorą mikrotrendy? Jak nauczycielom udaje się wciąż łączyć pasję z koniecznością realizacji podstawy programowej? W jaki sposób znajomość historii wpływa na nasze życie? Po co uczyć się genetyki? Czy media społecznościowe mogą realnie wpływać na czytelnictwo?

OLIWIA ŚWIĄTEK I MAREK BEDNARZ

Podczas spotkań i dyskusji, prowadzonych przez Annę Goc i Monikę Ochędowską, wybraliśmy najciekawsze tematy, kończymy właśnie pracę nad tekstami, a za moment będziemy zastanawiać się nad ostatecznym kształtem numeru. Mieliśmy okazję zrobić wspólnie wywiad, posłuchać o pracy korespondenta zagranicznego, reporterki oraz fotoedytorki. Wiemy, jak wygląda cykl pracy redakcji, na czym polega narracja pisma, czym różni się news od reportażu i gdzie szukać ciekawych tematów. Mamy nadzieję, że to nie koniec naszej redakcyjnej przygody i że uczniowie kolejnych szkół, nie tylko krakowskich, będą mogli razem z nami pracować nad kolejnymi numerami. ©℗

OSHEE SPEAK UP

Projekt „Tygodnika Młodych" wspiera Oshee Speak UP

PAWEŁ

Bravo:
Prawda o Neapolu

Tysiąc pięćset lokali z jedzeniem i piciem na obszarze niecałego półtora kilometra kwadratowego. Z czego sporą część stanowią smażalnie. Ścisłe centrum Neapolu to koszmar, szkoda, że malowniczość tej nędzy i rozpaczy stała się turystycznym magnesem, zamykając drogę do skutecznej sanacji miasta dla dobra mieszkańców, choćby kosztem utraty części zysków z obsługi przyjezdnych. Ci bowiem zniosą wiele w imię egzotyki, dopisując zaduch i ścisk do listy chwilowych przeżyć. Zresztą w Kalkucie widzieli gorsze rzeczy.

Magistrat ostatnio próbuje jakoś uchronić sklepy i warsztaty w dzielnicy hiszpańskiej przed pożarciem przez gastronomię. Zaraz do tego wrócimy z zabawnymi szczegółami. Jako obywatele pierwszego świata, z pełnym brzuszkiem i stabilną sytuacją, macie prawo mieć ochotę na dobrą pizzę i poczytać, czy *bella Napoli* jest warta waszej wolnej gotówki. Tymczasem zróbmy krótką przerwę na rachunek sumienia, bo świat obok jest jednak straszną czarną dziurą. Nie musimy w nią wcale skakać – nic to nie pomoże i zło się od tego wcale nie cofnie – ale dobrze jest raz na jakiś czas sobie o tym powiedzieć.

Można rozmawiać o sezonie na truskawki, narzekać na ceny czereśni (no bez przesady, wystarczy garstka dla przyjemności) albo pytać z irytacją, kiedy wreszcie będą bawole serca. Wszystko można, ale dla porządku pamiętajmy, inną częścią naszego umysłu, że przez dwa miesiące ludzie w Gazie byli zupełnie odcięci od dostaw żywności, a ich zagłodzenie było bronią w wojnie, której brutalność ze strony Izraela wyszła jakiś czas temu poza proporcje zrozumiałego odwetu i unieszkodliwienie terrorystów na przyszłość. Nawet teraz sposób zarządzania dostawami nielicznej dopuszczonej pomocy urąga standardom dobrze celowanej operacji humanitarnej. I mówienie tego nie może być kontrowane waleniem na oślep zarzutami antysemityzmu. „Kiedy będzie to już bezpieczne i nikt nie będzie ryzykował, nazywając rzeczy po imieniu, kiedy będzie już za późno, by pociągnąć kogoś do odpowiedzialności, okaże się, że wszyscy zawsze byli przeciwko temu" – stwierdził amerykański pisarz egipskiego pochodzenia Omar el Akkad, autor głośnej ostatnio książki rozliczającej nas, ludzi miłujących prawo Zachodu, z obłudy. Do protokołu więc dziś podaję, że jestem przeciw już teraz. Nie znam się na wojnie, nie wiem, jaka bomba jest słuszna, a jaka niesłuszna, ale karmię ludzi dość długo, żeby wiedzieć jedno: głód niewynikły z klęsk przyrodniczych jest zawsze hańbą dla tego, kto się do niego przyczynia.

GRAŻYNA MAKARA

DYZIO / SHUTTERSTOCK

Po drugiej stronie spektrum niedorzeczności, w nie tak znów odległych miejscach świata, ludzie cierpią przez nadmiar strawy. Zwłaszcza kiedy świat tam przyjeżdża, ściągnięty legendą o tym, że dobrze jadasz. Od połowy mniej więcej zeszłej dekady, kiedy Neapol, nie bez udziału powieści Eleny Ferrante, zaczął być modny, liczba lokali gastronomicznych w śródmieściu rosła o dziesięć procent rocznie. Neapol kojarzy się z pizzą – choć, co już dobrze wiecie, był tylko jednym z kilku miejsc, w których Włosi przyswoili i przerobili ten amerykański wynalazek. Zapach z pieca opalanego drewnem nie jest jeszcze tak dotkliwy. Gorzej, że bardziej „prawdziwe" neapolitańskie jedzenie, a już zwłaszcza uliczne, to w dużym stopniu smażenina. Zresztą, podobnie jest na Sycylii. Przypuszczam, że to sprawa klimatu: możliwość trzymania kotła z wrzącym olejem na zewnątrz przez część roku zachęca do stosowania tej techniki, która zresztą, jeśli tłuszcz jest dobry i dość gorący, pozwala tworzyć rzeczy bardzo smakowite i wcale nie takie ciężkie. Ale za to odór frytury roznosi się po całej ulicy. Jeśli w zaułku tuż obok siebie pięć miejsc przyrządza *cuoppo* – to takie neapolitańskie *fish&chips*, duża papierowa tutka wypełniona smażonymi kawałkami morskich stworów i warzyw – albo sprzedaje tę „bardziej tradycyjną" pizzę, która przypomina trochę węgierskiego langosza, czyli wysmażony drożdżowy kapeć z serem – powietrze gęstnieje.

Magistrat, jak się rzekło, próbuje coś z tym zrobić. Rok temu z okładem wprowadzono zakaz otwierania nowych lokali gastronomicznych aż do 2026 r. Niezbyt to poskutkowało, przepis, jak to we Włoszech, ma artystycznie, barokowo wręcz wyrzeźbione luki. Ale poza tym, im bliżej końca zakazu, tym więcej notuje się dziwnych „widmowych najmów": normalne sklepy i punkty usługowe dla miejscowych znikają, nie wytrzymując presji gastronomii, ale miejsca po nich pozostają puste. Powynajmowali je restauratorzy, by zablokować sobie dobre adresy w oczekiwaniu, aż będzie wolno przerobić fryzjera czy obuwniczy na smażalnię. Skoro opłaca się płacić rok albo dwa czynszu na pusto, to macie pojęcie o rentowności tego biznesu. Mam paskudne podejrzenia, że za to troska o jakość w takiej fabryce pieniędzy raczej przeszkadza, niż pomaga.

Każdy z was może rozmrozić paczkę owoców morza z hurtowni, zrobić prostą panierkę, pokroić bakłażana i cukinię, rzucić do frytownicy i będziecie mieli *cuoppo* takie samo jak przy via Toledo. A pizza? Mało to u nas w kraju pieców na drewno i ambitnych piekarzy? Ostatnio pewna pizzeria z Pabianic zdobyła tytuł najlepszej na świecie w rankingu organizowanym przez jedno z tych stowarzyszeń, co szerzą kult neapolitańskiej „prawdziwości". Trzeba takie tytuły brać z pewnym dystansem, ale na pewno miejsce jest porządne, słyszałem od kilku zaufanych osób same dobre rzeczy. Poza tym, oprócz pieczonej, podają też pizzę smażoną i to jest dla mnie niezły argument. Polityka transportowa naszej ojczyzny sprawia, że złapanie samolotu do Neapolu bywa łatwiejsze niż znalezienie wygodnego połączenia z łódzką aglomeracją. Taki wypad dla niejednej i niejednego z nas, co to byli i jedli już wszędzie, może się okazać całkiem egzotyczny.

Neapol, wrzesień 2023 r.

Patate e bisi

Á propos sezonów, znam jeden rozpaczliwie krótki i właśnie trwa w tym tygodniu: świeży młody groszek cukrowy w małych strączkach. To rzecz błaha, przyjemność z gatunku bardzo niekoniecznych, jednak ja przez swoje weneckie korzenie staram się jej nie przegapić. Bo akurat od zawsze poddani Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nad laguną mieli wielkie nabożeństwo do tego warzywa. Oto wariant jednej z licznych tamtejszych sałatek.

PAWEŁ BRAVO

SKŁADNIKI: 0,5 kg groszku w strączkach 4-5 młodych niedużych ziemniaków ▪ świeże liście mięty ▪ ocet winny ▪ oliwa ▪ sól i pieprz

Gotujemy w mundurkach ziemniaki, po lekkim wystudzeniu kroimy na połówki lub ćwiartki, zależnie od rozmiaru. Można je obrać lub nie, jak kto lubi. W drugim garnku blanszujemy strączki groszku – krótko, ok. 3-5 minut, tak żeby tylko lekko zmiękły. Mieszamy w misce z ziemniakami, delikatnie, żeby strączki się raczej nie rozpadły. Skrapiamy octem do smaku (kwaśność powinna być wyczuwalna), posypujemy szczodrze pokruszoną w palcach miętą. Jeśli mamy kwiaty szczypiorku, to też będą pasowały – solimy, dodajemy pieprzu, skrapiamy oliwą. Można podawać letnie albo całkiem zimne, z grzanką czosnkową. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

PSYCHE

PRZYJAŹŃ TO SUPERSZCZEPIONKA

DR GRZEGORZ MĄCZKA, PSYCHOTERAPEUTA:

Serdeczne relacje z innymi mają dwukrotnie większe znaczenie dla zdrowia niż aktywność fizyczna. Góry wydają się dzięki temu łatwiejsze do pokonania, a wyzwania życiowe mniej groźne.

ILUSTRACJA JOANNA SZLEMBARSKA DLA „TP"

MARCIN TUSIŃSKI: Początki przyjaźni bywają burzliwe.

GRZEGORZ MĄCZKA: Poznałem Cię we wspólnocie buddyjskiej i dosyć szybko się spięliśmy, bo bardzo mnie dociskałeś w dyskusji. Mieliśmy szczerą konfrontację. I wtedy pomyślałem: powiem temu gościowi, co mi leży na sercu! Zareagowałeś z zaskakującą otwartością. Chciałem tylko mieć z Tobą spokój, ale okazało się, że było to zarzewiem naszej przyjaźni.

Potem założyłem grupę studiującą buddyzm i zaprosiłem do niej ludzi, których lubiłem, w tym Ciebie.

W duchu pukałem się wtedy w głowę.

A jednak tu dzisiaj siedzimy. Jak to się stało?

Z perspektywy czasu powiedziałbym, że byłeś wytrwały, wykazałeś serdeczną inicjatywę i przez dłuższy czas robiliśmy razem rzeczy dla nas ważne. Patrząc okiem psychologa, myślę, że te czynniki były istotne: inicjatywa, serdeczność, wspólne wartości, czas i poczucie wspólnoty.

Można powiedzieć, że nauczyliśmy się przyjaźnić?

Przyjaźnienie się to złożona umiejętność, której uczymy się całe życie. Stopniowe ujawnianie się przed drugim człowiekiem, które wymaga odwagi. Kluczowe są zainteresowanie, słuchanie, dzielenie się osobistym doświadczeniem w sposób, który jest adekwatny do etapu znajomości. Więc tak – zdaje się, że uczymy się przyjaźni.

Czasami relacja zaczyna się po prostu od powiedzenia: „Cześć, jestem Grzesiek, a ty jak masz na imię?". W świecie dziecięcym występują naturalne warunki ułatwiające zawiązywanie przyjaźni. Dzieci chodzą razem do szkoły, bawią się, siedzą razem w ławce i przeżywają wyzwania. W dorosłości jest znacznie trudniej. Element aktywnej inicjatywy jest więc nieodzowny.

Dlaczego to takie trudne?

Tęsknimy za przyjaźnią, brakuje nam jej. Badania tego zjawiska przytoczone przez dr Marisę G. Franco w książce „Przyjaźń w czasach samotności" wskazują, że od lat 80. sieć przyjacielskich więzi się kurczy. Dostęp do ludzi, z którymi możemy się zaprzyjaźnić, jest trudniejszy. Model społeczny promujący indywidualizm i jednostkowe osiągnięcia jest jedną z przyczyn. Wiele więzi ucierpiało podczas pandemii, gdyż przez długi czas trwaliśmy w izolacji. Jeteśmy także świadkami pogłębiającej się polaryzacji społecznej, w której dużą rolę odgrywają media społecznościowe. Zamykamy się w bańkach i dzielimy świat na moje i cudze plemię.

Przyjaźń to szczególny rodzaj relacji, który uważam za jedno z najwyższych osiągnięć gatunku ludzkiego. Mamy twarde dane, które pokazują, że jednym

PSYCHE
nowy dział „Tygodnika"

CO DWA TYGODNIE
(a na początek nawet częściej) będziemy rozmawiać z ekspertami i terapeutami o tym, jak **TROSZCZYĆ SIĘ O SIEBIE I RELACJE**, jak odpowiadać na wyzwania codzienności od **PRESJI CZASU** po **GŁÓD DUCHOWOŚCI** i jak **SZUKAĆ SPOKOJU** w świecie nadmiaru bodźców i obaw. Zapraszamy do wspólnej lektury, a jeśli nurtuje Cię konkretny temat i chciał/a/byś, żebyśmy się nim zajęli, napisz do nas na: **redakcja@tygodnikpowszechny.pl**

z najsilniejszych czynników redukujących ryzyko wystąpienia zaburzeń depresyjnych jest obecność w naszym otoczeniu osób, które przyjmują nas serdecznie i życzliwie. Przyjaźń to superszczepionka.

Kiedyś, żyjąc we wspólnotach plemiennych, mieliśmy dostęp do niewielkiej liczby osób, z którymi tworzyliśmy bliższe relacje. Media społecznościowe bardzo zaburzyły te proporcje, dając nam fałszywe poczucie, że mamy kilkuset znajomych. Jakość naszych relacji się przez to rozcieńcza. Spotkanie online, choćby w jakości *high definition*, nie zastąpi żywego kontaktu z człowiekiem.

Czy da się żyć bez przyjaźni?

Arystoteles umiejscawiał przyjaźń pośród cnót – bardzo cennych jakości do pielęgnowania. To, co starożytni rozpoznawali dawno, współczesna medycyna i psychologia potwierdzają naprawdę dobitnie. Ludzie pytani o to, co determinuje nasz dobrostan, zwykle wymieniają dietę, czyste powietrze i aktywność fizyczną. Tymczasem wyniki badań wskazują, że to właśnie przyjaźń jest w absolutnej czołówce. Posiadanie serdecznych relacji z innymi ma dwukrotnie większe znaczenie dla zdrowia niż regularna aktywność fizyczna.

Zachwycił mnie eksperyment, który wykazał, że gdy stoimy w górskim terenie i oceniamy, na ile strome jest zbocze w obecności przyjaciela, postrzegamy je jako mniej strome. Za sprawą przyjaźni góry wydają się łatwiejsze do pokonania, a wyzwania życiowe mniej groźne.

Osoby nawiązujące przyjaźnie w dzieciństwie i adolescencji lepiej funkcjonują społecznie w dorosłości. Ewolucyjnie nie jesteśmy przystosowani do znoszenia samotności. Izolacja jest wręcz wczesnym sygnałem alarmowym, który mówi, że coś jest nie w porządku. Jako ludzie jesteśmy zwierzętami niezwykle stadnymi i społecznymi. Nasze przetrwanie było ↦

↦ uzależnione od współpracy i dobrych relacji.

Stąd lęk przed odrzuceniem i jego pochodna: wstyd?

Postępowanie wbrew regułom danej wspólnoty i narażanie się na wykluczenie mogło oznaczać śmierć. W tym sensie wstyd jest emocją społeczną sygnalizującą ryzyko odtrącenia. Rozmawianie z bliskimi, zaufanymi osobami o tym, co jest dla nas wrażliwe i wstydliwe, służy temu, żeby czuć się przyjętym. Akceptacja jest lekarstwem na wstyd.

Na początku bałem się, że Ty, taki oczytany i mądry, na pewno mnie przejrzysz. Wstydziłem się też własnej bezsilności i to chyba było najtrudniejsze: pokazać drugiemu człowiekowi, że czuję się bezsilny i nie wiem, co robić.

Ja obawiałem się wyśmiania, unieważnienia mojej wrażliwości, która wydawała mi się w porównaniu z Twoją energią jakoś nie na miejscu. Odkrywanie, że nie tylko nie jest to śmieszne, ale jest dla Ciebie cenne, było istotnym fragmentem mojego scalania siebie.

W Polsce mamy na to ładne powiedzenie: „zjeść razem beczkę soli". Myślę, że poznanie wzajemnych cnót i słabości jest nieodzowną częścią procesu budowania zdrowych relacji.

Pomyśl: istnieją osoby, wobec których mogę mówić bez zahamowań, być sobą, wyrażać uczucia, pokazywać wrażliwość. Duża rzecz, prawda? W skali świata to nie jest oczywiste. Myślę, że przyjaźń sama w sobie jest niezwykle cennym zasobem.

Jak się przyjaźnić w spolaryzowanym społeczeństwie?

Jesteśmy w gorącym politycznie czasie w Polsce. Wspominana wcześniej dr Marisa G. Franco przytacza badania ilustrujące wpływ przyjaźni w skali makro. Jeżeli zaprzyjaźnimy się z kimś spoza naszej bańki społecznej, o odmiennych wartościach czy poglądach politycznych, to ta relacja może zmienić naszą postawę wobec całej grupy społecznej, zmniejszyć wrogość i poczucie odmienności względem tej grupy. Tym większa wydaje się rola przyjaźni, która ma moc budowania połączeń i dialogu w Polce, gdzie zaufanie społeczne utrzymuje się na niskim poziomie.

Istnieją osoby,
wobec których mogę mówić
bez zahamowań,
być sobą, wyrażać uczucia,
pokazywać wrażliwość.
Duża rzecz, prawda?

To przypomina mi słowa antropolożki Margaret Mead: „Nigdy nie wątp, że mała grupa zaangażowanych obywateli może zmienić świat. W istocie to jedyna instancja, która kiedykolwiek tego dokonała". Kiedy grupa ludzi działa wspólnie dla jakiegoś dobra, siła i skuteczność ich działań się potęguje.

Polaryzację widać w każdym domu.

Pamiętam takie doświadczenie, kiedy ze starą przyjaciółką weszliśmy na tematy polityczne i zorientowaliśmy się z obustronnym zaskoczeniem, że myślimy bardzo różnie i popieramy różnych kandydatów. Przeżyłem intensywne wzbudzenie emocjonalne, które mówiło mi: „Ojej! Niebezpieczeństwo! Odsunąć się!". Ale dzięki temu, co było między nami, byliśmy w stanie pozostać razem, oddychać, rozmawiać i uszanować te obszary, co do których się nie zgadzamy.

Czego Cię to nauczyło?

Przyjaźń jest spoiwem, pomostem, czymś, co pozwala łagodzić kanciastości i ostrości różnic międzyludzkich.

Arystoteles mówił o trzech rodzajach przyjaźni. Pierwszy jest w pracy: w naszym interesie jest żyć dobrze z innymi ludźmi. Drugi to wspólne hobby: dopóki jeździmy razem na rowerach, jest dobrze, ale jak jeden złamie nogę, to po przyjaźni. To bardzo charakterystyczne dla mężczyzn. Trzecim rodzajem przyjaźni jest ta oparta na wspólnych wartościach: wiara w wyższy ideał, uosobienie miłości, empatii, współczucia... Obaj należymy do szkoły buddyjskiej, w której kładzie się duży nacisk na przyjaźń duchową. Co to znaczy?

W buddyzmie znana jest przypowieść o rozmowie Anandy z Buddą. Uczeń i przyjaciel zapytał Nauczyciela: „Panie mój, wydaje mi się, że przyjaźń to połowa życia duchowego". Budda odpowiedział: „Nie, Anando, przyjaźń to całe życie duchowe".

Kiedy pierwszy raz spotkałem się z tymi słowami, pomyślałem: ładnie powiedziane, chwytliwe, ale przecież nie dosłowne. Tymczasem Sangharakshita, założyciel szkoły Triratna, traktował tę przypowieść naprawdę serio. To nie jest jedynie figura retoryczna. Praktyka przyjaźni może być całą praktyką duchową.

Niezależnie od tego, czy mówimy o greckich filozofach, niektórych odłamach filozofii chrześcijańskiej czy buddyzmie, przyjaźń wydaje się być drogą do oświecenia, relacji z absolutem, dotknięcia czegoś, co jest boskie. Ja to rozumiem jako rodzaj spotkania, w którym praktykujemy serdeczność, empatię, otwartość, nieosądzanie. Stopniowo uczymy się bycia przyjaznymi dla innych, świata i siebie samych.

Nie ma wiary bez wątpienia, ludzie wątpią i się boją – a przyjaźń jest po to, żeby pomóc sobie przez to przejść?

Pełna zgoda. Dodałbym, że stawanie się człowiekiem bywa trudne, rozwijanie potencjału wymaga determinacji. Przyjaźń nas w tym wspiera.

W buddyzmie mówi się o przyjaźni wertykalnej i horyzontalnej. Co to znaczy?

Przyjaźń horyzontalna odnosi się do relacji pomiędzy osobami na podobnym etapie ścieżki duchowej. Opisuje współpraktykujących. O przyjaźni horyzontalnej mówimy w kontekście relacji z nauczycielem lub też z ideałem – chodzi mi o rodzaj uznania, że ludzie są na różnych etapach rozwoju duchowego. Może to dlatego ważne są dla Ciebie rozmowy z księdzem Adamem Bonieckim?

Księdza Bonieckiego charakteryzuje rodzaj serdeczności, pokory, i cierpliwości, które dla mnie są nieosiągalne, ale chcę się uczyć.

Spotykanie na mojej drodze terapeutycznej, psychologicznej, ludzi, którzy byli na istotnie dalszym etapie rozwoju osobistego i uosabiali inspirujące jako-

ści, było dla mnie bardzo ważne. Patrzyłem na nich i myślałem: to tak można? Ja też tak chcę! To było otwieranie jakiejś potencjalności, wyobrażenia, do czego można aspirować. W tym sensie przyjaźń wertykalna buduje naszą tożsamość.

Nawiasem mówiąc, liderzy społeczni, nauczyciele i duchowni, mogą promować dobre postawy, ale i szkodliwe. Kiedy prezydent mówi o kandydacie na prezydenta, że jego udział w ustawce jest normalny, bo młodzi mężczyźni tak robią, mnie to głęboko niepokoi. Powiedzenie tego przez głowę państwa jest normalizowaniem przemocy i niesie negatywne skutki społeczne. Dlatego tak ważne jest, jaką postawę promują liderzy. Nie tylko to, co mówią, ale przede wszystkim to, jak się zachowują.

Mam wrażenie, że wiele osób cierpi na taki deficyt bycia słuchanym i widzianym, że gdy już dorwie kogoś, kto słucha, to wysysa z niego, ile się da. Co byś poradził w takim wypadku?

Potrzeba bycia widzianym i uznanym jest głęboko ludzka. Jeśli przez lata nie mieliśmy dostępu do tego rodzaju relacji, to stajemy się ich głodni. Równocześnie, taki „wygłodniały" sposób wchodzenia w relację będzie dla obu stron co najmniej niesatysfakcjonujący. Wtedy pomocne może być podjęcie psychoterapii.

Ludzie przychodzą do mnie, bo się boją, jest im smutno, są samotni, wstydzą się siebie, nie mogą się dogadać z drugim człowiekiem. Kluczowe jest przyjęcie postawy, w której można czuć się bezpiecznie, nieosądzanym i mile widzianym. Jakikolwiek krok zostanie podjęty, odbywa się za porozumieniem stron.

Pracuję w nurcie terapii dialektyczno-behawioralnej (DBT), w której duży nacisk kładzie się na to, żeby terapeuci pomagali sobie nawzajem w grupach i odwoływali do tego, co w nich i w pacjentach, z którymi pracują, jest najmądrzejsze. Przyświeca nam cel wspierania pacjentów w budowaniu „życia wartego przeżycia". Dlatego ważnym elementem terapii jest nie tylko budowanie wspólnoty terapeutów, lecz także grup pacjentów.

Możliwość spotkania innych osób, które zmagają się z podobnymi trudnościami, pozwala im zobaczyć, że nie są w tym sami, dziwni, wadliwi ani odszczepieni. Mało co boli człowieka tak bardzo, jak poczucie wyobcowania i izolacji. Poczucie przynależności, działania razem i bycia częścią, to warunki niezbędne do pracy terapeutycznej.

ARCHIWUM PRYWATNE

Od lewej: **DR N. MED. GRZEGORZ MĄCZKA** jest psychoterapeutą, psychologiem klinicznym i superwizorem. Współautor podkastu „Kurs na DBT".
MARCIN TUSIŃSKI jest dziennikarzem „Tygodnika". Razem z Grzegorzem Mączką należą do wspólnoty buddyjskiej Triratna

Założycielka DBT Marsha Linehan powiedziała, że gdyby miała zabrać na bezludną wyspę jedną ważną umiejętność, byłoby to „uprawomocnienie", czyli empatia. Dlaczego?

Wyobraź sobie, że bliska ci osoba wraca do domu zatroskana i mówi: „to był trudny dzień, pokłóciłam się z koleżanką w pracy". Jeśli zareagujesz zwracając się do niej serdecznie: „przykro mi, kłótnie potrafią dać w kość, chcesz opowiedzieć więcej?", to w języku DBT zachowasz się uprawomocniająco. Wyślesz komunikat: „widzę cię, to, czego doświadczasz, jest zrozumiałe". Badania pokazują, że taka postawa pomaga regulować wzbudzone emocje, sprzyja budowaniu bliskości i dialogu.

Wariant drugi. Mówisz: „Nie widzisz, że jestem zajęty? A tak w ogóle to musisz tyle narzekać?!". W języku DBT zachowasz się unieważniająco, komunikując: „nie widzę cię i nie rozumiem", a dyskomfort emocjonalny twojego rozmówcy nasili się, utrudniając dalszą konstruktywną rozmowę.

W DBT uprawomocnienie to zarówno umiejętność, której uczymy w grupowym treningu, jak i kluczowa strategia terapeutyczna. Co istotne, uprawomocnienie to nie to samo, co zgoda. Można uznać czyjeś emocje, ale niekoniecznie zachowanie: „to musiało być bardzo przykre – równocześnie nazwanie jej wariatką chyba nie pomogło?".

Ten przykład dowodzi, że jeżeli w dialogu z drugim przyjmujemy postawę empatyczną i uprawomacniającą, to pomagamy odzyskać dostęp do siebie i tego, co w nas mądre, umiejętne i skuteczne.

Jesteś obrońcą tezy, że aby uczyć się relacji, trzeba być w relacji. Co to znaczy?

Nasze życie jest w dużej mierze odzwierciedleniem historii naszych relacji z ludźmi. Suma interakcji z rodzicami, opiekunami, rodzeństwem, rówieśnikami, nauczycielami, kształtuje naszą tożsamość. Zgadzam się w pełni z terapeutką Esther Perel, która twierdzi, że jakość naszych relacji determinuje jakość naszego życia. Nauka przyjaźni jest zatem niezwykle istotna.

Myślę, że umiejętności relacyjnych uczymy się podobnie, jak np. jazdy samochodem. Trzeba usiąść za kierownicą i próbować. Z początku na placu manewrowym i pod okiem instruktora. Z czasem – na autostradzie. Trzeba popełniać błędy, wyciągać wnioski i powoli doskonalić umiejętność obcowania z drugim.

Przeżyłeś kiedyś rozczarowanie w przyjaźni?

Każdy przeżywa zawody w relacjach. Rozczarowania mogą nas uczyć tego, że rzeczywistość nie jest taka, jak chcemy, tylko taka, jaka jest. Przyjaźń jest szansą na praktykowanie akceptacji i wybaczenia.

Tylko zawsze musi być ten pierwszy, który odważy się uśmiechnąć.

Można ćwiczyć na drobiazgach. Zachowywać się przyjaźnie w codziennych sytuacjach: przy kasie w sklepie, w piekarni, u lekarza, podczas spotkania rodzinnego. Przyjazna postawa jest zaproszeniem do przyjaznej postawy. Chodzi mi po głowie tekst Taco Hemingwaya z ostatniej płyty: „Jak ci brakuje ziomka / to mu napisz »Siema, tęsknię« / zrobisz mu dzień tym pewnie".

© MARCIN TUSIŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński:
W rytmie, w kontinuum

Jedną z pereł tegorocznego festiwalu Millenium Docs Against Gravity był film „Rok w winnicy" w reżyserii Léo Boudeta. Obejrzeliśmy go z żoną w środku wyborczego szaleństwa, w epicentrum politycznej wojny i polaryzacji, w otoczeniu wylewających się zewsząd histerycznych apeli, pogardliwych prychnięć, frenetycznych podsumowań, analiz i komentarzy. Obejrzeliśmy go, mając w pamięci naszą niedawną samochodową podróż po Francji. Od Alzacji po Kraj Basków, nie pomijając Doliny Rodanu – królestwa winnic, gdzie po horyzont ciągną się na równinach i zboczach zdyscyplinowane rzędy krzaków winorośli, a w miasteczkach na cokołach pysznią się betonowe kiście, największa regionalna duma. I gdzie wino spotykasz na każdym kroku, w sklepikach i supermarketach, lokalnych barach, restauracjach z gwiazdkami, bo wino jest tam naturalnym, integralnym elementem kuchni i życia. Czy raczej ich nierozłącznego splotu, kuchniożycia, jest to bowiem amalgamat, z którego w zasadzie nie sposób wytrącić żadnego dominującego składnika. I w którym rodzi się – przynajmniej w porze obiadowej – realna, głęboka wspólnota. Znikają podziały polityczne i klasowe, znikają radykalizmy i różnice. Nie w taki sposób jednak, by się przemienić w jakąś bezforemną masę rodem z fantazmatów minionej epoki, lecz w taki, by pomiędzy ludźmi bardzo przecież odmiennymi pojawiło się naraz poczucie jedności i łączności. Udziału w rytuale, który przekracza bariery, przynosi źródłowe doświadczenie radości, przyjemności życia: przystawka, danie główne, sery, deser, wino, mocna kawa, a do tego widok innych radujących się dookoła.

Oglądając film Boudeta wspominaliśmy tamten francuski czas, choć oczywiście opowieść, którą „Rok w winnicy" powolnie, niezgodnie z regułami współczesności snuje, jest – podobnie jak to doświadczenie radości i przyjemności – tyleż lokalna, co uniwersalna. Przez cały rok kamera towarzyszy Christine Vernay, wykładowczyni, która zostawiła uniwersytet, żeby objąć rodzinną winnicę Domaine Vernay, doprowadziła ją do wielkości, a teraz do roli sukcesorki stopniowo przygotowuje córkę. Niespieszne manewry operatora, statyczne kadry, precyzyjnie pokazany proces winifikacji, wiedza o najsubtelniejszych aspektach charakteru gleby, winorośli, żywiołów. Niemożliwe do przewidzenia nastroje i afekty przyrody. Niekiedy kapryśnej, niekiedy łaskawej, raz niszczącej, pochłaniającej, mrożącej, innym znowu razem opiekuńczej, dającej komfort, otaczającej miłością, uważnej, przyjmującej. Skrupulatnie wydobywana z tego esencja, zamykana w butelkach arytmetyka grających w tym uniwersum (a może nim?) sił, które rok po roku nadają winu niepowtarzalny, indywidualny rys, a zarazem utrzymują wciąż jednakową – chwiejną, ale stabilną – tożsamość.

Żeby te wszystkie elementy okiełznać i regularnie destylować z nich duszę, trzeba w najdrobniejszych szczegółach poznać anatomię miejsca, jego przeszłość i teraźniejszość. Opanować sztukę doskonaloną przez tysiąclecia. Nauczyć się czytać tajemny język roślin. Dostrzegać przeźroczyste dla niewytrenowanego oka oznaki zmęczenia, widoczne na gałązkach na długo, zanim jeszcze uschną. Wyłapywać mikrofałsze i mikrodysonanse. W porę interweniować, w razie wahnięć pogody. Uzbrajać się przeciwko działającym w ziemi szkodnikom i innym mocom entropii. Słowem – trzeba być z rytmu i w rytmie natury, korzystając z kulturowego dziedzictwa. W ciągłości z tym, co było, a zarazem z odwagą do podążania za postępem, ale bez ślepej, rewolucyjnej pychy, która wierzy, że historię można i trzeba przekreślić, bo tylko na jej zgliszczach zbuduje się raj.

Doprawdy, obcowanie z tym filmem, zwłaszcza w chaosie i zgiełku kampanii, zwłaszcza w chaosie i zgiełku, który ogarnia świat, działa zarazem jak panaceum, przypomnienie o tym, jak istotne są tradycja, sukcesja, pokora wobec potęgi istnienia oraz – *last but not least* – smutna lekcja dla naszych współczesnych zaślepień.

Panaceum, bo wejście w ten leniwy tryb, choć na początku może wręcz wywoływać dyskomfort – tak bardzo już przywykliśmy do tempa nowoczesności – ostatecznie koi, przywraca proporcje, uświadamia, że uczestniczymy w czymś nieodgadnionym. Przypomnienie, bo pokazuje oczywistość: jak dziś wynika z wczoraj, jak ważna i istotna jest ciągłość przekazu i jak kolejne pokolenia zastępują kolejne i kolejne. A zatem jak kuriozalny jest narastający dziś konflikt pomiędzy „młodymi" i „starymi", wszak wszyscy tak samo przemijamy, podlegamy nieubłaganej pedagogice czasu. Smutna lekcja – bo etos symbolizowany przez Domaine Vernay kruszeje i odchodzi w przeszłość. Owszem, wciąż jeszcze trwa, wciąż funkcjonują jego enklawy, wciąż wydarza się kontinuum, wciąż zachodzi pokoleniowy przekaz. Ale na horyzoncie majaczy już zarys przyszłości, która opierać się będzie, już się opiera, na odmiennych zupełnie wartościach i stylach bycia.

Jakich? To temat na osobne rozważania. Tymczasem oglądajcie „Rok w winnicy", zasiadajcie do stołu, podawajcie albo zamawiajcie przystawkę, danie główne, sery, deser i kawę. I – jeśli wam wolno – wypijcie do tego kieliszek (albo dwa) jakiegoś Côtes du Rhône, poczujcie, jak tańczą w nim, jak tańczą w was, siły życia i umierania, przemijania i przyjemności. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY

InPost

Kup prenumeratę

Dostawa przez Paczkomat® InPost za darmo

- Dostaniesz gratis naszą firmową torbę
- Dostęp do serwisu online za **1 zł**
- Cena egzemplarza do **2 zł** taniej niż w kiosku
- Łącznie oszczędzasz do **450 zł** rocznie

zamów:

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraków

ALEKSANDER MISZALSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

14 CZERWCA
2025

NOC TEATRÓW

KRAKOWSKIE
noce

www.krakowskienoce.pl

REKLAMA